

THOMAS SNIEGOSKI

# LEWIATAN

NIE MA ISTOT BARDZIEJ OKRUTNYCH  
OD ANIOŁÓW...



UPADLI  
II

**Thomas E.Sniegoski**

# **LEWIATAN**

*UPADLI II*

*Tłumaczenie Tomasz Illg*

## PROLOG

U stóp południowych stoków Gór Serbskich, w wąwozie, przez który płynęła Czarna Rzeka, znajdował się monastyr Crna Rijeka. Wiatr gwizdał żałośnie, hulając wśród strzelistych skał i skąpej roślinności otaczającej święty erem. Dźwięk ten przypominał rozpaczliwe zawodzenie matki, która straciła jedyne dziecko.

Było to miejsce całkowitego odosobnienia, sprzyjające modlitwie i kontemplacji. Sam klasztor został zbudowany w XIII wieku w hołdzie Archaniołowi Michałowi i znajdował się we wnętrzu ogromnej jaskini. W krótkim czasie mieszkający tu mnisi pustelnicy dobudowali także część mieszkalną, a nad Czarną Rzeką przerzucili niewielki most zwodzony. Z Boskiej woli rzeka zniknęła pod ziemią tuż przed murami monastyru, by pojawić się znowu kilkaset metrów dalej, oszczędzając w ten sposób mnichom ogłuszającego ryku spienionej wody.

Pokutnik klęczał na zniszczonej wiklinowej macie w chłodnej klasztornej celi i słuchał modlitw płynących z całego świata. Bez względu na porę, czy to w dzień, czy w nocy, ktoś, gdzieś szukał Boskiej pomocy i wsparcia. Kobieta w Pradze modliła się za duszę zmarłej niedawno matki, mężczyzna w Glasgow prosił o zdrowie dla żony chorej na raka. Farmer w Fort Wayne błagał, by skończyła się potworna susza, zaś kierowca ciężarówki zaparkowanej przy drodze w Scottsdale, jak co dzień polecał Boskiej opiece swoje życie. Tyle głosów - ta kakofonia próśb i błagań o pomoc sprawiała, że mnichowi kręciło się w głowie.

Próbował użyczyć tym wszystkim ludziom choćby odrobiny swojej mocy i sam prosił Stwórcę, by wysłuchał ich błagalnych modłów. Czy - Pan mnie słyszy? - zastanawiał się. Miał taką nadzieję. Mimo iż inni starali się go przekonać, że Bóg dawno temu przestał zwracać na niego uwagę, nie zrażał się tym i nadal przemawiał w imieniu tych, którzy wznosili do nieba swoje modlitwy - był ich skrzynką kontaktową z Bogiem.

Mężczyzna miał zamknięte oczy, a w uszach dzwoniły mu słowa żarliwej modlitwy. Słuchając ich, uśmiechnął się. Sześciolatka dziewczynka imieniem Kiley z całych sił prosiła Stwórcę o nowy rower na urodziny. Czy jemu samemu zdarzyło się kiedykolwiek modlić tak żarliwie? Odpowiedź na to pytanie wydała mu się oczywista - właśnie dlatego wędrował po całej planecie, poszukując najświętszych miejsc i mając nadzieję, że kiedyś zdoła uciszyć tę ogłuszającą wrzawę, która dobiegała z samego dna jego duszy.

Grzesznik szukał przebaczenia - za grzechy, których się dopuścił.

Z zamyślenia wyrwał go odgłos małych pazurków skrobiących kamienną posadzkę. Mężczyzna otworzył oczy i zobaczył mysz, która przysiadła na tylnych łapkach, marszczyła nos, nie spuszczać z niego wzroku.

- Witaj - pokutnik przywitał się z myszą aksamitnym głosem, pełnym sympatii dla szarego, futrzastego gryzonia. Zaprzyjaźnił się z myszą, gdy tylko pojawił się w klasztorze, sześć miesięcy temu. Karmił ją okruszkami chleba i sera, ona zaś informowała go o bieżących wydarzeniach, które miały miejsce za murami pustelni.

Mężczyzna sięgnął do długiego rękawa habitu, wyciągnął skórkę chleba z wczorajszej kolacji i podał ją myszy.

- Jak się dzisiaj miewasz? - spytał w jej języku zrozumiałym tylko dla niej.

- Są tutaj inni - zapiszczała mysz, wyjmując mu skórkę z ręki przednimi łapkami.

Przez ostatnie dwa miesiące czuł, że coś się szykuje, a od kilku dni uczucie to stawało się coraz silniejsze. Wyczuwał w powietrzu wielkie niebezpieczeństwo - a jednocześnie było to coś niezwykłego. Miał pewne przeczucia, ale nie chciał robić sobie nadziei, żeby potem po raz kolejny boleśnie się nie rozczarować.

- Inni, tacy jak ty - dokończyła mysz, wgrzyzając się łapczywie w resztki chleba.

Nagle pokutnik poczuł ulgę, że wysłał pozostałych mnichów do miasta po zapasy. Jeśli mysz miała rację, nie chciał ryzykować życia postronnych osób. Bracia byli dla niego łaskawi - wpuścili go za mury swojej pustelni, dlatego nie chciał, żeby ktokolwiek musiał z tego powodu cierpieć.

Nastawił uszu, wsłuchując się w odgłosy dobiegające zza murów monasteru: szum wody płynącej w oddali, skrzypienie zwodzonego mostu, świst wiatru w górach - i pomruk grzmotu.

Nie, to nie grzmot. To było coś znacznie bardziej złowieszczego.

Mężczyzna podniósł mysz z podłogi, ukrył ją w dłoni i wstał.

- Gdzie dokładnie widziałaś tych innych? - spytał.

Na zewnątrz - odparła mysz, nie przerywając jedzenia - Na niebie. Są na zewnątrz, na niebie.

Wtedy świątobliwy mąż poczuł ich obecność bardzo wyraźnie. Byli wszędzie, otaczali go. Posadzka monasteru zaczęła drżeć, niczym w uścisku jakiegoś rozgniewanego giganta. Z sufitu opadał kurz, fragmenty skał i kawałki drewna; na ścianach pojawiły się pierwsze pęknięcia. Pokutnik przycisnął mysz do piersi, chroniąc ją przed spadającym gruzem. Wtedy murami monasteru wstrząsnęła potężna eksplozja. Ściany rozpadły się, jakby były z klocków,

osuwając się do Czarnej Rzeki i odsłaniając Góry Serbskie oraz tych, którzy czekali na zewnątrz.

Było ich co najmniej dwudziestu. Unosili się w powietrzu, machając potężnymi skrzydłami. Dźwięk ten przypominał mu przyspieszone bicie serca otaczającej ich dzikiej doliny. W rękach trzymali ogniste miecze.

Pokutnik cofnął się o krok od ziejącej pod jego stopami przepaści i ścisnął mocniej bezbronne stworzenie, które trzymał w dłoni. Nie spuszczał z nich oczu. Nie czuł strachu. Niektórzy skłonili się, czując na sobie jego wzrok. Widać pamiętali jeszcze czas, kiedy wymagał od nich respektu i posłuszeństwa - mimo że były to czasy tak odległe.

- Podnieście głowy - nakazał gniewny głos, który przemówił w języku posłańców. Aniołowie rozstąpili się, przepuszczając swojego dowódcę. - Nasz brat utracił nasz szacunek w dniu, w którym zostało zasiane pierwsze ziarno Wielkiej Wojny.

Pokutnik znał tego, który przemawiał - brutalnego i okrutnego przywódcę Straży Anielskiej, który władał bezwzględnyymi Potęgami. Nazywał się Werchiel. Na ciele nosił ślady stoczonej niedawno walki. Mężczyzna zastanawiał się, dlaczego rany jeszcze się nie zagoiły - chciał nawet spytać o to anioła, ale doszedł do wniosku, że zaczeka na bardziej sprzyjającą chwilę.

- Przybyliśmy po ciebie, synu poranka - zagrział głos Werchiela. To mówiąc, anioł wskazał na niego swoim mieczem, który płonął, jakby został wykuty nie w niebiańskiej kuźni, lecz w najgłębszej otchłani piekieł.

Na dany znak, Strażnicy zbliżyli się, wnosząc swoje ostrza.

- Twój czas na tym świecie dobiegł końca. - Werchiel błysnął oczami czarnymi jak noc.

- Nie zamierzam z wami walczyć - mnich pokręcił głową, obserwując zbliżające się Potęgi. - Proszę was tylko, byście nie podnosili głosu - kontynuował, głaszcząc delikatne futro przerażonego zwierzątka, które wciąż przyciskał do piersi. - Straszycie mysz.

- Brać go! - wrzasnął Werchiel, a w jego głosie zabrzmiało szaleństwo. Blizny na przeraźliwie bladej skórze anioła zapłonęły żywym ogniem.

Strażnicy rzucili się na mnicha.

Pokutnik zrobił to, co jak sądził, było mu pisane. Nie dobył żadnej ognistej broni ani nie rozwinął potężnych skrzydeł, które mogłyby unieść go w dal. Wsunął tylko bezbronny przyjaciela do rękawa habitu i dał się pojmać.

Na przegubach jego rąk zamknęły się kajdany ze złotego metalu, którego na próżno by szukać na Ziemi. Wiążące je zaklęcie sprawiło, że mężczyzna poczuł nagle, jak odpływa z

niego cała moc. Niektórzy ze Strażników zaczęli go szarpać, popychać i uderzać skrzydłami - mimo że nie stawiał najmniejszego oporu. Rozumiał urazę, którą do niego żywili, i nie zrobił nic, by powstrzymać ich ataki.

- Dosyć! - rozkazał w końcu Werchiel. Gwardziści rozstąpili się, puszczając mnicha, który osunął się na posadzkę - a raczej na to, co z niej pozostało.

Ich dowódca podszedł bliżej i pojmany mężczyzna mógł nareszcie spojrzeć w jego zimne, nieznające litości oczy.

- Jesteś taki zły - wyszeptał, przyglądając się wykrzywionej wściekłym grymasem twarzy Werchiela. - Przepelnia cię nienawiść. Widziałem już to spojrzenie wcześniej. Znam je bardzo dobrze.

Werchiel nakazał swoim żołnierzom, by podnieśli więźnia z ziemi, co też uczynili - jednak mężczyzna w dalszym ciągu studiował gniewną twarz ich przywódcy.

- Widziałem ją za każdym razem, gdy przeglądałem się w lustrze - oznajmił, kiedy aniołowie unieśli go w powietrze.

Jego słowa poruszyły wrażliwą strunę w duszy Werchiela. Twarz anioła wykrzywiła potworna furia i ruszył w stronę skępowanego mnicha; w jego dłoni zmaterializował się nowy oręż. Rozpląta mi czaszkę mieczem, czy może odrąbie głowę toporem? - zastanawiał się pojmany. Broń przybrała jednak formę maczugi, a Werchiel zamachnął się nią z siłą, która byłaby w stanie roztrzaskać na drobne kawałki otaczające ich góry. Kiedy maczuga opadła na głowę więźnia, rozległ się potężny huk, a przed jego oczami zawirowały gwiazdy, jakby rodziła się nowa galaktyka.

Gdy osuwał się w otchłań, towarzyszyły mu odgłosy świata, który właśnie opuszczał: ciche słowa modlitwy, jęk wiatru, łopot skrzydeł mściwych aniołów i bijące jak oszalone serce przerażonej małej myszy. Po chwili wszystko ucichło i zapadła przejmująca cisza.

## ROZDZIAŁ 1

Aaron Corbet przyspieszył do 110 km/h. Kierował się na północ drogą 1-95. Puścił głośniejszą muzykę, a potem zerknął przez ramię, żeby zobaczyć, co porabia Kamael. Anioł zwijał się z bólu na siedzeniu pasażera.

- Co ci się stało? - zaniepokoił się Aaron. - Wyczułeś coś? O co chodzi? Anioł pokręcił głową z niesmakiem.

- To ten hałas - powiedział, wskazując sprzęt grający. - Na sam jego dźwięk łzy napływają mi do oczu. Aaron uśmiechnął się.

- Aż tak ci się podoba?

- Nie - mruknął Kamael, potrząsając głową. - Sprawia mi ból.

- Ale to Dave Matthews Band! - Aaron wydawał się wstrząśnięty miazdzącą krytyką Kamaela.

- Nie obchodzi mnie, co to za zespół - warknął anioł. - Wiem tylko, że łązawią mi od tego oczy.

Poirytowany Aaron wyłączył muzykę i wyjął płytę z odtwarzacza, po czym chwycił z powrotem kierownicę.

- Tak lepiej?

Włączył radio i w samochodzie rozległy się dźwięki popularnej listy przebojów. Jeden z boysbandów - Aaron nigdy nie potrafił ich odróżnić - śpiewał właśnie o utraconej miłości. Zerknął znowu na Kamaela - anioł siedział w milczeniu z tym samym, bolesnym wyrazem twarzy.

- O co chodzi tym razem? Przecież wyłączyłem tamtą płytę.

- Doceniam to. - Anielski wojownik wyglądał przez okno, śledząc mijany krajobraz. - Ale obawiam się, że cała ta twoja pseudomuzyka jest dla mnie nie do zniesienia. Godzi we wszystkie moje zmysły.

Gabriel podniósł się z tylnego siedzenia i wsadził swój kremowy pysk między fotele z przodu. ja lubię tę piosenkę o Smacznym Żarełku - powiedział. Pewnie, że tak. Z chęcią słuchasz o wszystkim, co potencjalnie mogłoby wylądować w twoim przepastnym żołądku - pomyślał Aaron, zaciskając mocniej dłonie na kierownicy.

- Jak to szło, Aaronie? - labrador nie dawał za wygraną. - Już zapomniałem.

- Nie wiem, Gabriel. - Aaron poczuł, że zaczyna powoli tracić nerwy. - To nawet nie jest prawdziwa piosenka, tylko melodia z reklamy karmy dla psów.

- Nieważne - pies obruszył się. - Bardzo ją lubię - i tę reklamę też. Są w niej dzieciaki i szczeniaki. Skaczą na skakankach i biegają, a szczeniaki zajadają Pyszne Żarełko...

Gabriel zamilkł w pół zdania. Aaron wyłączył radio i w aucie zapadła całkowita cisza. Cudownie - pomyślał - właśnie tego było mi trzeba. Teraz, bez rozpraszałającej muzyki, mógł nareszcie zastanowić się nad obłędem, w który zamieniło się jego życie.

Jakiś czas temu, w swoje osiemnaste urodziny, Aaron dowiedział się, że jest Nefilimem - owocem związku anioła i śmiertelnej kobiety. Aaron nie znał swoich biologicznych rodziców - całe dzieciństwo spędził w sierocińcach i domach dziecka. Dlatego gdy odkrył w sobie dość niezwykle zdolności - na przykład umiejętność komunikowania się ze zwierzętami i ludźmi w obcych językach - uznał, że traci zmysły.

Co niechybnie mu groziło, jeżeli nie przestanie o tym wszystkim myśleć. Obrzucił wzrokiem potężnie zbudowanego mężczyznę - nie, anioła - siedzącego po swojej prawicy.

- A więc jaką muzykę lubisz? - spytał, by przerwać kłopotliwe milczenie.

Kamael był kiedyś dowódcą armii, a właściwie elitarnego oddziału Straży Anielskiej. Zadaniem jej członków czyli Potęg było eliminowanie wszystkiego, co mogło stanowić obrazę dla majestatu Boga. Po porażce Lucyfera w Wielkiej Wojnie wielu jego towarzyszy uciekło na Ziemię. Wyrzuceni z Nieba, rozpoczęli życie wśród ludzi, biorąc sobie ich kobiety za żony i płodząc dzieci. Misją Strażników było pozbycie się wszystkich zbiegów oraz ich nieczystego potomstwa - Nefilimów.

- Pamiętaj, że rozmawiasz z tym, który na własnych uszach doświadczył symfonii Stworzenia - powiedział protekcyjnym tonem Kamael. - Nie mogą się z nią równać żadne dźwięki wydawane przez tak prymitywny gatunek jak wasz.

Aaron dowiedział się, że podczas wykonywania jednej ze swych misji, Kamael poznał pewną przepowiednię, opisującą istotę - półczłowieka, półanioła - która miała doprowadzić do ponownego zjednoczenia upadłych aniołów z ich niebieskim Ojcem. Nefilim - Wybrańiec miał przynieść aniołom rozgrzeszenia za ich występki i umożliwić powrót do Nieba. Po tylu stuleciach przemocy i zapłuly Kamael uznał, że to wspaniały pomysł, lecz jego entuzjazmu nie podzielał drugi z dowódców, a właściwie jego zastępca - anioł o imieniu Werchiel.

- Więc nie podoba ci się nasza muzyka? - spytał Aaron, zdziwiony odpowiedzią anioła, który jednym zdaniem przekreślił cały artystyczny dorobek ludzkości. - Nie lubisz muzyki klasycznej, jazzu, rocka ani country? Naprawdę każdy z tych gatunków przyprawia cię o ból głowy?

Anioł spojrział na chłopaka, a w jego oczach zapalił się groźny płomień.

- Nie miałem czasu zapoznać się ze wszystkimi formami ziemskiej muzyki - odparł. - Jak ci zapewne wiadomo, nie narzekam na brak zajęć.

Kamael zostawił Straż Anielską, którą dowodził, i podążył tropem przepowiedni. Przez tysiące lat wędrował po całym świecie, próbując ratować życie Nefilimom - mając nadzieję, że któryś z nich okaże się wreszcie tym, o którym wspominała przepowiednia. Z kolei Werchiel i jego gwardziści robili wszystko, żeby nie dopuścić do jej spełnienia, mordując każdego ziemskiego potomka aniołów, który stanął im na drodze.

- Ale przecież jesteś tu od zarania dziejów! - Aaron uśmiechnął się. - Nie chcę być wrzodem na tyłku, ale...

- Właśnie tym jesteś, chłopcze. - Kamael wyjrzał przez okno. - Jesteś Wybrańcem, ale także wrzodem na tyłku.



Tak się więc złożyło, że Aaron - prócz tego, że był Nefilimem, co już samo w sobie było tragiczne - okazał się również tym, o którym mówiła przepowiednia. Nie zdawał sobie z niczego sprawy - aż do momentu, w którym Werchiel ze swoją bandą postanowili go zgładzić. W wyniku ich działań śmierć poniósł psychiatra Aarona, jego przybrani rodzice oraz pewien upadły anioł imieniem Ezekiel, który pomógł mu odkryć w sobie anielską naturę i tym samym ocalił mu życie.

- Przepraszam - powiedział Aaron, wciskając hamulec, gdy tuż przed nim pojawił się czerwony, sportowy samochód, który po chwili zjechał jednak na prawy pas, pozwalając się wyprzedzić. - Ale wydaje mi się, że zgrywasz świętszego, niż jesteś, i zadzierasza nosa, bo jesteś aniołem, i tak dalej - gdy tymczasem nie masz nawet pojęcia, o czym mówisz.

- To, że nie należę już do Potęg, nie znaczy, że nie jestem jednym z nich - odparł Kamael. - Jestem jednym z pierwszych aniołów stworzonych przez Boga. I to daje mi prawo do własnej opinii i niezgadania się z twoją.

Cudowne właściwości, które Aaron odkrył w sobie za sprawą anioła Ezekiel, ocaliły życie nie tylko jemu, ale także jego psu - Gabrielowi. Kiedy labrador został potrącony przez samochód i odniósł śmiertelne obrażenia, Aaron po raz pierwszy użył swojej mocy i uleci /yl psa, zmieniając go przy tym w coś więcej niż tylko zwierzę.

Nie możesz mieć opinii na temat muzyki, której nie słyszałeś. - Aaron nie dawał za wygraną. - To tak, jakbyś powiedział, że nie lubisz brokułów, nie jedząc ich nigdy wcześniej - wyrzucił z siebie, rozdrażniony dyletancką postawą anioła.

- Ja bardzo lubię brokuły - odezwał się zniecierpliwiony Gabriel. - Chętnie bym teraz zjadł trochę brokułów. To całe gadanie o Smacznym Zarełku sprawiło, że porządnie zgłodniałem.

Aaron rzucił okiem na zegarek na desce rozdzielczej. Dochodziło południe. Byli w drodze od świtu i od śniadania minęło już parę ładnych godzin. Może powinniśmy zjechać z autostrady i coś przekąsić - pomyślał. Wtedy przypomniał sobie o Steviem i natychmiast poczuł wyrzuty sumienia. Kto wie, co działo się z jego młodszym bratem?

Kiedy Strażnicy zaatakowali ich dom, zabrali ze sobą siedmioletniego przyrodniego brata Aarona. Stevie cierpiał na autyzm, a jeśli wierzyć Kamaelowi, jego pobratymcy często wykorzystywali osoby upośledzone w charakterze służących, ze względu na ich wyjątkową wrażliwość. Aaron, Kamael i Gabriel wyjechali z miasta i ruszyli w nieznaną, aby ratować Stevena i powstrzymać Strażników przed wyrządzeniem krzywdy Steviemu oraz wszystkim, na których Aaronowi mogło jeszcze zależeć.

Nagle uwagę Aarona przykuł jakiś dźwięk. Obrócił się i zobaczył, że Gabrielowi kapie z pyska ślina.

- Gabriel! - zrugął psa, wpychając go z powrotem na tylne siedzenie. - Ślinisz się!

- Mówiłem ci, że jestem głodny. - Labrador rozłożył się na siedzeniu. - Me mogę przestać myśleć o tej reklamie Smacznego Zarełka.

Aaron spojrział na Kamaela, który ze stoickim spokojem wyglądał przez okno.

- Co ty na to? - spytał. - Ja sam trochę już zgłodniałem. Może zatrzymamy się gdzieś na obiad?

- Wszystko mi jedno. - Anioł wzruszył ramionami, nie spoglądając nawet na Aarona. - Ja nie potrzebuję jedzenia.

Aaron zachichotał.

- Rzeczywiście. - Dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę. - Nigdy nie widziałem, żebyś coś jadł.

- Ja uwielbiam jeść - Gabriel odezwał się z tylnego siedzenia.

- Jak to możliwe? - Aaron zainteresował się jeszcze jednym aspektem życia istot nie z tej ziemi. - Każde stworzenie musi jeść, żeby przeżyć - a może to jeszcze dziwaczny, nadnaturalny nonsens, którego nie je-»lrin w stanie pojąć?

Żywimy się energią wszechświata - wyjaśnił Kamael. Wszystko, co żyje, emituje energię. W tym sensie bardziej przypominamy rośliny - chłoniemy tę energię i to iitizujemy nas przy życiu.

Aaron pomyślał przez chwilę. Czyli można powiedzieć, że odkąd siedzimy tu rażni) w aucie, ty cały czas się pożywasz? Anioł skinął głową. Można tak powiedzieć.

- A ja nic nie jem, chociaż bardzo bym chciał - zirytował się Gabriel.

- Dobrze, już dobrze - uspokoił go Aaron i skierował samochód na najbliższy zjazd z autostrady. - Znajdziemy jakiś bar i przekąsimy coś na szybko. Ale zaraz potem jedziemy dalej. Nie chcę, żeby Stevie spędzał z tymi draniami więcej czasu, niż to jest konieczne.

To mówiąc, zjechał z głównej szosy i obrał mniej uczęszczaną drogę. Cały czas myślał o wszystkim, co za sobą zostawiał. Z każdym kilometrem autostrady, każdym zjazdem i każdą boczną drogą oddalał się od życia, do którego przywykł. Tęsknił nawet za szkołą, chociaż nigdy nie sądził, że będzie mu jej brakowało. Ale mimo wszystko, kończył ostatnią klasę i w sumie nie mógł się już doczekać, kiedy napisze testy końcowe i dostanie się na wybraną uczelnię. Niestety wiedział, że nic z tego nie będzie - tak przyziemne sprawy nie dotyczyły Nefilimów.

Aaron dostrzegł tablicę zapraszającą do pobliskiego baru szybkiej obsługi z małżami, hamburgerami i hotdogami. Na zewnątrz, w zacienionym miejscu stały rozstawione stoliki - w sam raz dla Gabriela.

Kiedy Aaron parkował samochód na poboczu drogi przed barem, przypomniał sobie o Vilmie. Zanim jego życie legło w gruzach, prawie uwierzył w to, że uda mu się umówić z najładniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widział. Niestety, randka nie doszła do skutku i pewnie już nigdy nie dojdzie. Nagle Aaronowi przeszła ochota na lunch.

Vilma Santiago siedziała sama w najdalszym kącie stołówki w liceum Kennetha Curtisa i cieszyła się z tej samotności. Był piękny, wiosenny dzień i większość uczniów wyniosła jedzenie na zewnątrz, więc dziewczyna nie miała żadnego problemu ze znalezieniem pustego stolika.

Vilma przypomniała sobie sen - czy raczej koszmar - z ostatniej nocy, który drażnił ją i nie dawał spokoju. Od kilku dni nie sypiała najlepiej i w końcu zaczęło się odbijać na jej samopoczuciu. Dziewczyna była bardzo zmęczona i rozdrażniona; w dodatku bolała ją głowa i doskwierał pululsujący ból tuż za oczami. Ale przede wszystkim, było jej przykro.

Vilma otworzyła papierową torbę z jedzeniem, wyjmując z niej jogurt oraz zawiniętą w folię kanapkę. Była dzisiaj w takim stanie, że nie pamiętała nawet, z czym zrobił, sobie drugie śniadanie. Miała nadzieję, że przynajmniej kanapki, które spakowała do tornistrów swojej kuzynce i kuzynowi, nadawały się do jedzenia, w przeciwnym razie oberwie jej się od ciotki po powrocie ze szkoły.

Nie zadając sobie nawet trudu, żeby zajrzeć do środka, Vilma schowała kanapkę z powrotem do plecaka. Jogurt w zupełności mi wystarczy - pomyślała, odrywając plastikowe wieczko. Wtedy zorientowała się, że nie zabrała z domu łyżeczki.

Nie stanowiło to najmniejszego problemu - w stołówce nie brakowało plastikowych sztućców - a jednak intensywne, irracjonalne uczucie rozczarowania o mało nie doprowadziło Vilmy do płaczu.

Stała się taka emocjonalna, odkąd Aaron Corbet opuścił szkołę - i z tego, co wiedziała - także granice stanu. Od tego czasu minęło już sporo czasu i Vilma zachodziła w głowę, dlaczego tak bardzo jej go brakuje. Przecież ledwie zdążyli się poznać.

Zamknęła wieczko z powrotem i odłożyła jogurt. Nie miała ochoty na jedzenie.

W Aaronie było coś, czego nie potrafiła do końca zrozumieć, ale gdy tylko pojawiał się w pobliżu, ogarniało ją uczucie wewnętrznego komfortu i spokoju. I chociaż nigdy nie byli na prawdziwej randce - ani nawet nie trzymali się za ręce - Vilma czuła się, jak gdyby wraz z jego odejściem zniknęła także część jej samej. Czuła się niekompletna.

Chciała wierzyć, że to tylko przelotna miłośćka, nastoletnie zauroczenie, które w końcu zgaśnie, ale coś w środku mówiło jej, że tak się jednak nie stanie. I to przygnębiało ją jeszcze bardziej.

Vilma oparła się na krześle i rozejrzała po stołówce, beznamiętnie bawiąc się małym aniołkiem, zawieszonym na złotym łańcuszku na szyi.

Zgodnie z oficjalną wersją wydarzeń, podaną do publicznej wiadomości przez media, rodzice i brat Aarona zginęli podczas pożaru, który wybuchł w ich domu na skutek uderzenia pioruna podczas gwałtownej burzy. Aaron powiedział jej, że wyjeżdża, bo z tym miejscem wiąże się zbyt wiele przykrych dla niego wspomnień. Ale Vilma miała poczucie, że coś przed nią ukrywa - chociaż nie wiedziała, co ani skąd się owe niepokojące myśli brały. Nie po raz pierwszy poczuła, jak szklą jej się oczy.

W szkole pojawiały się sporadycznie plotki, krzywili/ące szeptu po kątach, jakoby to Aaron był odpowiedzialny za wybuch pożaru, który kosztował życie jego najbliższych. Vilma nie dawała im jednak wiary ani przez i liwilę. Aaron był sierotą i często zmieniał domy, miał więc prawo tłumić w sobie gniew, ale w głębi duszy Vilina wiedziała, że nie byłby w stanie nikogo skrzywdzić. A mimo to, rosły w niej wątpliwości, spowodowane jego nagłym wyjazdem.

Vilma podskoczyła na dźwięk głosu, który rozległ się tuż obok. Była tak zamyślona, że nie zauważyła, jak podeszła do niej jedna z kobiet pracujących w stołówce.

- Wybacz, kochanie - powiedziała potężna kobieta i uśmiechnęła się. Była ubrana w jasnoniebieski uniform, a farbowane blond włosy miała spięte pod siatką.

Nie chciałam cię wystraszyć.

- Nic się nie stało. - Vilma roześmiała się z zakłopotaniem. - Po prostu nie zwróciłam na panią uwagi.

- Skończyłaś drugie śniadanie? - Kobieta wskazała na otwarte pudełko z jogurtem.

- Tak, dziękuję - odparła Vilma. Sprzątaczką zdjęła papierowy obrus i wrzuciła go razem z jogurtem do worka na śmieci.

Vilma siedziała dalej, w zamyśleniu gładząc łańcuszek z aniołkiem zawieszony na szyi. Może dlatego nie mogła ostatnio spać. Od kiedy Aaron wyjechał, zaczęły ją nawiedzać mroczne koszmary. Budziła się nad ranem, przerażona i zlana potem, drżąc na samą myśl o tym, co jej się śniło.

Tak, to musiał być właściwy trop. Nie dość, że Aaron zasmucił ją swoim odjazdem, to teraz jeszcze sprawiał, że śniły jej się koszmary. Tak bardzo chciałyby, żeby był teraz przy niej, by mogła podzielić się z nim swoimi troskami. A potem przytuliłaby go mocno i pocałowała.

Vilma wyobraziła sobie tę scenę i do oczu napłynęły jej łzy.

- Vilma! - usłyszała odbijający się echem w całej stołówce głos.

Szybko otarła łzy i rozejrzała się. Na drugim końcu sali zobaczyła swoją przyjaciółkę Tinę, która szła w jej stronę. Miała na sobie ciemne okulary słoneczne i poruszała się jak modelka na paryskim wybiegu. Vilma uśmiechnęła się i pomachała jej na przywitanie.

- Co ty tutaj robisz? - Tina spytała po portugalsku. Vilma wzruszyła ramionami.

- Sama nie wiem - odpowiedziała ze smutkiem w głosie. - Jakoś nie mam ochoty nigdzie wychodzić. Tina przesunęła okulary na głowę i skrzyżowała ręce.

- Założę się, że nic nie zjadłaś - powiedziała z troską wypisaną na ładnej buzi.

Vi Ima chciała skłamać, ale nie potrafiła. Nie. - Jej palce odnalazły znów złotego aniołka. - Nie byłam głodna. Ima przyglądała jej się w milczeniu i Vilma zaczęła odzyskiwać pewność siebie. Zastanawiała się, czy było widać, że płakała.

No co? - spytała z wymuszonym uśmiechem, tym razem po angielsku. - Co się tak na mnie gapisz? Ima nachyliła się, chwyciła ją pod rękę i odciągnęła ud stolika.

Chodź - rozkazała tonem nieznoszącym sprzeciwu. Idziemy razem z Beatrice do Pete'a na kawałek pizzy. Vilma chciała się uwolnić z uścisku, ale Tina szybko ją przytrzymała.

- Posłuchaj, Tina - zaczęła - naprawdę, nie mam ochoty...

Wtedy zauważyła na twarzy swojej przyjaciółki autentyczne współczucie.

- Chodź, Vilmo. - Tina puściła jej ramię. - Nie rozmawialiśmy od kilku dni. Dobrze ci to zrobi. Na dworze jest cudowna pogoda, a Beatrice obiecała, że nie będzie gadać o tym, jak bardzo ostatnio przytyła.

Vilma zachichotała i pomyślała, że może faktycznie dobrze jest się pośmiać w czyimś towarzystwie.

- Chodźmy - Tina podała jej dłoń.

Vilma wiedziała, że przyjaciółka ma rację. Z ciężkim westchnieniem wzięła ją za rękę i wyszły razem na zewnątrz, gdzie czekała już na nie Beatrice. Fajnie było się spotkać z koleżankami. To pomoże jej przestać myśleć o tych wszystkich przykrych sprawach.

Dziewczyny poszły w dół ulicy, gdzie mieściła się pizzeria u Pete'a. Tina zdradziła koleżankom, że matka zagroziła wyrzuceniem jej z domu, jeśli zrobi sobie kolczyk w pępku, a Beatrice - jak można się było spodziewać - użalała się na nieznośne fałdy na brzuchu.

Za to Vilma przez całą drogę była zatopiona w myślach. Rozmyślała o tym, że wiosna w końcu zdecydowała się pokazać w pełnej krasie i zastanawiała się, czy słońce świeciło równie jasno tam, gdzie był teraz Aaron - a jeśli nie, to właśnie takiej pogody mu życzyła.

Wewnątrz jaskini Mufgar z klanu Orisha przykucnął na kościstych nogach i wyjął z małego, skórzanego woreczka, zawieszzonego u pasa, cztery kawałki pumeksu. Drobny

mężczyzna o szorstkiej skórze w kolorze przykurzonej miedzi ułożył z kamyków niewielki stosik i z pomocą trzech swoich braci rozniecił pod nim ogień.

Wulkaniczne kamienie zaczęły się tlić, by po chwili ni/błysnąć wściekłą czerwieńią. Cztery obserwujące tę r« enę postacie wymamrotały słowa zaklęcia, używanego przez ich plemię od ponad tysiąca lat. Mufgar posypał k.linienie garścią wysuszonej trawy, która od razu zajęła się ogniem, a Szokad dorzucił jeszcze kilka suchych gałązek, którymi nakarmił wygłodniały ogień. W tym czasie Zawar i Tehom zebrali całą broń i odłożyli ją pod ścianę jaskini, na wypadek gdyby znów była potrzebna.

Ogień buzował wesoło. Mufgar poprawił na swojej wielkiej i niekształtnej głowie pióropusz wykonany z czaszki bobra i skór dwóch rudych lisów. Siedzący przed trzaskającym ogniskiem wódz wznosił długie, chude ramiona w stronę sklepienia jaskini.

- Ja, Mufgar z klanu Orisha zwołałem tę radę, a wy przybyliście na moje wezwanie - warknął w gardłowym języku swojego plemienia. Po tych słowach nachylił się i splunął w ogień. Kleista ślina zaskwierczała w płomieniach. - Błogosławieni niech będą Strażnicy, którzy pozwalają nam cieszyć się życiem, chociaż nie zasługujemy na ten wielki dar.

Trzech pozostałych mężczyzn, jeden po drugim, splunęło w ognisko.

- Chwała niech będzie litościwym Potęgom - powiedzieli zgodnym chórem.

- Jesteśmy teraz jednością. - Mufgar opuścił ramiona. - Posiedzenie rady uważam za otwarte.

Mufgar potoczył wzrokiem po współplemieńcach, którzy zgromadzili się na jego wezwanie, zasmucony tym, jak bardzo w ciągu kilku stuleci skurczyły się ich szeregi. Pamiętał jeszcze czasy, kiedy ta jaskinia nie była w stanie pomieścić wszystkich jego ludzi. Pozostało po nich tylko odległe wspomnienie.

- Zorganizowałem to spotkanie, ponieważ nasi miłoścy władcy wyznaczyli nam pewne ryzykowne i niebezpieczne zadanie - Mufgar zwrócił się do obecnych. - Jeżeli uda nam się je wykonać, czeka nas hojna nagroda. - Rozejrzał się po twarzach członków swojego plemienia i zobaczył w nich strach - ten sam, który wypełniał także jego serce.

Szaman Szokad potrząsnął głową. Jego długie, zaplecione w warkoczyki włosy, zdobiły czaszki małych stworzeń leśnych, które zagrzechotały jak dzwonki na wietrze. Wymamrotał coś niewyraźnie pod nosem.

- Czy coś cię trapi, Szokadzie? - spytał Mufgar. Stary Orisha wytarł usta kościstą dłonią i wbił wzrok w trzaskający ogień.

- Nawiedzają mnie ostatnio niepokojące sny - powiedział, a małe czarne skrzydła na jego plecach obudziły się do życia. - W tych snach odwiedzam piękne miejsce, w którym

wszyscy żyjemy jako wolne anioły i nie grozi i tam żaden ucisk ze strony Potęg - wyszeptał szaman, z bojaźnią wypowiadając imię tych, którzy byli ich panami. Mufgar skinął przystrojoną pióropuszem głową. Twoje sny pokazują przyszłość, o której do tej pory mogliśmy tylko pomarzyć - zauważył, bawiąc się jednym z warkoczyków zwisających mu z czoła. - Jeżeli jednak wykonamy powierzoną nam misję, nasi panowie obiecali nam upragnioną wolność. Wolność, na którą sami sobie zapracujemy.

- Ale... ale by to osiągnąć, musimy zapolować na Nefilima - wymamrotał Tehom. - Schwycić go i przyprowadzić przed oblicze Werchiela. - Dzielny łowca wyglądał, jakby miał się zaraz rozplakać. Tak wielki wypełniał go strach.

- Jeśli chcemy zrzucić z siebie jarzmo Strażników, musimy wykonać to zadanie - powiedział Mufgar. - Dopiero wtedy będziemy mogli poszukać sobie Schronienia.

Na dźwięk tego najświętszego ze słów plemienia Orisha, każdy z czterech aniołów jak na komendę dotknął czoła, czubka nosa, ust i klatki piersiowej na wysokości serca.

Zawar podniósł się i zaczął nerwowo przestępować z nogi na nogę, machając przy tym gorączkowo skrzydłami.

- To zadanie jest niewykonalne uznał, wrywając sobie z głowy długi, kręcony siwy włos. - Nefilim zniszczy nas bez najmniejszego trudu - wystarczy spojrzeć, jak okaleczył w walce wielkiego Werchiela. Widzieliście blizny na jego ciele - wszyscy je widzieliśmy.

Mufgar przypomniał sobie oparzenia na skórze Werchiela. Blizny wyglądały strasznie - rany musiały zostać zadane przez kogoś o wielkiej sile i determinacji. Jeśli dał się tak zranić przywódca Straży Anielskiej, to jakie szanse w starciu z Nefilimem mieli oni?

- Zostaliśmy wyznaczeni do tego zadania - oznajmił tonem właściwym wodzowi. - Nie mamy wyboru...

- Nie - przerwał mu Szokad, kręcąc powoli głową. - To nieprawda. W snach widzę świat, w którym nasi ciemniźcyiele zostali zniszczeni przez Nefilima.

Mufgar poczuł, że ogarnia go coraz większy strach. Szokad rzadko mylił się w swoich snach - ale to, co mówił, było wbrew całemu ustalonemu porządkowi, w zgodzie z którym żyli Orisha. Od samego początku, od dnia, w którym zostali stworzeni, służyli Potęgom.

- Błóżniesz! - syknął, wskazując szamana długim, sękatym palcem. - Nie zdziwiłbym się, gdyby sam Lord Werchiel pojawił się tu, w tej jaskini i spalił cię na popiół.

Tehom i Zawar zadrżeli i przysunęli się bliżej do siebie. Wielkimi, rozszerzonymi ze strachu oczami wpaliy wali się w mrok, szukając w nim oznak rychłego nadejścia okrutnego anioła.

Szokad dorzucił do ognia kolejną garść suchych gałązek..

- Mówię tylko o tym, co widziałem we śnie. - Zatoczył lęką krąg w powietrzu. - Sny podpowiadają mi, że nadchodzi nowa era. Musimy tylko wypatrywać znaków.

To na pewno kusząca perspektywa - pomyślał Mufgar - odi Micić wszystko, co stare, i myśleć tylko o nowym. Ale w ciągu tal ego swojego życia wielokrotnie był świadkiem okrucieństwa Strażników i za żadne skarby nie chciał ryzykować, że obrócą się przeciw niemu.

- Nie zamierzam dalej słuchać tego szaleństwa. - W jeno głosie zabrzmiała potężna moc. - Nasza wierna służba Straży Anielskiej umożliwi nam przetrwanie.

Zawar wstał i podszedł do zgromadzonego pod ścianą jaskini dobytku.

- Będziemy żyli tak długo, jak pozwolą nam Strażnicy powiedział, szukając czegoś w torbach. Znalazłszy to, czego szukał, wrócił do ogniska, usiadł i otworzył mały woreczek. W środku były wysuszone resztki kilku polnych myszy i kretów. - Kiedy nie będą już nas potrzebowali, zniszczą nas, tak jak zniszczyli naszych stwórców. - Zawar wyjął z woreczka zmumifikowaną mysz i odgryzł jej głowę, po czym podał torebeczkę z przekąskami innym.

Mufgar nie wierzył własnym uszom. Czy ich wszystkich ogarnęło jakieś szaleństwo? Jak mogą w ogóle myśleć o zdradzie? Ale w głębi duszy rozumiał ich doskonale. Strażnicy nie lubili ich, uważając, że nie są wcale lepsi od zwierząt.

- Nasi stwórcy złamali Boskie prawo - wyjaśnił Muf - i gar, mając nadzieję, że historia ich ludu przywróci roz-1 sadek jego towarzyszom. - Jesteśmy skazą w świecie Boga. Strażnicy oszczędzili nas tylko dlatego, byśmy mogli udowodnić, że jesteśmy warci lepszego życia niż nasi upadli bracia. Kiedy to wszystko się skończy, odzyskamy wolność i będziemy mogli poszukać Schronienia.

Orisha powtórzyli rytuał z dotykaniem poszczególnych części ciała.

- A co z pozostałymi członkami naszego klanu? - spytał Tehom, wyjmując z torby zasuszonego szczura. - Co stało się z tymi, którzy przeciwstawili się naszym panom i odeszli, by poszukać wymarzonego Raju?

Mufgar nie chciał o tym słuchać. Bez względu na to, co czuł, pytanie o stare czasy mogło sprowadzić na nich wyłącznie zagładę. Przypomniawszy sobie, jak próbował przekonać innych, żeby zostali, a jednocześnie żałował, że sam nie ma w sobie tyle odwagi, by pójść w ich ślady. Od niepamiętnych czasów był jednocześnie wodzem i niewolnikiem - i nie znał innego życia.

Mufgar skrzyżował ręce i wyprężył pierś.

- Nie żyją - powiedział wreszcie. - Ponieważ nie prze-4ii /egali naszego prawa.



Szaman popatrzył na Zawara i Tehoma, którzy przeżuwali suszone gryzonie, a potem odwrócił z powrotem w/lok i spojrzal na Mufgara.

- A co, jeśli oni żyją? - wyszeptał. - Jeśli udało im się znaleźć Raj, którego tak bardzo pragniemy? Pomyśl n ly m, Mufgarze - pomyśl o tym!

Wódz patrzył w ogień, rozważając w myślach słowa n/.amana. A więc to takie proste? Wystarczy wymknąć się nieumważonym i znaleźć swój własny Raj?

Lord Werchiel ostrzegł nas, że każdy, kto sprzeciwi się jego woli, zostanie zabity - powiedział. Szokad przysunął się bliżej. Czasy się zmieniają, Wielki Mufgarze - szepnął. - Werchielem i jego Strażnikami zawiadnęła teraz obsesja /wiązana z tą nieszczęsną przepowiednią.

- Nefilim - odezwał się Tehom, wypluwając w ogień icsztki suszonego szczura.

Siedzący obok niego Zawar pokiwał głową i zatrzepotał skrzydłami.

- Mówi się, że dzięki niemu wszyscy upadli uzyskają przebaczenie. - Wyjął spomiędzy przednich zębów fragment mysiego ogona. - A nasi panowie chyba sobie tego nie życzą.

Mulgai przypomniał sobie, że już dawno nie miał nic w ustach i wyjął z otwartej torby mysie truchło.

- A więc sugerujesz, że powinniśmy sprzeciwić się Strażnikom i nie wykonać zadania, które nam powierzyli - a tym samym, zaprzepaścić jedyną szansę na praw-' dziwą wolność? - Mufgar odgryzł kawałek mysiej głowy i poczekał na odpowiedź. Suszone mięso nie miało prawie w ogóle smaku. Oddałby w tej chwili wszystko za prawdziwy posiłek! Minęło już sporo czasu, odkąd po raz ostatni delektował się psim mięsem. Myszy i krety były dobre na jakiś czas - ale mięso psa było czymś,

0 czym często marzył, kiedy pusty żołądek dawał o sobie znać.

- Zbliża się wielki konflikt pomiędzy naszymi panami i Nefilimem - ciągnął dalej szaman. - W tej wojnie prze - j żyje tylko jedna ze stron. Nefilim ma olbrzymią moc. Atakowanie go spowodziłoby na nas nieuchronną klęskę.

Zawar i Tehom pokiwali głowami.

- Pozwólmy, żeby Nefilim zniszczył Potęgi - powiedział Zawar.

- Wtedy będziemy wolni - dodał Tehom.

Mufgar przełknął ostatni kęs myszy, a potem podniósł się z ziemi. Dość już usłyszał. Nadszedł czas, aby podjąć decyzję. Po raz kolejny wznosił ręce nad głowę, wpatrując się w ogień i siedzących dookoła niego towarzyszy.

Mufgar, wódz plemienia Deheboryn Orisha, wymordował członków swojego klanu.

Oczami wyobraźni ujrzał tych, którzy opuścili klan w poszukiwaniu Schronienia. Zobaczył ich, jak żyją szczęśliwie w Raju - ale zaraz potem niebo przesłoniły i lennie chmury i spadł na nich ognisty deszcz. Nefilim nie pokonał Strażników, a za zdradę dawnych wartości zostali zniszczeni na zawsze.

Będziemy nadal tropić Nefilima - zdecydował MufHiii, unikając rozczarowanych spojrzeń swych towarzyszy.

- Tylko w ten sposób mogę zapewnić dalszą egzystencję naszemu gatunkowi. Wytropimy wroga naszych panów i złapiemy go - a gdy to się stanie, odzyskamy wolność. - Mufgar opuścił ramiona. - Taka jest moja decyzja - zakończył. - Radę uważam za zamkniętą. - Po tych słowach odwrócił się od ogniska i udał się w zaciemniony kąt jaskini, gdzie zamierzał trochę odpocząć przed wznowieniem polowania.

- Sprowadzisz na nas wszystkich zagładę - usłyszał za plecami syk Szokada.

Mufgar sięgnął po kamienny sztylet, który nosił przywiązany do nogi, a potem wzbił się w powietrze, przeleciał nad rozpalonym ogniem i spadł z góry na szamana, powalając go na ziemię. Zawar krzyknął z przerażenia, kiedy Mufgar przyłożył staremu szamanowi nóż do szyi.

- Nie będę dłużej tolerował twoich bluźnierczych docinków. - Mufgar spojrział w pełne strachu oczy Szokada, po czym naciął skórę na jego szyi, z której pociekła czerwona strużka krwi. - W przeciwnym razie nie będziesz miał nawet okazji stanąć do walki z Nefilimem, bo twój los zostanie już dawno przypieczętowany.

Po tych słowach Mufgar cofnął ostrze i zostawił szamana razem z innymi, skulonych przy ognisku. Potem zwinął się w kłębek w kącie jaskini, próbując uciąć sobie chociaż krótką drzemkę. W końcu udało mu się zasnąć. Ogień powoli dogasał. Stygnące kamienie puszczały przeszłość w niepamięć, pogrążając całą jaskinię w ciemności.

## ROZDZIAŁ 2

Gabriel zamachał radośnie ogonem, widząc, jak jego pan podchodzi do jednego ze stolików rozstawionych na zewnątrz przydrożnej restauracji. - To nasz lunch, prawda, Aaronie? - cieszył się, nie przestając merdać umięśnionym ogonem. - Pachnie wspaniale - powąchał torbę, w której Aaron przyniósł jedzenie z baru. - Jestem tak głodny, że mógłbym zjeść nawet kocią karmę. Aaron roześmiał się, kładąc obiad na drewnianym stole.

- Czy to był żart, Gabe? - spytał podekscytowanego psa.

- Me - odparł labrador, nie spuszczać wzroku z jedzenia. - Naprawdę mógłbym zjeść kocią karmę.

Aaron zaśmiał się znowu i zaczął wyjmować obiad z torby. Kamael usiadł na skraju ławki, wpatrując się nieobecny wzrokiem w dal, jakby obserwował coś znajdującego się tysiące kilometrów stąd. A na ile Aaronowi udało się już poznać jego zwyczaje, rzeczywiście mogło tak być.

- Czy Gabriel dał ci się mocno we znaki podczas mojej nieobecności? - spytał Kamaela. Z jakiegoś powodu, pies nie zaakceptował anioła i odnosił się do niego z rezerwą, kiedy Aarona nie było w pobliżu.

- Coś tam gadał, ale nie słuchałem go - przyznał Kamael, nie odwracając się nawet. - I zjadł coś z ziemi - to paskudny nawyk.

Aaron spojrział na psa siedzącego posłusznie przy jego nodze.

- Wiesz, że nie wolno ci tego robić - skarcił go surowym tonem. Gabriel zamachał ogonem.

- To była tylko guma do żucia - powiedział, usprawiedliwiając się.

- Nie obchodzi mnie to. - Aaron wyjął jedną z zapakowanych kanapek. - Możesz się od tego rozchorować.

- Aleja lubię gumę do żucia.

Aaron kucnął przed nim i zaczął odpakowywać hamburgera.

- Guma do żucia nie jest dla psów. Żadna guma. Rozumiesz? Gabriel zignorował swego pana, wsadzając za to nos do na wpół rozpakowanej kanapki.

- Czy to dla mnie? Czy to mój obiad?

- Tak, zgadza się - odpowiedział Aaron, wyjmując mięso z bułki. - Ale nie musisz przecież jeść pieczywa. - To mówiąc, odłożył bułkę do pustej torebki.

- Hej, co ty wyprawiasz? - Gabriel wpadł w panikę. - Powiedziałaś, że to mój obiad. Dlaczego teraz go wyrzucasz? Aaron podał mu hamburgera.

- Proszę, na tym chyba zależy ci najbardziej, co? Wyrzuciłem tylko bułkę. Od niej niepotrzebnie się tyje. Gabriel nie spuszczał oczu z torebki.

- Aleja chcę też chleb - zaskowyczał żałośnie.

Aaron westchnął i pokręcił głową. Z początku podobało mu się, że może rozmawiać ze swoim najlepszym przyjacielem. Ale z czasem coraz częściej odnosił wrażenie, że ma do czynienia z małym dzieckiem.

- Słuchaj, chcesz to zjeść czy nie? - spytał. - Zazwyczaj nie jadasz nawet lunchu, więc i tak idę ci na rękę. Pies niechętnie spuścił wzrok z torby, w której leżała bułka i delikatnie

wyjął kotlet z ręki Aarona. Kłapnął raz zębami, a potem przełknął głośno całego hamburgera. Aaron poklepał go po boku.

- Dobrze, co?

Gabriel obliznął wargi i spojrzał swemu panu prosto w oczy.

- Czy mogę jeszcze?

- Nie - odparł Aaron. - Kupiłem jednego dla ciebie, a drugiego dla siebie. Nie mam więcej.

- A będziesz jadł swoją bułkę? - Gabriel nie dawał za wygraną.

- Tak, zjem swoją bułkę.

- Przy tyjesz od tego.

- Jesteś naprawdę nieznośny, Gabe. - Aaron roześmiał się, a potem otworzył butelkę z wodą i nalał odrobinę do papierowego kubka. - Proszę, masz trochę wody. Nie będzie cię tak suszyło po tym słonym hamburgerze. - To mówiąc, postawił kubek przed psem, na ziemi.

Gabriel zaczął chleptać wodę, uważając, żeby nie przewrócić stojącego kubka.

- Jestem jeszcze głodny - zamruczał między kolejnymi łykami.

- Przykro mi. - Aaron wziął swojego hamburgera i usiadł na ławce obok Kamaela. - Pomyśl lepiej o tym, jak ci będzie smakować kolacja.

Pies odwarknął coś, po czym poszedł wachać trawę na skraju parkingu.

Aaron obserwował, jak się oddala. Nie chciał być dla niego niedobry, ale jeśli pozwoli Gabrielowi jeść za każdym razem, gdy zgłodnieje, wkrótce pies będzie ważył sto pięćdziesiąt kilo. Kiedy pracował w klinice weterynaryjnej w rodzinnym miasteczku Lynn, w stanie Massachusetts, widział mnóstwo labradorów z nadwagą. To jest ich przekleństwo - labradory uwielbiają jeść.

Aaron westchnął i ugryzł kawałek hamburgera. Był bardzo dobry, dokładnie taki, jak lubił - średnio wysmażony, z sałatą, pomidorami i odrobiną majonezu. Przeżuwał przez chwilę, połknął, po czym odwrócił się do Kamaela, który wciąż siedział bez słowa, gapiąc się w dal.

- Na co właściwie patrzysz? - zagadnął.

- Widzę wiele rzeczy - odparł anioł. Jego głos przypominał brzęczy gdzieś w oddali grzmot. - Ojca łowiącego z synem ryby w strumieniu. Starą kobietę wieszającą pranie. Lisicę, która uczy swoje potomstwo polować na żaby. - Zamarł na chwilę, przekrzywiając tylko głowę, jakby słuchał czegoś pod innym kątem. - Interesuje mnie raczej to, czego nie widzę.

Aaron otworzył drugą butelkę wody i pociągnął łyk.

- Dobrze, w takim razie czego nie widzisz?

- Jak do tej pory, nie zauważyłem żadnych oznak pościgu.

- To chyba dobrze - prawda? - Aaron ugryzł kolejny kawałek hamburgera i sięgnął po opakowanie z frytkami. Wysypał połowę na serwetkę, na której leżały także resztki hamburgera, a pozostałą część postawił przed Kamaelem.

To wyrwało na chwilę anioła z odrętwienia. Kamael spojrzął na frytki.

- Mówiłem ci już, że nie potrzebuję pożywienia - zmarszczył brwi. Aaron włożył sobie do ust wielką frytkę i zaczął przeżuwać.

- Nie potrzebujesz nie znaczy, że nie możesz. Spróbuj.

Kamael powoli obrócił w palcach paczuszkę z frytkami, jakby miał do czynienia z jakąś nieznaną formą życia.

- Jak już mówiłem, nie widziałem śladu Potęg, od kiedy wyjechaliśmy z Lynn. Wniosuję więc, że magiczne kręgi, które zostawiłem, by zatrzeć nasze ślady, okazały się skuteczne.

- A więc tym się zajmowałeś? - spytał zaskoczony Aaron, wpychając sobie do ust ostatni kawałek hamburgera. - Muszę przyznać, że z początku trochę się martwiłem tempem naszej podróży. Pomyślałem nawet, że może pochłonęło cię zwiedzanie okolicy.

Kamael wyjął jedną frytkę i przyjrzał jej się uważnie. Chłopcze, jestem na tej planecie od tysięcy lat. Miałem już wystarczająco dużo czasu na zwiedzanie.

Po tych słowach anioł zrobił coś, na co Aaron dawno już stracił nadzieję. Włożył sobie frytkę do ust i zaczął żuć. Po długiej chwili w końcu przełknął.

- Może być - ocenił i przechylił torebkę, żeby wziąć kolejną frytkę. Aaron napił się wody i oblizwał wargi.

- Myślisz, że te magiczne kręgi wystarczą? - spytał. To znaczy, miałem na myśli, czy zatrzymają Strażników na tyle, byśmy w tym czasie znaleźli Steviego?

Kamael wcinał frytki jak zawodowiec, nabierając za jednym razem trzy albo cztery. Jak na kogoś, kto nie musi jeść, radzi sobie całkiem niezłe - pomyślał Aaron, oczekując na odpowiedź.

- Te kręgi nie mają ich powstrzymać, a jedynie odwrócić ich uwagę. Moja magia nie dorasta do pięt tej, którą posługuje się Werchiel i będący na jego usługach Archonci...

- Archonci? - przerwał mu Aaron.

- To ci spośród Potęg, którzy posiadli anielskie zdolności magiczne. Prędzej czy później, wykryją nasz podstęp. Ale mam nadzieję, że wystarczy nam czasu i sił, abyś odnalazł to, czego szukasz.

Aaron czuł w sobie jakieś dziwne pragnienie od chwili, w której opuścili Lynn. Nadal nie rozumiał, dlaczego - ale wiedział, czuł, że powinni podążać na północ. Minęli już New Hampshire, Vermont, a teraz Maine - i z każdym kolejnym kilometrem coś ciągnęło go coraz bardziej w tamtym kierunku. Nawet teraz, kiedy siedział i posilał się hamburgerem, czuł w głowie pulsowanie, nakłaniające go, by jechał dalej.

- Myślisz, że to, co czuję, doprowadzi nas do Steviego? - spytał z nadzieją w głosie.

Kamael zjadł ostatnią frytkę, przewracając kartonik do góry nogami, żeby upewnić się, czy na pewno nic w nim nie zostało.

- Aaronie, twoja moc jest jeszcze młoda. Stanowi dla mnie taką samą zagadkę, jak dla ciebie.

- Ale to możliwe, prawda? Może w jakiś sposób jestem połączony ze Steviem, który mnie teraz wzywa.

Anioł powoli skinął głową.

- Tak, to możliwe - przyznał. - Ale równie dobrze może to być inne wezwanie, znacznie ważniejsze.

- Nie rozumiem - Aaron spojrzał uważnie na Kamaela. - Co może mnie wzywać poza Steviem? Co może być ważniejsze niż on?

Anioł nie odezwał się. Zatopiony w myślach, gładził się tylko po brodatym policzku.

- Kamaelu? - Aaron podniósł lekko głos.

- To najbardziej niedostępne ze wszystkich miejsc - odpowiedział wreszcie Kamael, a jego oczy rozbłysły niezwykłym blaskiem. Odwrócił się do Aarona i przeszył go głębokim spojrzeniem. - Aerie - wyszeptał. - Być może zabierasz nas do Aerie.

W głowie Kamaela pojawiły się obrazy; twarze tych, których w ciągu niezliczonych stuleci od opuszczenia Nieba udało mu się uratować przed zemstą Strażników. Gdzie oni wszyscy się podziiali? Często zadawał sobie to pytanie. Niektórzy zostali później zabici przez gwardzistów Werchiela, którzy w końcu wytropili ich i wyeliminowali. Ale byli jeszcze inni, którym udało się znaleźć pewne niezwykle i wyjątkowe miejsce, przed nim - jak do tej pory - nadal ukryte.

- Aerie? - spytał Aaron. - Czy to jakieś ptasie gniazdo, czy coś w tym stylu?

- To miejsce jedyne w swoim rodzaju i najbardziej wyjątkowe ze wszystkich na tym świecie. Miejsce tajemne, w którym upadli oczekują na moment ponownego zjednoczenia z Niebem. - Kamael złożył przed sobą dłonie, przypominając sobie te wszystkie chwile, kiedy wydawało mu się już, że je odnalazł - by później przeżyć srogie rozczarowanie.

- Czy byłeś tam kiedyś?

- Nie. Aerie jest przede mną ukryte, ponieważ nie jestem wystarczająco godny, by je poznać. Pamiętaj, że byłem kiedyś przywódcą Strażników, a oni niczego nie pragną bardziej, niż tylko spalić Aerie i wszystko, co się z nim wiąże.

- Jesteś pewien, że to miejsce naprawdę istnieje? - spytał Aaron.

Kamael spróbował sobie wyobrazić, jak wyglądałoby jego życie bez wiary w to, że Aerie rzeczywiście istnieje. Wątpił, by był w stanie kontynuować swoją misję, gdyby okazało się, że na tych, których ratuje - a także na niego samego - nie czeka na tym świecie już nic lepszego.

- Tak, ono istnieje - powiedział cicho. - Jestem o tym przekonany - tak jak nie mam wątpliwości co do tego, że jesteś tym, o którym mówi przepowiednia. I wierz mi, Aaronie, ci, którzy żyją w tym sekretnym miejscu - oni wszyscy wierzą w prorocstwo, które uosabiasz. - Kamael przerwał na moment. - Oni czekają na ciebie, chłopcze.

Aarona zaskoczyło to ostatnie wyznanie anioła. W pewnym stopniu Kamael współczuł młodym ludziom i dostrzegał zalety świata, w którym przyszło im żyć. To, czym, a właściwie kim był Kamael i jaki przyświecał mu cel, wydawało się Aaronowi zbyt skomplikowane - przynajmniej jak na jego osiemnastoletni umysł. Chociaż musiał chyba przyznać, że obecna młodzież całkiem nieźle sobie radziła.

Ci wszyscy ludzie w Aerie - czekają, żebym zrobił dla nich to samo, co zrobiłem dla Ezekiela?

Kamael przytaknął, przypominając sobie walecznego (Jrigori, który pomógł mu ocalić Aarona w czasie ataku Strażników Werchiela na jego dom. W trakcie walki I izekiel odniósł śmiertelne rany, a Nefilim użył swojego proroczego daru, by wybaczyć mu jego występki. Dzięki lemu Zeke mógł wrócić do Nieba.

- Twoim przeznaczeniem jest uwolnić wszystkich, którzy pokutują - powiedział.

Aaron najwyraźniej przetrwał jego słowa i zdał sobie wreszcie sprawę z ich wagi.

- Zanim udzielię komukolwiek rozgrzeszenia, musimy odnaleźć Steviego - zastrzegł jednak. - Bez względu na to, gdzie to uczucie mnie zawiedzie - czy do mojego brata, czy do Aerie, czy nawet do miejsca, w którym robią pyszne taco - znalezienie Steviego i odebranie go temu draniowi Werchielowi jest dla mnie priorytetem. Zgoda? - zażądał Aaron, a jego głos zabrzmiał nad wyraz poważnie.

Kamael zastanawiał się, czy nie powinien polemizować z tym młodzieńcem, ale doszedł do wniosku, że to nic nie da. Aaron Corbet stał się co prawda kimś zupełnie innym, odkąd odkrył w sobie anielską moc, w dalszym ciągu uważał się jednak za człowieka.

- Zgoda - przytaknął Kamael.

Aaron musiał się jeszcze wiele nauczyć - ale na wszystko przyjdzie czas.

- To nie było zbyt miłe. - Gabriel skrzywił się, obwąchując trawnik przed restauracją. - To w ogóle nie było miłe. Pies podążył jakimś tropem, od którego burczało mu w brzuchu, a do pyska napłynęła ślina. Gabriel był głodny - chociaż trzeba przyznać, że rzadko kiedy nie odczuwał głodu. Przy zielonym koszu na śmieci znalazł zawinięty w papier pokruszony wafelek z lodów. Były tam jeszcze inne śmieci, które warto było zbadać, ale postanowił, że wróci do nich później, a na razie zajmie się resztkami wafla.

Gabriel czuł się urażony postawą Aarona, który okazał się zupełnie nieczuły na jego potrzeby. Był głodny, a on nie pozwolił mu zjeść bułki, którą i tak zamierzał wyrzucić. Czuł z tego powodu frustrację, która jeszcze bardziej potęgowała dokuczający mu głód.

Gabriel trącił opakowanie nosem, wyczuwając cudowną woń lodów waniliowych i ciastek czekoladowych. Nie mogąc się powstrzymać, zaczął wylizywać wilgotny papier.

- Nie wolno zjadać rzeczy z ziemi - przypomniał sobie słowa, którymi skarcił go Aaron. Wiedział, że nie powinien tego robić, ale był zły i straszliwie głodny. W końcu wziął papier po lodach do pyska i zaczął przeżuwać. Nie smakował mu zbyt dobrze, ale cóż - w końcu psy nie mają kubków smakowych. To, czy coś jest apetyczne, czy nie, zależy wyłącznie od zapachu. Jeżeli pachniało jak coś do jedzenia, to w zupełności wystarczało psu, zwłaszcza labradorowi. Po kilku kłapanięciach szczęką papier ześlizgnął się w dół przełyku Gabriela do jego żołądka.

Zwierzak czuł się nadal głodny i trochę winny. Zostawił więc kosz i zwrócił swoją uwagę na trzyosobową rodzinę, która jadła obiad przy innym stoliku. Pies podszedł do nich, radośnie machając ogonem na powitanie. Razem ze swoimi rodzicami na ławce siedziała mała dziewczynka, mniej więcej w tym samym wieku co Stevie.

Obserwując ich, Gabriel poczuł, jak ogarnia go fala smutku. Tęsknił za swoją rodziną. Tom i Lori nie żyli, a Stevie został uprowadzony przez Straż Anielską. Przynajmniej miał jeszcze Aarona. Nie było już wprawdzie tak jak kiedyś, ale na jakiś czas musiało wystarczyć. Mimo to, pies nie potrafił przyzwyczaić się do kogoś, kto nazywał się Kamael. Nie wzbudzał zaufania. Pachniał niemal identycznie jak tamten, zły - Werchiel, a to wystarczający powód, żeby go nie lubić.

- Cześć, piesku! - zapiszczała dziewczynka, kiedy obróciła się i zauważyła labradora.

Gabriel poczuł, jak jej rodzice zamarli - wyczuwał wyraźnie ich niepewność, gdy zbliżał się do ich stolika. Ale nie przejął się tym zbyt wiele. W końcu był dla nich obcym psem, a na świecie nie brakowało psów, z którymi sam nie chciałby mieć do czynienia. Usiadł więc



grzecznie, tak jak uczył go Aaron, podniósł jedną łapę na powitanie, szczerknął łagodnie i zamerdał ogonem.

Na ten widok dziewczynka roześmiała się radośnie; jej rodzice też się uśmiechnęli.

- Czy mogę go pogłaskać? - spytało dziecko, zsuwając się z ławki.

- Pozwól, żeby cię najpierw obwąchał, Lily - ostrzegł ją ojciec. - Nie chcesz go chyba wystraszyć, prawda? Dziewczynka wyciągnęła rękę i Gabriel powąchał różową skórę jej dłoni. Wyczuł natychmiast kilka różnych zapachów: mydła, które pachniało jak guma do żucia, paluszków serowych, soku owocowego i perfum matki. Delikatnie polizał jej rękę.

Lily pisnęła z uciechy i zaczęła głaskać go po głowie.

- Jesteś dobrym pieskiem, prawda? - zagruchała. - I masz takie miękkie uszka.

Gabriel doskonale o tym wiedział, ale nie chciał odbierać dziecku radości. Po chwili jednak uderzył go w nozdrza cudowny zapach jedzenia. Podniósł więc pysk i delektował się aromatem hotdoga, którego matka Lily położyła przed nią na stole.

- Lily, pozwól pieskowi wrócić do jego rodziny i zajmij się jedzeniem, dobrze? Lily pogłaskała Gabriela po głowie, a potem nachyliła się w jego stronę.

- Do widzenia, piesku - powiedziała i ucałowała go w pysk. W tej samej chwili w żołądku labradora rozległo głośnie burczenie.

- Czy to twój brzuszek? - zachichotała dziewczynka. Gabriel zajrzał jej głęboko w oczy.

- Tak - odpowiedział krótkim szczerknięciem.

Dziewczynka nie rozumiała go tak jak Aaron, ale chyba uznała to za potwierdzenie - jakby potrafiła porozumieć się z nim telepatycznie.

- Jesteś głodny? - spytała.

Gabriel nie potrafił skłamać, więc odszczerknął twierdząco, próbując przekazać jej w myślach, że nie miałby nic przeciwko kawałkowi jej lunchu.

Lily wróciła do stołu. Wzięła do ręki hotdoga, oderwała kawałek - razem z bułką i całą zawartością - i przyniosła Gabrielowi.

- Nie wiem, czy powinnaś to robić, kochanie - zauważył jej ojciec.

Lily pokazała jedzenie labradorowi, a on delikatnie wyjął jej z ręki kawałek hotdoga i przełknął jednym ruchem.

- Dzięki, Lily - pomyślał, z wdzięcznością patrząc jej w oczy.

- Proszę bardzo - odpowiedziała dziewczynka ze słodkim uśmiechem.

Wtedy podszedł do nich ojciec Lily ze swoją kanapką w ręce.

- Już wystarczy - powiedział, próbując odprowadzić dziecko z powrotem do stolika. - Myślę, że piesek już się najadł. Pożegnaj się z nim i chodź.

Gabriel wbił w niego spojrzenie swoich mądrych oczu.

- Zanim sobie pójdę - skierował swoje myśli pod adresem ojca Lily - czy mógłby mnie pan poczęstować swoją kanapką?

Bez chwili wahania mężczyzna oderwał kawałek hamburgera i rzucił labradorowi.

Gabriel był usatysfakcjonowany. Bolesne skurcze pustego żołądka na jakiś czas ustały, dzięki Lily i jej rodzicom, którzy okazali się tak hojni, że podzielili się z nim swoim obiadem. Postanowił więc wrócić do swego pana, wachając wszystko po drodze, jak to ma w zwyczaju każdy pies.

W pewnym momencie usłyszał szczęk obroży, a chwilę później poczuł zapach metalu.

Gabriel zatrzymał się na końcu zarosłej dróżki, prowadzącej na pobliski plac zabaw. Zobaczył kilka huštawek, niewielką zjeżdżalnię i drewniany domek w kształcie poci ągu. Wtedy po raz drugi usłyszał dzwonienie łańcuszka i zza drewnianego domku wybiegła jakaś suczka, z nosem przy ziemi, jakby podążała za świeżo odkrytym tropem.

Gabriel przypadł do ziemi, zamachał radośnie ogonem i zaszczekał przyjacielsko na powitanie. Ale mi się trafno - pomyślał. Me dość, że mam pełny brzuch, to jeszcze spotkałem kogoś do zabawy.

Suka wzdrygnęła się, zaskoczona jego nagłym pojawieniem się. Ostrożnie odmachala ogonem. Podobnie jak Gabriel, ona także była biszkoptowym labradorem; wokół karku nosiła czerwoną apaszkę i cienką metalową obrózkę.

Gabriel podszedł bliżej.

- Jestem Gabriel - przedstawił się.

Suka gapiała się na niego i pies zauważył, jak zaczyna jej się jeżyć sierść na karku.

- Me bój się - powiedział łagodnym tonem. - Chcę się tylko pobawić. - To mówiąc, położył się na ziemi, żeby pokazać, iż wcale nie ma wrogich zamiarów. - A ty jak masz na imię?

Suka podeszła do niego powoli, wdychając powietrze, jakby szukała jakichś oznak grożącego jej niebezpieczeństwa. To dziwne - pomyślał Gabriel. Może nie pozwalają jej się bawić z innymi psami.

- Na imię mam Gabriel - powtórzył.

- Ja jestem Tobi - odparła niepewnie jego nowa znajoma, wciąż zjeżona i wystraszona.

- Witaj, Tobi. Chcesz się ze mną pościgać? - zaproponował Gabriel, wstając na cztery łapy.

Tobi obwąchała go i zawarczała głucho. Powoli zaczęła się wycofywać z podkulonym ogonem. Gabriel był zbity z tropu.

- O co chodzi? - spytał, podchodząc bliżej. - Nie musisz mnie gonić, jeśli nie chcesz. Ja mogę pobiegać za tobą.

Tobi szczeknęła ostrzegawczo i obnażyła kły, po czym wycofała się dalej, w stronę placu zabaw.

Gabriel zatrzymał się w miejscu.

- Co się stało? - W jego głosie zabrzmiała autentyczna troska i rozczarowanie. - Dlaczego nie chcesz się ze mną bawić?

- Ty nie jesteś psem - warknęła Tobi, obwąchując powietrze wokół niego. - Jesteś inny - rzuciła, po czym uciekła i schowała się za drewnianym domkiem.

Gabriela kompletnie замуrowało. Z początku nie miał bladego pojęcia, o co jej chodzi. Ale potem przypomniał Mibie ten dzień, kiedy o mały włos nie zginął. Wspomnienie bólu, który poczuł, gdy uderzył go samochód, sprawiło, że pies zadrżał. Aaron coś mu wtedy zrobił - położył na nim dłonie i ból zniknął. Od tamtej pory wszystko stało się dla niego jakby jaśniej sze. Czy to wtedy stał się inny?

Gabriel opuścił plac zabaw, zastanawiając się po drodze, czy wciąż jeszcze jest psem, gdy nagle usłyszał głos Aarona. Przyspieszył kroku i po chwili dołączył do swojego pana i towarzyszącego mu Kamaela, którzy zbierali właśnie śmieci po obiedzie i szykowali się do drogi.

- Gdzie się podziewałeś? - spytał Aaron w drodze na parking.

- Tu i tam - odparł wymijająco Gabriel. Nie miał specjalnie ochoty na rozmowę.

Gdy czekali na przejściu dla pieszych, minął ich jakiś samochód. Gabriel zobaczył siedzącą z tyłu Tobi, która przyglądała mu się uważnie. Obserwując, jak samochód znika w oddali, z przykrością zdał sobie sprawę, że dzieli ich nie tylko szklana szyba, ale coś więcej.

- Wszystko w porządku? - spytał Aaron, schylając się, żeby pogłaskać psa po pysku.

- Nic mi nie jest - odparł Gabriel, chociaż sam nie do końca w to wierzył. W głowie wciąż brzęczały mu słowa: Nie jesteś psem. Jesteś inny.

#### INTERMEDIUM 1

To może zboleć, mój panie. Werchiel syknął z bólu, kiedy znachor przyłożył mokrą szmatę do ślimaczących się ran na pokrytym plamami ramieniu.

- Dlaczego się nie goją, Kraus? - spytał przywódca Straży Anielskiej.

Mężczyzna przyklepał nawilżony materiał i sięgnął do drewnianej miski po kolejny skrawek wilgotnej tkaniny, nasączonej leczniczym olejem z roślin wymarłych na długo przed tym, jak Kain zabił swojego brata, Abla.

- To wykracza daleko poza moją wiedzę, panie - odparł, błyskając przesłoniętymi bielmem oczami w bladym świetle, wpadającym przez świetliki w dachu do wnętrza sali lekcyjnej.

Opuszczona szkoła na terenie kościoła pod wezwaniem św. Anastazego, w zachodniej części stanu Massachusetts, stanowiła schronienie dla Werchielia i jego gwardii od czasu bitwy z Nefilimem. Zatrzymali się tutaj na jakiś czas, by zebrać siły do dalszej walki przeciwko tym, którzy ośmielali się kwestionować władzę daną Strażnikom przez Boga.

Werchiel wiercił się z bólu, siedząc w wysokim, drewnianym fotelu, ukradzionym z pobliskiego kościoła, podczas gdy znachor okładał jego spalone ciało szmatami nasączonymi leczniczymi miksturami.

- W takim razie odpowiedz mi przynajmniej na jedno pytanie: czy te rany zostały zadane przez wynaturzoną istotę, nazywaną Nefilimem, czy też są skutkiem Boskiej interwencji?

Werchiel za wszelką cenę starał się poznać przyczynę straszliwego bólu, który towarzyszył mu od chwili uderzenia przez błyskawicę w trakcie walki z Aaronem Corbetem. Anioł pragnął pozbyć się tego bólu, zamknąć go gdzieś w najgłębszej skrzyni i pozostawić w ciemności. Ale ból nie chciał go opuścić ani na chwilę. Trwał, przypominając stale Werchielowi, że być może obraził Stwórcę - i został ukarany za swoją bezczelność.

- Moim zadaniem jest leczyć, Wielki Werchielu - powiedział Kraus. - Nie sądzę...

Werchiel zerwał się na równe nogi z fotela, który runął na ziemię z impetem pod naporem potężnych skrzydeł anielskich. Kraus zatoczył się jak pijany, popchnięty do tyłu silnym podmuchem wiatru.

- A więc udzielam ci pozwolenia, małpo! - Werchiel ryknął na niewidomego starca, przekrzykując szum własnych skrzydeł. - Powiedz mi, co czujesz w swoim prymitywnym sercu. - To mówiąc, dotknął bolesnych blizn na piersiach. - Czy twoim zdaniem, te rany zadała mi Boska ręka?

- Litości, panie! - Kraus upadł na kolana, a potem skulił się na podłodze. - Jestem tylko nędznym sługą. Błagam, nie każ mi nawet myśleć o takich sprawach!

- Ja zaspokoję twoją ciekawość, Werchielu - odezwał się głos z przeciwległego końca pomieszczenia.

Werchiel powoli odwrócił głowę w stronę zaciemnionej części klasy, gdzie z sufitu zwisała wielka żelazna klatka, zamknięta siłą potężnych zakłęb. Klatka zakołysała się pod naporem furii anioła. Więzień zabrany z monasteru w Górach Serbskich wyrzwał zza krat, a na jego wychudzonej twarzy zatańczył na moment dziki płomień.

- Czy chcesz usłyszeć, co mam ci do powiedzenia? - zapytał, a właściwie wyszeptał suchym głosem.

Ach, widzę, że nasz więzień odzyskał przytomność. Werchiel uśmiechnął się. - Myślałem, że rany zadane przez moich żołnierzy uciszą cię na dłużej.

Więzień zacisnął brudne dłonie na żelaznych prętach. Bywało gorzej - powiedział bez emocji. - Czasem trzeba zapłacić określoną cenę.

Werchiel zwinął skrzydła, które po chwili zniknęły pod skórą na jego plecach.

- Rzeczywiście - wykrzywił twarz w okrutnym grymasie.

Kraus przysłuchiwał się im, zginając się co jakiś czas w poddańczych ukłonach.

- Zostaw mnie teraz - rozkazał mu Werchiel. - Spakuj swoje rzeczy i odejdz.

- Tak, panie. - Ślepy starzec zebrał z podłogi swoją lorbę z medykamentami i powoli zaczął kierować się w stronę wyjścia.

- Dlaczego oni to robią? - odezwał się więzień, obserwując wychodzącego medyka. - Jaką perwersyjną radość czerpią z ponizenia, które im serwujemy? Zadaję sobie to pytanie od wielu lat.

- Może dzięki nam ich przyziemne życie nabiera sensu? - odparł Werchiel, podchodząc do klatki. - Dajemy im coś, czego nie mieli, żyjąc tylko wśród swojej rasy. - Anioł zatrzymał się przed wiszącą klatką i spojrzał więźniowi w oczy. - A może... nie są tak inteligentni, za jakich ich uważamy - dodał z perwersyjnym rozbawieniem.

- Dlatego możemy ich wykorzystywać i poniżać?

- Oczywiście, jeśli ma to służyć wyższemu dobru. Ludzie pomagają nam wypełniać Bożą wolę. W ten sposób służą zarówno swojemu Stwórcy, jak i nam. Czy może być bardziej szlachetny cel?

Ubrany nadal w obszarpany habit z serbskiego monasteru, więzień usiadł ze śmiechem i oparł się o pręty klatki.

- A ty zastanawiasz się, co straciło cię z nieba? - zachichotał, odnosząc się do blizn Werchiela. - Nie sądziłem, że jesteś aż tak głupi, ale jak widać, pomyliłem się co do ciebie nie po raz pierwszy.

Werchiel nachylił się i zajrzał w głąb klatki.

- Proszę, podziel się ze mną swoją mądrością - wycedził. - Z chęcią wysłucham, co ma mi do powiedzenia ktoś taki jak ty - najsłynniejszy spośród wszystkich upadłych. Oświeć mnie, co w tych dniach zaprzęta umysł naszego Stwórcy?

Więzień mimochodem sięgnął do rękawa habitu i wyjął stamtąd mysz. Delikatnie dotknął palcem czubka małego łebka, pozwalając, by mysz wyszła na jego otwartą dłoń.

- Tego nie potrafię ci powiedzieć, Werchielu - oznajmił, przyglądając się, jak stworzenie wędruje w górę rękawa jego habitu, sadowiąc mu się na ramieniu. - Od czasu, gdy rozmawiałem z Bogiem po raz ostatni, minęło wiele czasu. Ale sądząc po twoim aktualnym stanie, chyba nie jest specjalnie zadowolony z efektów twoich działań.

Po tych słowach więzień uśmiechnął się - uśmiechem niesłychanie pięknym, pełnym ciepła i miłości. Ten uśmiech wystarczył w zupełności za dowód tego, iż był kiedyś jednym z ulubionych dzieci Boga.

- I ja mam ci uwierzyć? - Przywódca Straży Anielskiej zacisnął kurczowo dłonie na kratkach. - Mam dać wiarę komuś, kto nazywany był Księciem Kłamstw?

- Otóż to! - odparł więzień z myszą na ramieniu. - Ale pamiętaj - dodał z uśmiechem - w przeciwieństwie do ciebie, ja m i a ł e m pewne doświadczenie w tych sprawach.

### **ROZDZIAŁ 3**

Wędrujący przez las w poszukiwaniu swojej ofiary Mufgar, przywódca plemienia Deheborn Orisha wiedział, że decyzja, którą podjął ubiegłej nocy, była właściwa.

Dzięki kilku podstawowym, prymitywnym zakłębom Mufgar zmusił skały i głazy w tunelu, którym podróżowali, by zmieniły swoje ułożenie, dzięki czemu mogliby wydostać się z podziemnego labiryntu.

- Tutaj nigdy nie wpadniemy na jego trop - powiedział do swoich kompanów, kiedy jedna z podziemnych ścian ustąpiła, odkrywając nowy tunel prowadzący na powierzchnię. - Nasze przeznaczenie czeka na nas na ziemi, która znajduje się nad naszymi głowami.

Mufgar podziękował magicznym żywiołom za pomoc, składając im w ofierze trochę suszonych owoców, po czym wraz ze swoimi towarzyszami wyszedł na skąpaną w porannym słońcu ziemię. Od tamtej pory minęło już osiem godzin, w czasie których nikt z członków plemienia nie odezwał się ani słowem.

Wyczuwał ich gniew, strach i rozczarowanie, spowodowane jego decyzją. Było mu naprawdę przykro, że kwestionowali jego zdanie, ale z drugiej strony wiedział, że nie porzucą swojej służby. Zgodnie z wolą Potęg, zapolują na Nefilima, schwytyają go i w ten sposób

zasłużą na wolność. Tak właśnie będzie - pomyślał, przypominając sobie niezwykłą wizję, która nawiedziła go podczas snu. To była wizja sukcesu.

Mufgar uniósł rękę, zatrzymując grupę w samym sercu gęstego lasu. Wsłuchiwał się uważnie w otaczające ich odgłosy: świergot ptaków, szum wiatru pośród drzew - i coś jeszcze.

- Czy to Nefilim, Mufgarze? - syknął stojący u jego boku Tehom, wznosząc włócznię i rozglądając się nerwowo na boki.

- Nie - uspokoił go wódz Orisha, po czym wsłuchał - się znowu w dobiegające z oddali dźwięki. To były dźwięki maszyn. Jak one się nazywają? Poszukał w pamięci dziwnego słowa. Samochody - przypomniał sobie z satysfakcją. - To nie Nefilim - szepnął - ale te samochody nas do niego doprowadzą.

Mufgar wskazał palcem jakiś punkt w oddali.

- Widziałem je we śnie - wyjaśnił i postanowił podzielić się z towarzyszami swoim doświadczeniem, by technąć w nich trochę wiary w swoje przywództwo. Odwrócił się w stronę Szokada i wbił w niego krogulcze spojrzenie. - Ja też miałem wizję, gdy spałem. Śniło mi się, że Nefilim przyszedł do nas...

Szaman zmarszczył brwi i odwrócił wzrok.

-...i ustąpił w obliczu naszej mocy. - Mufgar rozniósł włócznię, by podnieść swoich łowców na duchu i wyzwolić w nich ducha walki. - A wielki Lord Werchiel nagroził nas za odwagę wolnością, dzięki której znaleźliśmy błogosławione miejsce Schronienia.

Słyszac to najświętsze słowo, wszyscy Orisha skłonili się z głębokim szacunkiem.

To był najdziwniejszy ze wszystkich snów, jaki kiedykolwiek przyśnił się Mufgarowi. Tak wyraźny, jak dzień, który nastął po nocy. Zawierał odpowiedzi na wszystkie pytania, które go nurtowały. Wątpliwości, które towarzyszyły mu od ostatniej rady, rozplynęły się i zniknęły jak dym na wietrze. Ta wizja, którą być może zawdzięczał duchom swoich wielkich przodków, mówiła mu, że osiągnie zwycięstwo. Nie mógł sobie wymarzyć niczego lepszego.

Mufgar odwrócił się do szamana, który został nieco z tyłu. Stary Orisha kucnął i wyjął z torby przy boku garść kości i gładkich, błyszczących kamyków.

- Nie wierzysz w senne wizje swojego dowódcy, Szokadzie? - spytał.

Starzec nie odpowiedział, tylko rozrzucił kamienie na ścieżce przed sobą. Rozwinął skrzydła i wymachiwał nimi nerwowo, próbując odczytać wróżbę z kamieni.

- Hmmm - wymamrotał, pocierając w zamyśleniu brodę.

- Co chcesz mi powiedzieć, Szokadzie? - spytał Mufgar. - Czy twoje kamienie i kości przepowiadają zwycięstwo i wolność?

Stary Orisha w milczeniu pozbierał swoje narzędzia do przepowiadania przyszłości i włożył je z powrotem do torby.

- Mów, szamanie - rozkazał Mufgar. - Twój dowódca nakazuje ci odkryć przed nami to, czego się dowiedziałeś.

- Kości i kamienie przepowiedziały śmierć - Szokad odezwał się wreszcie grobowym głosem.

Stojący obok Zawar i Tehom zamarli.

- Śmierć? - upewnił się Tehom, a w jego drżącym głosie zabrzmiało przerażenie.

- Śmierć? - powtórzył za nim jak echo Zawar. - Ale czyją śmierć?

Szokad potrząsnął głową, a kości wplecione w jego włosy zagrzechotały złowieszczo.

- Tego mi nie powiedziały, ale przypuszczam, że chodzi o kogoś, kto przeciwstawi się mocy Nefilima. - To mówiąc, spojrzał wyzywająco na Mufgara, kwestionując po raz kolejny jego słowa.

- A co z tymi, którzy sprzeciwią się woli swoich panów? - wódz odpowiedział pytaniem. - Jaki los czeka tych, którzy przeciwstawiają się Potęgom? Czy ich także czeka śmierć?

Szaman spochmurniał.

- Być może. Nie zmienia to jednak faktu, że śmierć będzie od tej pory naszym stałym towarzyszem. Musimy wybrać dalszą drogę z wielką rozważą, w przeciwnym razie możemy na zawsze stracić szansę odnalezienia Raju, którego tak długo szukamy.

Zawar i Tehom popatrzyli po sobie. Sprzeczne interesy przywódcy i szamana sprawiały, że w ich szeregach wkradała się niepewność i bezsilność.

- Wielki Mufgarze - wyszeptał Zawar, rozglądając się po lesie i wypatrując jakichś znaków zwiastujących nadejście nieuchronnej śmierci - co mamy robić?

Mufgar spojrzał w stronę, z której dobiegały odgłosy przejeżdżających samochodów.

- Jest tylko jedno wyjście - oznajmił i ruszył przed siebie. - Kontynuować polowanie - i w ten sposób zasłużyć na wolność.

Nie odwrócił się nawet, żeby zobaczyć, czy pójdą za nim. Nie musiał tego robić, bo wiedział, że tak właśnie postąpią - widział to w swoim śnie.

Aaron utrzymywał stałą prędkość 90 km/h, zjeżdżając w dół krętą boczną drogą. Zaciskał mocniej ręce na kierownicy, czując, jak rośnie w nim coraz większe podniecenie. Zbliżali się do celu - wiedział to, czuł wewnątrz dziwne sensacje, jakby dudnienie.

- Czy tylko ja to czuję, czy wam też to się udziela? - spytał na głos. Kamael chrząknął znacząco, przyglądając się czemuś na drodze przed nimi.



- Co takiego? - zainteresował się Aaron. - Zobaczyłeś coś?

Anioł milczał, mrużąc tylko oczy, jakby chciał lepiej przyjrzeć się temu, co przykuło jego uwagę. Aaron był u kresu wytrzymałości. Miał wrażenie, jakby przed nim stał facet z pomarańczową flagą, sygnalizującą kres podróży. Dotarł bardzo blisko - nie był pewien, ale organizm podpowiadał mu, że jest o krok od tego, czego szukał.

- Co tam widzisz, na miłość boską! - krzyknął. Kamael powoli odwrócił głowę i popatrzył na niego stalowym, zimnym wzrokiem.

- Przepraszam - powiedział Aaron, jakby usprawiedliwiając niekontrolowany wybuch emocji. - Chyba wiem już, dokąd zabrali Steviego - nie chciałem na ciebie krzyżeć. Ale jestem taki podniecony!

Anioł skupił z powrotem wzrok na drodze i wskazał coś palcem.

- W oddali, niedaleko stąd widzę miasto.

Aaron odczekał chwilę, ale Kamael nie powiedział nic więcej.

- To wszystko? - spytał, tracąc znowu cierpliwość. - Zobaczyłeś tylko miasto?

Gabriel, który chrapał smacznie na tylnym siedzeniu, nagle zaczął się wiercić. Aaron zobaczył we wstecznym lusterku, jak labrador siada, oblizuje wargi i śledzi wzrokiem mijany krajobraz.

- Gdzie to miasto? - odezwał się. - Wszędzie widzę tylko las.

- Kamael powiedział, że w oddali - wyjaśnił Aaron. - Mam przeczucie, że właśnie tam Werchiel więzi Steviego.

- W tym mieście jest coś niezwykłego - powiedział Kamael, zamykając w skupieniu oczy i głaszcząc się po siwej brodzie. - Ale nie widzę, co konkretnie. Wiem tylko, że to coś wprawia mnie w zakłopotanie.

Aaron sięgnął do schowka. Anioł cofnął się gwałtownie, ale chłopak nie zwracał na niego uwagi. Szukał czegoś w schowku, nie spuszczał przy tym oczu z drogi i utrzymując auto na właściwym pasie.

- Jak się nazywa? Może znajdę je na mapie - powiedział, zatraskując schowek i rozkładając mapę na kolanach.

- Nazywa się Blithe - odparł Kamael. - I jak na ludzkie standardy, jest chyba dosyć stare.

- Ciekaw jestem, czy w ogóle zaznaczyli je na mapie - powiedział Aaron, dzieląc uwagę między drogę i mapę. - Chcę sprawdzić, ile jeszcze kilometrów nam zostało.

- Zatrzymajmy się - odezwał się nagle Gabriel.

- Zobaczymy najpierw, gdzie jest to Blithe. - Aaron przyjrzał się psu w lusterku.

Gabriel sprawiał wrażenie, jakby odczuwał ogromny dyskomfort, wierząc się tam i z powrotem na siedzeniu.

- Chyba nie wytrzymam dłużej - przyznał z nutką paniki w głosie.

Aaron miał mu właśnie odpowiedzieć, kiedy nagle poczuł falę potwornego smrodu, płynącą z tyłu.

- O mój Boże - powiedział i zaczął rozpaczliwie opuszczać szybę.

- Co ty robisz? - spytał Kamael, jak zwykle lekko rozdrażnionym tonem. Wpadający do wnętrza samochodu wiatr rozwiewał jego długie włosy. Chwilę później wyraz jego twarzy zmienił się z rozdrażnienia w absolutne obrzydzenie.

- Co to za zapach? - warknął, wydymając ze wstrętem wargi.

Zasłaniając sobie usta i nos, Aaron skinął głową, wskazując na winnego siedzącego na tylnym siedzeniu.

- Coś ty zrobił? - Anioł odwrócił się do psa. Gabriel nie odpowiedział, gapił się tylko przez okno.

- Puścił baka - wyjaśnił Aaron, nie odrywając dłoni od twarzy. - Dzieje się tak za każdym razem, kiedy zje coś, czego nie powinien.

- To obrzydliwe. - Kamael nie spuszczał oskarżycielskiego wzroku z psa. - Trzeba coś zrobić, żeby to się już nigdy więcej nie powtórzyło.

Aaron zerknął we wsteczne lusterko.

- Czego się nażarłeś na postoju, Gabe? - zmarszczył surowo brwi, chociaż doskonale wiedział, że jego labrador mógłby zjeść dosłownie wszystko.

Gabriel nie odpowiedział. Aaron nie spodziewał się zresztą, że pies się przyzna. Zjechał więc na pobocze i zatrzymał samochód.

Co teraz? - spytał Kamael.

- Jest tylko jeden sposób, by rozwiązać ten problem. Aaron otworzył drzwi i wysiadł z auta, po czym wypuścił swojego przyjaciela. - Może kiedyś nauczysz się wreszcie nie jeść wszystkiego, co się znajdzie w zasięgu iwojego wzroku - upomniał psa.

Gabriel wyskoczył na trawę.

- Me zjadłem wszystkiego - sporo im jeszcze zostało.

- Zaraz, zaraz! - krzyknął Aaron w ślad za swoim psem, który z nosem przy ziemi oddalał się w kierunku pobliskiego lasu. - Komu jeszcze sporo zostało? Czy ktoś częstował cię jakimś jedzeniem?

- Muszę się załatwić - poinformował Gabriel, unikając odpowiedzi na pytanie swojego pana i zniknął za drzewami.

- Wytłumacz mi, proszę, co tu się dzieje! - Aaron stracił cierpliwość. -1 wracaj zaraz, musimy jechać dalej.

- Me uda mi się nic zrobić, jeśli będziesz się na mnie gapił - usłyszał jeszcze głos Gabriela, dobiegający z brzoźowego zagajnika.

- Od kiedy to zrobiłeś się taki strasznie wstydlivy? - Aaron wymamrotał pod nosem. - Pewnie od czasu, gdy wyrwałem cię ze szponów śmierci. - To mówiąc, wrócił do samochodu, gdzie stał Kamael, obserwując uważnie drogę. - Jak myślisz, co znajdziemy w tym Blithe? - spytał anioła.

Kamael ostrożnie pokręcił głową.

- Szczerze mówiąc, nie mam najmniejszego pojęcia. Aaron skrzyżował ramiona i również spojrział w dal.

- Sądząc po tym, jak się czuję, będzie to chyba coś wyjątkowo interesującego.

- Z tym akurat się zgadzam - odparł Kamael, wdychając głęboko powietrze. Aaron przyjrzał mu się uważnie i zauważył, że anioł jest potwornie spięty.

- Co się stało?

- Ty też to czujesz?

Aaron nabrał powietrza w płuca. Czuł jedynie woń la - J su w wiosennym rozkwicie.

- Nie czuję nic specjalnego poza zapachem drzew...

- urwał w pół zdania. Nagle poczuł coś jeszcze - jakiś piżmowy, zwierzęcy zapach. Nie rozpoznał go jednak.

- Co to takiego?

Kamael wyciągnął przed siebie rękę i Aaron ujrzał, jak wyłania się z niej dobrze znany kształt pomarańczowego ognistego miecza.

- Orisha - warknął anioł.

Aaron miał właśnie zapytać, kim lub czym jest ten Orisha, gdy nagle z lasu dobiegło go przeraźliwe, pełne strachu ujadanie Gabriela. Przypominało ono raczej strzały z karabinu maszynowego.

Gabriel! - wrzasnął, a w jego dłoni natychmiast zapłonęło gorejące ostrze.

Aaron wbiegł do lasu, torując sobie drogę ognistym mieczem. Tuż obok niego biegł Kamael. Obaj zatrzymali się jak wryci na skraju niewielkiej polany.

- Co to, u licha, jest? - wyszeptał Aaron, czując, jak ze strachu włosy stają mu dęba.

Było ich czterech. Paskudne istoty, mierzące nie więcej niż półtora metra, o skórze w kolorze przybrudzonej miedzi. Wyglądali bardzo prymitywnie, mieli na sobie jedynie kawałki skóry i futra, a ich długie włosy były przyozdobione kośćmi. Jeden z nich miał na głowie coś

na kształt pióropusza zrobionego ze skór wyprawionych leśnych zwierząt. Z ich pleców wyrastały małe, czarne skrzydła, które trzepotały hałaśliwie, jak rolety w oknach na wietrze. Dziwaczne stworzenia zarzuciły na Gabriela prymitywną sieć i starały się teraz poskromić walczącego psa.

- To są właśnie Orisha - wyjaśnił Kamael. - Nieudolna próba stworzenia życia przez moich upadłych braci.

- Rzeczywiście, średnio udana - zgodził się Aaron.

- Gdyby nie Strażnicy, te nieszczęsne istoty już dawno zniknęłyby z powierzchni świata. Posługują się nimi w charakterze psów gończych. To tacy prymitywni myśliwi.

- Czyli nie są raczej niebezpieczni, prawda? - upewnił się Aaron, obserwując, jak łowcy nie potrafią dać sobie rady z rzucającym się w sieci labradorem.

- Wręcz przeciwnie. Pomimo swojej nikczemnej postury, w walce wykazują się wielką zaciekłością.

Z sieci wyłonił się łeb Gabriela, który kłapał wściekle szczękami, starając się ugryźć któregoś ze swoich prześladowców.

- Aaronie, przydałaby mi się tu jakaś pomoc - zawołał na widok swojego pana.

Orisha obrócili się i zaczęli zbliżać się w stronę Aarona i Kamaela, warcząc groźnie. Trzech z nich podniosło z ziemi prymitywne włócznie, a ten z pióropuszem dobył z wiszącej na kościstej nodze liścianej pochwy kamienny sztylet.

Aaron sprężył się, gotowy do ataku, z obnażonym mieczem.

- Co robimy? - spytał stojącego spokojnie obok anioła.

- Strażnicy wyznaczili zapewne nagrodę za nasze głowy - powiedział Kamael, takim tonem, jakby rozmawiali o pogodzie. - Orisha spróbują nas pojmać, a jeśli się to nie uda, na pewno podejmą ryzyko pozbawienia nas życia.

Prymitywne stworzenia zbliżały się, Aaron słyszał wyraźnie ich warczenie, które przypominało mu dźwięk zepsutego klimatyzatora - było jednak od niego dużo snaszniejsze.

- I co zrobimy? - powtórzył z rosnącą w głosie paniką.

- To chyba oczywiste, chłopcze - odparł anioł, rozwijając potężnych rozmiarów skrzydła. - Zabijemy ich.

- Podejrzałem, że właśnie taką odpowiedź usłyszę. - Aaron pokiwał głową. Orisha wydali przeraźliwy okrzyk bojowy i rzucili się na swoje ofiary.

Moc, która mieszkała w Aaronie zapragnęła znów wydostać się na wolność. Czuł, jak przechadza się gdzieś w jego wnętrzu, jak znudzony dziki kot w klatce w zoo. To zaczęło się zaraz, gdy tylko Kamael wspomniał o Orisha. Powtórzyła się sytuacja z dnia, w którym Aaron

zabrał Gabriela na przejażdżkę i skończyło się to dla niego potrąceniem przez samochód. Moc Nefilima robiła wszystko, by zrzucić z siebie krępujące ją więzy.

Kiedy Orisha z zaskakującą szybkością wzbili się w powietrze na swoich karłowatych skrzydłach, anielska siła zawrzała w Aaronie ze zdwojoną siłą. Ale on nie pozwolił jej się wydostać. Na samą myśl o transformacji, którą przeszedł tamtej straszliwej nocy w Lynn, zadrżał ze strachu.

- Masz szczęście, że mam przy sobie jeden z tych przeklętych mieczy i potrafię się nim posługiwać - wymamrotał pod nosem, podnosząc płonące ostrze i strącając nim pierwszą z atakujących kreatur.

Bestia zaskowyczała w agonii, spadając na ziemię; jedno z jej skrzydeł płonęło żywym ogniem. Ranny Orisha wił się z bólu, próbując ugasić tłące się skrzydło wilgotną ziemią, ale Aaron odwrócił już wzrok, żeby zobaczyć, jak radzi sobie Kamael.

Drugi z napastników rzucił się na anioła, celując włócznią prosto w jego twarz. W ostatniej chwili zmienił jednak zdanie i opuścił drzewce, godząc Kamaela w pierś. Ten zaryczał z bólu i wściekłości, po czym wznosił miecz i rozplątał napastnika na pół.

- Aaronie, uważaj! - rozległ się za jego plecami ostrzegawczy krzyk Gabriela.

Aaron odwrócił się błyskawicznie, w samą porę, by sparować cios trzeciego z łowców - tego z wymyślnym pióropuszem na głowie.

- Zginiesz z naszych rąk - zaskrzeczał wódz w swoim prymitywnym języku. - Widziałem to we śnie.

Aaron zamachnął się mieczem. Mufgar zdążył jednak odskoczyć, w przeciwnym razie potężne ostrze odrąbałoby mu bezkształtną głowę. Moc buzująca w Aaronie wpadła teraz w szal, starając się ze wszystkich sił wydostać na zewnątrz. Wódz rzucił się do kolejnego ataku i tym razem prawie mu się udało. Zatopił ostrze prymitywnego noża w ramieniu Aarona, który krzyknął z bólu i ciął mieczem na oślep. Napastnikowi udało się jednak umknąć poza zasięg płonącego ostrza.

- Aaronie, czy wszystko w porządku?

- Nic mi nie jest, Gabrielu - Aaron zapewnił psa, któi y w tym czasie starał się przygwoździć do ziemi bronią ego się Orisha ze spalonym skrzydłem. - Ty też uważaj na siebie. Te istoty są naprawdę niebezpieczne.

Zranione ramię pulsowało bólem, który zdawał się spływać w dół ręki, niemal wytrącając Aaronowi miecz z dłoni. Czyżby trucizna? - przeleciało mu przez myśl. Odwrócił się do Kamaela i zobaczył, że anioł pada na kolana.

- Czy zdążyłem ci wspomnieć, że Orisha moczą ostrza swojej broni w narkotyku, który paraliżuje i unieruchamia ich wrogów? - bełkotliwym głosem spytał Kamael.

- Nie, nie zdążyłeś. - Aaron zdobył się jeszcze na sarkazm, zanim miecz wyslizgnął się z jego zeszywniałej dłoni i upadł na ziemię, rozpryskując się tysiącem iskier, po czym zniknął zupełnie.

Teraz, kiedy Aaron i Kamael nie stanowili już żadnego zagrożenia, pozostali Orisha zwrócili swoją uwagę na walczącego Gabriela. Aaron patrzył bezradnie, jak przygwożdżona do ziemi istota ze spalonym skrzydłem z pomocą swoich towarzyszy uwalnia się z uścisku psa.

- Uciekaj, Gabriel!

Wódz Orisha podniósł z ziemi porzuconą sieć i trzech wynaturzeni łowcy zaczęli skradać się w stronę warczącego labradora.

- Powinieneś już dawno nauczyć się, że nie mam w zwyczaju zostawiać cię w potrzebie - warknął Gabriel, szykując się do obrony.

- Oto, do czego prowadzi przesadna lojalność - westchnął Kamael, osuwając się na ziemię pod wpływem krążącej w jego żyłach trucizny.

Orisha rzucili się na Gabriela. Dwóch przytrzymało szamoczącego się psa, a trzeci zarzucił mu sieć na głowę. Potem wszyscy bardzo sprawnie przymocowali sieć do ziemi, ostatecznie unieruchamiając zwierzę.

- Dzisiaj w nocy będziemy ucztować, moi drodzy bracia. - Wódz nachylił się i powąchał szczerzącego kły psa. - Jak przystało na prawdziwych wojowników, którzy zasłużyli na wolność i bezpieczne przejście do Raju.

Orisha zaczęli wiwatować, potrząsając zatrutymi włóczniami w zwycięskim tańcu.

- Oni naprawdę zamierzają zjeść Gabriela? - Na twarzy Aarona odmalowało się przerażenie. Po chwili całe jego ciało zeszywniało i zwałił się na ziemię obok Kamaela.

- Na to wygląda - przytaknął anioł. - A z pierwszymi promieniami słońca zaprowadzą nas do Werchiela. Co w takim razie zrobimy? - spytał Aaron, obserwując z niesmakiem, jak świętujące dzikusy odnajdują prawdziwą satysfakcję w znęcaniu się nad pojmanym (iabrielem).

- To zależy od ciebie - chłodno odparł Kamael.

- Co to, do cholery, ma znaczyć? - rozzłościł się Aaron.

- Nosisz w sobie moc. Wystarczy tylko jej użyć. Jak na zawołanie, Aaron poczuł w środku dobrze znaną sensację.

- Nie wiem, o czym mówisz - skłamał, robiąc co w jego mocy, by powstrzymać szamoczącą się w jego duszy istotę.

- Nie pogrywaj ze mną, Aaronie - wyrzucił z siebie anioł. - Czuję, jak siła aż wyrywa się z twoich wnętrzności. Pozwól jej na to.

- Ja... ja nie mogę. - Aarona obleciał jeszcze większy strach. - Nie wiem, czy potrafię nad tym zapanować.

- Myślałem, że już to przerabialiśmy. - Kamael był wyraźnie rozdrażniony. - Moc jest częścią ciebie - jesteś tym, kim jesteś. Teraz już na zawsze będziecie stanowić jedność.

W głębi duszy Aaron wiedział, że anioł ma rację - ale wcale nie czuł się lepiej. Drzemiąca w nim siła była dzika i nieokiełznana, a jej niszczycielski potencjał zdawał się nie znać granic. Aaron przypomniał sobie, jak czuł się tej nocy, kiedy Werchiel zabił jego przybranych rodziców. Ta moc, ta siła - wydawała się ożywcza i rozkoszna. Ale tylko na początku. Czy jestem wystarczająco silny? - zastanawiał się. A może wpadnę w obłąd, tak jak inni przede mną?

- Nie... nie mogę - wymamrotał. Mówienie przychodziło mu już z coraz większym trudem.

- Musisz - naciskał Kamael. - Jeśli tego nie zrobisz, Gabriel umrze, a my zginieemy z rąk Werchiela chwilę później.

Aaron milczał. Patrzył, jak wódz Orisha zostawia swoich świętujących towarzyszy i wyjmuje z leżącej w trawie torby dwie pary kajdanek.

- Kiedy trucizna przestanie krążyć w waszych żyłach, nie będziecie już w stanie nigdzie pójść - zarechotał, podchodząc do Aarona.

- Zrób coś! - krzyknął Kamael.

Przez moment Aaronowi wydawało się, że nie da rady utrzymać na wodzy drzemiącej w nim mocy. Poczuł, jak przeszywa go nienaturalny, elektryczny impuls i przypomniał sobie straszliwy ból, towarzyszący transformacji w Nefilima - kiedy na plecach wyrastały mu olbrzymie skrzydła. Skrzywił się na samą myśl o tym, że miałyby przechodzić przemianę raz jeszcze. Ale na jego skórze zaczęły się już pojawiać starożytne anielskie symbole widoczny dowód przekształcenia człowieka w zupełnie inną istotę.

Pomyślał o tym przez chwilę, ale nic nie zrobił - zimne kajdany Orisha zatrasnęły się na przegubach jego dłoni.

Kamael westchnął. Dotąd wiązał z chłopcem wielkie nadzieje, ale teraz naszyły go pewne wątpliwości.

- Twoja kolej, wielki aniele. - Wódz Orisha uśmiechnął się, podchodząc do Kamaela z drugą parą kajdanek.

- Tak, moja - warknął w odpowiedzi anioł, powstając z ziemi.

- Więcej trucizny! Więcej trucizny! - wrzasnął w panice Mufgar, dobywając sztyletu z wiszącej na łydce pochwy. Pozostali dwaj łowcy zanurkowali w trawie, szukając swoich dzid.

Kamael czuł się jednocześnie znudzony i rozdrażniony. Wiedział, że Aaron obawiał się swojej nie tak dawno odkrytej prawdziwej natury, i miał nadzieję, że przy tej okazji, oswoi się z nią i nauczy się ją kontrolować. Ale gdy patrzył na powalonego trucizną młodzieńca, zdał sobie sprawę, jak bardzo się mylił. Aaron nie był wcale gotowy i Kamael zaczął coraz bardziej obawiać się o powodzenie jego misji oraz całej przepowiedni.

Stary szaman unosił się przed nim w powietrzu, z szeroko rozłożonymi ramionami, mamrocząc pod nosem jakieś zaklęcia. Ziemia pod stopami anioła zaczęła się topić i Kamael poczuł, jak wciąga go, niczym ruchome piaski. Pozostali dwaj Orisha rzucili się na niego z bronią błyszczącą od trucizny. To wam nie pomoże - pomyślał anioł i w tej samej chwili w jego ręce zabłysnął nowy ognisty miecz. Kamael zamachnął się, po czym jednym machnięciem potężnych skrzydeł wzbił się w powietrze, uwalniając się z uścisku wchłaniającej go ziemi.

Z okrzykiem furii na ustach wódz natarł z ogromną prędkością. Ale Kamael był szybszy - uderzył mieczem, przecinając Mufgara na pół.

- Twój sen okazał się prawdziwy - powiedział, patrząc, jak płonące szczątki Orisha spadają na trawę. - Ale to był tylko sen.

Osamotniony Orisha ze spalonym skrzydłem stracił ochotę do dalszej walki. Opuścił ramię, ciskając w anioła włócznią, po czym rzucił się do ucieczki. Kamael odbił nadlatujący pocisk, a następnie wycelował w zbiega swój miecz. Z czubka płonącego ostrza wystrzelił język ognia, który objął uciekającego swym niebiańskim płomieniem. Orisha wrzasnął. Płonąc, złożył ręce do modlitwy, którą polecił jakiemuś dawno upadłemu aniołowi, będącemu jego stwórcą.

Został jeszcze jeden - pomyślał Kamael, lądując z powrotem na ziemi i składając skrzydła. Z gotowym do ataku mieczem wodził bystrymi oczami między drzewami i krzakami w poszukiwaniu starego Orisha, ale szaman jakby rozpułnął się w powietrzu.

W końcu odwrócił wzrok i popatrzył na Nefilima. Schował miecz, podszedł do chłopca i kucnął obok. Dotknął krępujących jego dłonie kajdan, które natychmiast pękły i dymiąc, wylądowały na trawie.

- Wstawaj, chłopcze - powiedział surowym tonem. Aaron zatrzepotał rzesami.



- Kamael? - wyszeptał. - Ale jak...?

- Oczyszcilem swoje ciało z trucizny - wyjaśnił anioł, chwytając go za koszulkę i podnosząc z ziemi. - Ty też mógłbyś to zrobić, gdybyś zadał sobie choć trochę trudu.

Aaron zatoczył się jak pijany.

- Dlaczego... dlaczego zwlekałeś tak długo? Kamael podszedł do Gabriela, który wciąż leżał na ziemi, spętany siecią.

- Czekałem, aż sam zareagujesz - powiedział, uwalniając psa.

Gabriel zerwał się na równe nogi i otrzepał z sieci.

- Dziękuję, Kamaelu. - To mówiąc, obwąchał dymiące zwłoki jednego z Orisha.

- A więc... to był tylko taki test? - Aaron poruszył się ostrożnie, na miękkich nogach, w których czuł jeszcze krążącą truciznę.

Gabriel polizał go po ręce.

- Mc ci nie jest? Naprawdę martwiłem się o ciebie. Aaron mimowolnie poklepał psa po głowie, czekając na odpowiedź anioła.

- Ze Strażnikami walczyłeś dzielnie, a potem znów obleciały cię wątpliwości - odparł Kamael. - Chciałem zobaczyć, co zrobisz.

- Nie martw się o mnie. Będę gotów do walki z Werchielem, gdy nadejdzie pora.

Kamael zmarszczył brwi i wskazał na rozrzucone po ziemi ciała łowców Orisha.

- To są zwykłe gnidy, nic nieznaczące insekty, które można z łatwością rozdeptać i wgnieść w glebę.

- W przeciwieństwie do ciebie, ja nie jestem przyzwyczajony do zabijania. - Aaron próbował się bronić. - To dla mnie wciąż nowość. Muszę się jeszcze wiele nauczyć, zanim...

- Nie masz na to czasu - przerwał mu Kamael. - Werchiel przypomina teraz zranione zwierzę - zrobi wszystko, co w jego mocy, by cię zniszczyć.

- Co to takiego? - zamruczał Gabriel, obwąchując kupki powyrywanej z korzeniami trawy. Z nosem przyciśniętym do ziemi, labrador marszczył w skupieniu włochate brwi.

- Będę gotów - powtórzył Aaron, odwracając na chwilę uwagę Kamaela. - Nie martw się o mnie.

- Obyś miał rację, Aaronie Corbet. - Na twarzy anioła odmalowała się troska. - Bo stawka w tej grze to coś znacznie większego niż tylko twoje życie.

Kamael miał właśnie zaproponować, żeby wracali do samochodu i dotarli w końcu do Blithe, kiedy nagle ziemia tuż przed psem eksplodowała i wyłonił się z niej szaman Orisha. W jego oczach płonęło szaleństwo, a zęby odsłonił w dzikim grymasie wściekłości.

- Me powstrzymacie mnie przed znalezieniem Schronienia! - wrzasnął, rzucając się na zaskoczone zwierzę.

Szaman złapał Gabriela za futro z boku i z całych sił ugryzł go w udo. Pies zawył z bólu, rzucając się z zębami na Szokada, który prysnął do lasu, wycierając sobie po drodze usta z krwi labradora.

Kamael i Aaron podbiegli do zranionego psa.

- On mnie ugryzł, Aaronie - Gabriel poskarżył się żałośnie. - To nie było miłe. Ja go przecież nie ugryzłem.

- Nieźle cię urządził - zauważył Aaron, oglądając krwawiącą ranę niedaleko biodra. - Co teraz? - popatrzył pytającym wzrokiem na Kamaela.

- Doskonałe pytanie - odparł anioł, krzyżując ręce. - Co teraz zrobisz?

Aaron położył dłonie na futrze Gabriela.

- Nic się nie dzieje - zauważył z przerażeniem.

- Może niewystarczająco się starasz - Kamael odpowiedział tonem, który sprawiał, że Aaron miał ochotę powiedzieć mu, żeby wsadził sobie swoje rady głęboko w swój anielski tyłek.

Wciąż był zły na anioła, że ryzykował życie całej trójki, by wystawić go na próbę - chociaż do pewnego stopnia rozumiał powody Kamaela. Chodziło jak zwykle o tę beznadziejną przepowiednię. Jeżeli Aaron rzeczywiście był tym, o którym mówiło proroctwo, a obaj zyskali już niemal stuprocentową pewność, że tak właśnie jest, wówczas spoczywała na nim ogromna odpowiedzialność za wszystkich upadłych aniołów żyjących na tej planecie.

- No właśnie. - Z zamyślenia wyrwał go głos Gabriela. - Postaraj się bardziej.

- Nie bądź takim mądrąłą - mruknął Aaron, przyciskając mocniej dłonie do rany. Musiał tylko przypomnieć sobie, co zrobił tamtego okropnego ranka w Lynn, gdy Gabriela potrącił samochód. W końcu, jeśli wtedy uratował mu życie, to i teraz z pewnością uda mu się wyleczyć to niegroźne ugryzienie.

- To boli, Aaronie.

- Wiem, kolego. Zaraz wszystko naprawię, gdy tylko... Kamael przysunął się bliżej.

- Pozbądź się swojej ludzkiej natury i pokaż, że jesteś aniołem - zagrmiał. - Bojąc się anielskości, boisz się samego siebie.

Aaron przypomniał sobie bardzo podobne słowa Ezekiela, wypowiedziane tamtej pamiętnej soboty. Naprawdę minęły zaledwie dwa tygodnie od tamtej pory? Tak wiele się w tym czasie zmieniło. Aaron zamknął oczy i skoncentrował się na swojej wewnętrznej mocy.

Czuł ją, czaiła się gdzieś w mroku, tuż za jego powiekami. Wezwał ją, ale zignorowała wołanie. Być może obraziła się za to, że nie pozwolił jej wziąć udziału w walce z Orisha. Aaron skoncentrował się jeszcze bardziej, drżąc z wysiłku.

- O to właśnie chodzi, zatrzymaj ją - usłyszał obok cichy szept Kamaela. - Przejmij nad nią kontrolę i rozkazuje jej.

Aaron rozkazał w myślach mocy, by się ruszyła. Wreszcie zareagowała na jego prośbę i z początku powoli, a następnie z prędkością światła, zaczęła przybierać najróżniejsze formy - ssaka, insekta, gada. Wszystkie formy życia - Boska menażeria. W pewnej chwili moc jakby jeszcze przyspieszyła. Aaron jęknął cicho, a potem otworzył oczy i popatrzył na chylące się ku zachodowi słońce, pokryte pierzastymi chmurami niebo i cały wszechświat, który się za nimi znajdował.

- Jest tutaj - wyszeptał, czując, jak całe jego ciało tętni prastarą siłą.

- Doskonale - Kamael wysyczał mu do ucha. - A teraz zmierz się z nią i poskrom ją - pokaż, że to ty jesteś jej panem.

Aaron postąpił tak, jak polecił mu anioł. Starł się z siłą, która próbowała wyrwać się z jego mentalnego uścisku i pokonać go swoją własną mocą. Ale Aaron nie pozwolił na to. Spętał ją, niczym dzikiego mustanga, psychicznym lassem i skierował tam, gdzie była potrzebna. Poczuł, jak moc płynie w górę jego ciała, a potem spływa po rękach aż do dłoni.

- Ja... ja coś czuję, Aaronie. - W gardłowym głosie Gabriela słychać było strach.

- Wszystko będzie dobrze. - Aaron uspokoił go, obserwując, jak czysta energia płynie z koniuszków jego palców wprost w otwartą ranę na ciele psa. Rozkazał mocy uleczyć jego przyjaciela i czekał, aż rana się zasklepi - ale nic takiego się nie stało. Zażądał tego samego raz jeszcze i moc zatańczyła między palcami i raną - ale znów nic nie zrobiła.

Aaron odpuścił, kompletnie wyczerpany. Czuł w rękach bolesne mrowienie.

- Nie rozumiem - wyszeptał bez tchu i popatrzył na kucającego obok Kamaela. - Zrobiłem dokładnie to, co mi polecieś - przejąłem kontrolę nad mocą i kazałem jej uleczyć Gabriela. Ale ona mnie nie posłuchała.

Anioł przyglądał się Gabrielowi w zamyśleniu, pocierając palcami siwą brodę.

- To ciekawe - stwierdził. - Być może zwierzę stało się bardziej złożone, niż ci się wydaje.

Aaron pokręcił głową, zaskoczony. - Ja nie...

- Kiedy uleczyłeś to zwierzę po raz pierwszy...

- To zwierzę ma imię - ze złością przerwał mu Gabriel.

- Już dobrze, piesku - Aaron poklepał go po głowie.

- Jak już mówiłem - kontynuował anioł - kiedy to zwierzę zostało uleczone po raz pierwszy, drzemiąca w tobie siła była nieposkromiona i znajdowała się w swojej najczystszej formie. Wtedy także poprosiłeś ją, by „naprawiła” Gabriela, a ona cię wysłuchała - tyle tylko, że przy okazji trochę go zmieniła.

- Me czuję się wcale odmieniony - obruszył się pies. - Bolą mnie tylko łapy.

- Chcesz powiedzieć, że Gabriel jest teraz zbyt złożoną formą życia, bym mógł sobie z tym poradzić?

Anioł skinął głową.

- Ale jak ja to zrobiłem? - Aaron delikatnie pogłaskał psa po boku.

- To nie ty zrobiłeś - poprawił go Kamael. - Ty tylko wydałeś polecenie, a znajdująca się w tobie moc wykonała całą resztę.

Jeżeli wcześniej Aaron nie bał się tak bardzo siły, którą nosił w sobie, to bez wątpienia obawiał się jej teraz. Nie zmieniało to jednak faktu, że jego czworonożny przyjaciel wciąż był ranny.

- Gabriel potrzebuje opieki lekarskiej - powiedział Aaron, patrząc na psa. - Może i jest złożoną formą życia, ale ktoś musi oczyścić mu tę ranę.

- W takim razie proponuję, żebyśmy kontynuowali naszą podróż - zasugerował anioł. - Może uda nam się znaleźć jakąś pomoc w Blithe.

- To brzmi jak plan - Aaron zgodził się po krótkim namyśle. Schylił się, podniósł ważące prawie czterdzieści kilogramów cielsko i zarzucił je sobie na ramię. - Nie martw się - uśmiechnął się z sarkazmem do Kamaela, sapiąc przy tym z wysiłku. - Dam sobie radę.

- Faktycznie - odparł anioł i ruszył przez las w kierunku auta.

- Czasem doprowadza mnie do szału - mruknął pod nosem Aaron, podążając za swym przewodnikiem i uważając przy tym, żeby się nie potknąć.

- Oni tacy już są - podsumował trzeźwo Gabriel.

- Kto taki już jest?

- Anioły.

- A od kiedy to zostałeś ekspertem w dziedzinie istot pozaziemskich?

- Od kiedy stałem się „złożoną formą życia” - odparł wyniośle Gabriel.

## ROZDZIAŁ 4

Jestem szamanem. Powinni byli mnie posłuchać - pomyślał Szokad z plemienia Orisha, gorączkowo przywołując starożytną magię żywiołów, która pozwoliła mu zakopać się

pod ziemię. Nie powinni byli porywać się na Nefilima - kości i kamienie nigdy nie kłamały. Ale czy posłuchali go? Nie. Dali się omotać strachowi. Ten sam strach opętał również ich wodza, przekonując go we śnie, że odniesie zwycięstwo. Powinni mnie posłuchać - pomyślał gorzko.

Z gardłem wysuszonym od rzucanych zaklęć, Szokad zamilkł, a ziemia wokół niego uspokoiła się. Nachylił się w stronę wykutego w skale tunelu, szukając wzrokiem jakichś śladów życia. Ostrożnie chwycił palcami grubego, wijącego się robaka i wsadził go sobie do ust. Przeżuwał energicznie, soki z umięśnionego ciała robaka wypełniały mu usta i spływały w dół po ściankach gardła. Dokończył posiłek, po czym kucnął w tunelu, żeby trochę odpocząć.

Co teraz? Dokąd mam iść? - zastanowił się. Zamknął oczy i jego umysł natychmiast wypełniły rozkoszne obrazy miejsca, które mogło być tylko Schronieniem. Widział członków swojego plemienia - tych, którzy porzucili Deheboryn wiele lat temu, żeby żyć w zgodzie z naturą i dziś nie obawiają się już gniewu Potęg.

- Nie zostali zabici - wymamrotał, oczarowany tą wizją. Udało im się umknąć przed hordą Werchiela i odnaleźć Raj.

Szokad przeżegnał się kilkakrotnie, skąpany w glorii, jaką przyniosła mu wizja jego ludu rozkwitającego w Schronieniu. Nappełniła go ona wielką radością - i wyznaczyła nowy cel.

Szaman otworzył oczy w ciemności podziemnego tunelu i podniósł się z ziemi. Czuł, jak święte miejsce go wzywa. Słyszał, jak szepcze mu do ucha, przyciąga do siebie, podsuwa tajne znaki, jak je odnaleźć. Musiał tylko posłuchać jego głosu.

Idąc, natknął się w pewnym momencie na ścianę usypaną z ziemi. Wyrecytował słowa pradawnego zaklęcia, klórego nauczył się od swoich anielskich stwórców. Dzięki czarom żywioły były na jego rozkazy. Szokad nakazał więc ścianie rozstąpić się, a ona natychmiast go posłuc liała, robiąc szamanowi miejsce, by mógł kontynuować swoją wędrówkę w kierunku upragnionego Raju. Skrzydła na jego plecach trzepotały ochoczo, gdy przedzierał się przez podziemny tunel. Schronienie szeptało mu do ucha coraz bliżej i bliżej.

Po raz kolejny miał wizję - zobaczył tych, którzy opuścili jego plemię dawno temu. Jestem taki szczęśliwy - pomyślał. Gdyby Mufgar znalazł w sobie wystarczającą odwagę, by porzucić utarte schematy i obowiązujący stan rzeczy, razem z Zawarem i Tehomem mogliby wspólnie dzielić tę radość, która wkrótce miała się stać jego udziałem.

Schronienie już nie szeptało, lecz śpiewało, popychając go naprzód z coraz większą prędkością. Jesteś już tak blisko - dodawał sobie otuchy szaman Orisha. Tak blisko spełnienia swojego snu.

Szokad wymawiał teraz zaklęcia jeszcze szybciej, a ziemia przed nim rozstępowała się niczym Morze Czerwone. Częściowo biegnąc, częściowo lecąc, przedzierał się w stronę Raju. Przed oczami widział sylwetki swoich braci: Surii, Tutrbebiała, Adririona, Tandała, Sawliela. Byli tam wszyscy, chociaż niektórych już dawno uważał za poległych z ręki Werchiela i jego Strażników. Trochę go to dziwiło, ale nie zamierzał polemizować z Rajem.

Och, Szokadzie, jesteś już prawie na miejscu.

Orisha zachichotał i skierował swoje kroki w stronę powierzchni. Ziemia stawała się coraz bardziej kamienista i trudniejsza do pokonania - ale Szokad nie zatrzymywał się.

Tak blisko, Szokadzie. Jesteś tak blisko.

Szaman wynurzył się na powierzchnię, jego popękane dłonie krwawiły. Powietrze na ziemi było chłodne i przesiąknięte wilgocią. Gdzie się podziały promienie ciepłego słońca? - to była pierwsza myśl, jaka przeszła mu przez głowę.

Szokad wygramolił się z dziury w ziemi i rozejrzał wokoło. Znajdował się w ogromnej, podziemnej jaskini. Gdzieś w oddali, zza skalnej ściany dobiegał go odgłos płynącej wody.

- Jestem tu - powiedział głośno, spodziewając się, że jego towarzysze wyjdą mu na spotkanie. Ale nikt się nie pokazał - chociaż dostrzegł jakiś ruch wśród skał na drugim końcu grotu.

- Pozdrawiam was - odezwał się znowu, tym razem zwracając się w stronę, z której dobiegał ten dziwny dźwięk. Jakby ktoś wlekł coś dużego i ciężkiego po kamieniach. - Na imię mam Szokad.

Może się boją? - pomyślał, wspinając się po skałach nieco dalej w głąb jaskini. - Nie chcę zrobić wam krzywdy! - krzyknął. - Ja też przybyłem tutaj w poszukiwaniu Raju.

Kiedy podszedł bliżej, dostrzegł w półmroku jakieś niezwykle przedmioty - mięsiste, jajowate, które zwisały z wielkiej, muskularnej masy, czarniejszej niż najciemniejsze miejsce w jaskini. Cała masa skręcała się i pulsowała... ona żyła!

- Czym ty jesteś? - wyszeptał Szokad i zbliżył się ostrożnie. - Gdzie są moi ludzie? - Stanął na palcach, żeby zajrzeć do środka mętnego, błoniastego tworzywa - i poznał odpowiedzi na wszystkie nurtujące go pytania.

Szaman Orisha chciał krzyczeć, zapytać Boską moc, która go tu sprowadziła, dlaczego pokazała mu coś tak potwornego. Ale nie zdążył. Z szybkością błyskawicy coś wyslizgnęło się z cienia za jego plecami i schwyciło go w potężny, wilgotny uścisk.

Tak, Szokad miał ochotę krzyczeć - przede wszystkim dlatego, że żaden z jego ludzi nie odnalazł upragnionego Raju.

A więc to jest Blithe - pomyślał Aaron, wjeżdżając do centrum miasta. Liczył na coś więcej, tymczasem Blithe nie różniło się od innych niewielkich miasteczek, które mijali po drodze przez ostatnie dwa tygodnie. Uroczne, staroświeckie sklepy z wystawionymi w witrynach zakurzonymi pamiątkami, wokół zielone błonie z obowiązkową estradą pośrodku. Było piękne, słoneczne popołudnie, ludzie wchodzili i wychodzili ze sklepów, a dzieciaki grały w piłkę na trawie.

- Jak się czujesz, Gabe? - spytał psa leżącego nieruchomo na tylnym siedzeniu.

- W porządku - odparł labrador, chociaż Aaron wiedział, że wcale nie jest w porządku.

Rana zadana przez szamana Orisha wyglądała paskudnie - nie dość, że była głęboka, to jeszcze wdała się w nią infekcja. Musieli jak najszybciej znaleźć weterynarza.

- Trzymaj się, przyjacielu. - Aaron wjechał do centrum miejscowości. - Widzisz gdzieś znak lecznicy? - spytał siedzącego obok anioła.

Kamael milczał. Wyglądał jedynie przez szybę z tym samym nadludzkiem skupieniem, co przez całą drogę do Blithe.

- Halo? - Aaron zamachał mu ręką przed nosem. - Tu ziemia. Widać coś ciekawego?

Kamael zmiażdżył go wzrokiem.

- Nie, nic nie widać - odburknął, ale Aaron wiedział, że coś jednak zaprzęta aniołowi głowę.

- No cóż, w takim razie muszę popytać miejscowych. - Aaron wzruszył ramionami, po czym zaparkował samochód przed niewielkim sklepem z artykułami metalowymi.

Ze sklepu wychodził akurat starszy mężczyzna w poplamionej czapeczce bejsbolowej Red Sox'ów i flanelowej koszuli; pod pachą taszczył papierową torbę z zakupami. Zatrzymał się na moment, żeby wrzucić drobne do wysłużonej portmonetki.

Aaron sięgnął ręką, otworzył okno od strony Kamaela i zawołał: - Przepraszam pana!

Mężczyzna o ogorzałej od słońca twarzy, przeoranej głębokimi zmarszczkami, włożył sobie portmonetkę do tylnej kieszeni spodni i nachylił się lekko, by zajrzeć do środka auta. Podejrzliwym wzrokiem zmierzył wszystkich pasażerów.

- Dzień dobry - Aaron zagadnął go najmiłszym głosem, na jaki potrafił się zdobyć. Pomachał mu nawet ręką na powitanie. - Mam nadzieję, że potrafi nam pan pomóc.

Staruszek nie odezwał się ani słowem, tylko gapił się na niego dalej ze stoickim spokojem. Aaron słyszał wcześniej, że mieszkańcy stanu Maine są dość nieufni w stosunku do obcych, ale to już była lekka przesada.

Kamael również zachowywał stoicki - żeby nie powiedzieć: anielski - spokój. Aaron zastanawiał się nawet, czy anioł nie stał się znów niewidzialny. Odkrył bowiem, że Kamael zniknął, kiedy nie miał ochoty na kontakty z ludźmi. Ostatni raz zdarzyło mu się to dwa dni temu, kiedy zatrzymali się, żeby wypuścić na chwilę psa i natychmiast dopadły ich cztery siostry w podeszłym wieku, które koniecznie chciały się dowiedzieć jak najwięcej o Gabrielu i o wszystkich psach rasy labrador. Po wszystkim Aaron powiedział Kamaelowi, że zachował się niegrzecznie, na co ten odparł, że gdyby Aaron potrafił robić to samo, na pewno skorzystałby z okazji.

- Mojego psa pogryzło coś w lesie i muszę zawieźć go do weterynarza.

Mężczyzna zlustrował wzrokiem Gabriela, zatrzymując go na chwilę na ranie.

- Co go tak urządziło? - spytał chrapliwym głosem z charakterystycznym akcentem z Maine.

- Szop pracz - Aaron odparł szybko. - Mam nadzieję, że nie był wściekły.

- Nie wygląda mi to na szopa - mruknął mężczyzna, oglądając ranę przez uchylone okno. - Rana jest zbyt szeroka.

- Widziałem go tylko przez chwilę, gdy już uciekał. Równie dobrze, mogło to być inne zwierzę.

Staruszek przyjrzał mu się uważnie, poprawiając daszek czapki.

- To na pewno nie był szop - więc jeśli nie on, to na pewno coś innego.

Aaron zdobył się na wymuszony uśmiech, choć w środku zaczynał już tracić cierpliwość.

- Pewnie ma pan rację. - Przerwał na chwilę i policzył do dziesięciu. - A więc znajdę tutaj weterynarza czy nie?

Mężczyzna pomyślał nad czymś przez dłuższą chwilę, po czym skinął głową.

- Tak jest. - Po tych słowach zamilkł znowu i gapił się przez szybę na Gabriela.

W Aaronie zaczynała gotować się krew. Zastanawiał się, ile jeszcze czasu musi minąć, zanim Kamael w końcu dobędzie ognistego miecza i obetnie irytującemu starcowi głowę.

- Może mnie pan tam pokierować? - spytał, wykrzywając twarz w tak kwaśnym uśmiechu, że zaczynały go już boleć kąciki ust.



Mężczyzna wpatrywał się w nich znowu przez kilkadziesiąt sekund, po czym pokiwał powoli głową i zaczął tłumaczyć w bardzo zawiły sposób, jak dojechać do gabinetu weterynarza, oddalonego o zaledwie kilka kilometrów.

- Trochę dziwny człowiek - zauważył Kamael, kiedy Aaron ruszył, analizując w myślach skomplikowany plan dojazdu.

- Pierwszy raz masz do czynienia z Mainiakiem? - Aaron zarechotał, skręcając w ulicę Portland Street tuż przed dużym, otynkowanym na biało kościołem. Jeżeli go miniecie, to już będziecie za daleko - przypomniał sobie wskazówkę staruszka.

- Przez te wszystkie lata spotkałem już wielu szaleńców stąpających po tej planecie.

- Nie, nie maniaka - Mainiaka - wyjaśnił Aaron, jadąc powoli wzdłuż Portland Street. - Tak nazywamy mieszkańców stanu Maine.

- Tak czy inaczej, bardzo dziwny człowiek.

- A ty nawet nie otworzyłeś do niego ust. - Aaron wypatrywał bocznej drogi po prawej. - Znow stałeś się niewidzialny?

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - zachnął się anioł, nie podnosząc nawet wzroku.

- Z pewnością. - W głosie Aarona zabrzmiał sarkazm. W końcu udało mu się znaleźć podziurawioną koleinami jak sito polną drogę, odbijającą w prawo z Portland Street.

Po przejechaniu niecałego kilometra ich oczom ukazał się sporej wielkości parking. Budynek, który znajdował się po jego lewej stronie musiał być niegdyś wiejskim sklepem z mieszkaniem właściciela na górze. Mieszkanie chyba nadal pełniło swoją funkcję, natomiast sklep został zamieniony na prowizoryczną przychodnię weterynaryjną. Przed domem stały dwa samochody terenowe, jeden na miejscowych numerach, a drugi z rejestracją z Illinois.

- To chyba tutaj - oznajmił Aaron. Zaparkował samochód tak blisko budynku, jak tylko się dało i powiedział: - Zaraz się tobą zajmujemy, piesku.

Gabriel podniósł łeb z siedzenia i rozejrzał się. Przez chwilę wdychał intensywnie powietrze wilgotnym nosem, starając się złapać jakiś znajomy zapach, po czym zapytał: - Gdzie jesteśmy?

- U weterynarza - wyjaśnił Aaron, wysiadając z auta i otwierając drzwi z tyłu.

- Nieprawda. - Gabriel wciąż pracował nosem. - To nie jest Lynn.

- Masz rację, przyjechaliśmy do innego lekarza. - Aaron nachylił się, żeby zbadać ranę psa.

- To są na świecie inni weterynarze? - zdziwił się Gabriel.

- No pewnie, jest ich całe mnóstwo - powiedział Aaron, pomagając psu wysiąść z samochodu.

- Me miałem pojęcia - wymamrotał labrador i oparł się  
o swojego pana, podnosząc w górę zranioną łapę.

Aaron zerknął na Kamaela, który też wysiadł z auta i podobnie jak Gabriel, wdychał powietrze.

- Idziesz ze mną? - spytał, kucając i podnosząc psa.

- Nie - odparł krótko anioł i odwrócił się w stronę, z której przyjechali.

- Będę w środku, gdybyś mnie potrzebował - Aaron powiedział do pleców anioła, który nie odezwał się już słowem. - No dobra - mruknął pod nosem sam do siebie, ostrożnie wchodząc po schodach prowadzących do drzwi wejściowych. Na drzwiach wisiała tabliczka: „Kevin Wessell, lekarz weterynarii”.

- Ty zajmij się Gabrielem, a ja się tu trochę rozejrzę - usłyszał za plecami głos anioła.

Aaron ugiął się pod ciężarem psa, chwytając za klamkę.

- Dzięki za pomoc, Kamaelu - burknął z fałszywą wdzięcznością. - Jesteś jednym z najbardziej taktownych aniołów, jakich znam.

- Kamael już sobie poszedł - poinformował go pies.

- Wiem, że sobie poszedł. - Aaron przekręcił klamkę i otworzył drzwi, pomagając sobie stopą.

- Więc dlaczego wciąż do niego mówisz?

- Nie wiem, Gabe - mruknął Aaron. - Ostatnio robię różne dziwne rzeczy.

Miejsce było przesiąknięte zapachem starości i w niczym nie przypominało kliniki w Lynn, gdzie pracował. Pomieszczenie było wyłożone ciemnymi drewnianymi panelami, na ścianach wisiało kilka obrazków przedstawiających psy na polowaniu. Resztę umeblowania stanowiło parę plastikowych krzeseł ustawionych pod ścianą i stary stolik kawowy, na którym leżały równie stare magazyny i książki dla dzieci. Po drugiej stronie stało biurko służące za recepcję.

Poczekalnia była pusta, ale Aaron usłyszał szelest przewracanych kartek papieru i towarzyszące mu westchnienia, świadczące o irytacji człowieka, który wzdychał. Podeszedł do biurka i zobaczył za nim dziewczynę przysłoniętą stertą papierów i teczek z dokumentacją. Włosy w niezwyklej rudym kolorze miała związane w niewielki kucyk. Naturalnie nie usłyszała, jak weszli. Aaron chrząknął znacząco, a dziewczyna podskoczyła jak oparzona, zaskoczona jego nagłym pojawieniem się.

- Wystraszyłeś mnie. - Roześmiała się nerwowo, odgarniając kosmyk rudych włosów z czoła.

- Przepraszam. - Aaron stęknął z wysiłku, próbując utrzymać Gabriela na rękach. - Czy mógłby nas przyjąć jakiś lekarz?

- Oczywiście - odpowiedziała dziewczyna, dokładając kolejną teczkę na stos, który zachwiał się niebezpiecznie. - Proszę dać mi chwilę i zobaczymy, co da się zrobić.

- Ja... nie najlepiej się czuję, Aaronie - Gabriel zapiszczał w jego ramionach.

Pies zadrżał i Aaron pomyślał, że musi go trawić wysoka gorączka. Jemu też robiło się gorąco. Zmarnował już wystarczająco dużo czasu na bezsensowną gadkę z dziadkiem przed sklepem i nie chciał, żeby jego pies musiał dłużej cierpieć.

- Proszę posłuchać - powiedział, starając się zapanować nad emocjami. - Wypełnię wszystkie potrzebne dokumenty, ale proszę sprowadzić zaraz lekarza, dobrze? Wydaje mi się, że mój pies jest poważnie chory, w ranę wdała się już infekcja i chciałbym, żeby dostał jak najszybciej antybiotyk.

- Dobrze, już dobrze - zgodziła się dziewczyna, wstając i wychodząc zza biurka. - Zabierzemy go do gabinetu. Zaraz mu się przyjrzę. - To mówiąc, skinęła na Aarona, żeby szedł za nią.

- Pani, zdaje się, nie jest doktorem Wesselem - powiedział zbity z tropu Aaron.

- Nie - odparła rudowłosa. - Ale niewiele brakowało. Teraz jestem tylko doktor Katie McGovern - roześmiała się. - Ale proszę się nie obawiać, mam stosowne dyplomy i jestem kwalifikowanym weterynarzem.

Aaron skinął głową i zaniósł Gabriela do gabinetu.

- Proszę mi wybaczyć, nie chciałem pani urazić. Mieliśmy ciężki dzień i myślałem, że jest pani...

- Recepcjonistką? - Dziewczyna otworzyła gabinet i wpuściła go do środka.

- Tak. Wygląda pani bardzo młodo jak na...

- Mam dwadzieścia siedem lat. - Dziewczyna zamknęła za nim drzwi. - To kwestia irlandzkich genów. Mogę ci pokazać dyplom Wydziału Weterynarii Uniwersytetu Illinois - dodała, pomagając Aaronowi położyć psa na metalowym stole. - Jak się miewasz, kolego? - spytała labradora, głaszcząc go po głowie i za uszami.

- Nie jestem żaden kolega - warknął Gabriel - tylko Gabriel.

- Ma na imię Gabriel - wyjaśnił Aaron.

- W takim razie, jak się miewasz, Gabrielu? - Katie założyła gumowe rękawiczki. - Zobaczmy, jak możemy ci pomóc. - Zbadła sączącą się ranę, dotykając ją delikatnie. - Co go ugryzło?

- Chyba szop - skłamał Aaron.

- Szop? - Katie podniosła wzrok znad zainfekowanej rany. - Jeżeli to zrobił szop, to ja jestem nastoletnią recepcjonistką.

Kamael wyczuwał coś dziwnego w powietrzu - od momentu, w którym wjechali do Blithe.

Skręcił w prawo z polnej drogi i poszedł powoli w dół Portland Street. W tym mieście istniało coś, co podpowiadało mu, że w jakiś sposób należy do tego miejsca i jest tutaj oczekiwany. Dziwne uczucie, którego nie potrafił zidentyfikować, skryte głęboko pod innymi, znacznie bardziej przyjemnymi.

Anioł wyszedł na ulicę Acadia Street, z której widać było dużo więcej. Ale wokół panowała przenikliwa cisza, jakby miasto całkowicie opustoszało. Jedyne dźwięki w martwym powietrzu wzbudzał delikatny, ciepły wiosenny wietrzyk i szum fal rozbijających się w oddali o brzeg. Po obydwu stronach krótkiej ulicy znaj dowwały się rzędy ciasno ustawionych budynków: biuro obrotu nieruchomościami Johnsona, biuro rachunkowe McNulty, gabinet optyczny dr. Speegala oraz największy budynek, zakład pogrzebowy Carroll, który zajmował niemal całą długość ulicy.

Wszystko w tym mieście zdawało się mówić Kamaelowi, że musiał się tu znaleźć właśnie teraz. W jakimś stopniu czuł się bezbronny - myślał i odbierał bodźce, których nie doświadczał od tysięcy lat. W powietrzu unosiło się jakieś niczym nieuzasadnione zadowolenie i anioł zaczął się nawet zastanawiać, czy Nefilima nie przywiódł tu jednak irop Aerie. Kamael przeszedł przez ulicę, stanął przed piętrowym, otynkowanym na biało zakładem pogrzebowym i rozejrzał się ostrożnie. Ale w takim razie, gdzie są pozostali?

Po raz kolejny ogarnęła go fala sensacji, której nie rozumiał, niczym morska bestia, która wyłania się z fal, by zaczerpnąć powietrza, po czym nurkuje z powrotem w mrocznych odmętach. Ale tym razem udało mu się chociaż częściowo zorientować się w czym rzecz: wyczuł w powietrzu wyraźny zapach jakiejś eterycznej istoty, która starała się przed nim ukryć. Teraz, kiedy już złapał trop, musiał działać bardzo ostrożnie, żeby go nie stracić. Chodziło o coś bardzo starego - o odległą woń chaosu, której nie czuł od dnia stworzenia.

Kamael usłyszał, jak otwierają się drzwi zakładu pogrzebowego, i odwrócił się, szybko przyjmując niewidzialną postać. Na schodach stał starszy mężczyzna w ciemnym garniturze z krawatem i przyglądał mu się uważnie. Kamael był zaskoczony - zdawało się, że człowiek ten widzi anioła. Ale było to, oczywiście, niemożliwe.

Uczucie wewnętrznego spokoju opanowało Kamaela ze zdwojoną, a nawet z potrojoną siłą. Skupił się więc na prastarym zapachu. Bez względu na to, jak bardzo

wydzielająca go istota, skryta gdzieś pośród murów miasteczka, starała się pozostać niezauważoną, Kamael wiedział, że centrum Blithe emanuje chaosem.

Mężczyzna wciąż mu się przyglądał głębokimi, ciemnymi oczami. Kamael był już pewien, że człowiek ten widzi go, mimo iż skrył się za kurtyną niewidzialności.

- Jak to możliwe? - spytał anioł.

Nieznajomy przekrzywił głowę pod dziwnym kątem i uśmiechnął się. Potem zamrugał powoli i Kamael dostrzegł mleczną zasłonę przesłaniającą jego oczy. Nigdy wcześniej nie widział czegoś podobnego u żadnego z napotkanych wcześniej ludzi, których anatomię zdążył już dobrze poznać. Wyczuwając niebezpieczeństwo, anioł chciał właśnie sięgnąć po broń, gdy wtem mężczyzna nachylił się z przeraźliwym skrzypieniem kości i zakaszał. Z jego ust wyleciały malutkie pociski z zadziorami, nie większe od owocu wiśni, które wbiły się w kark i twarz Kamaela.

Anioł warknął ze złością, sięgając ręką, żeby wyciągnąć tkwiące w jego ciele haczyki - i wtedy poczuł, jak cały drętwieje.

- Trucizna - mruknął, wrywając jeden z pocisków i przyjrzał mu się. Brązowy kolec pulsował jakby własnym życiem. Po raz drugi w ciągu jednego dnia jakaś prymitywna forma życia próbowała go otruć.

Kamael zamknął oczy, chcąc uwolnić toksynę z ciała za pomocą siły woli. Jednak jego wysiłki nie odniosły żadnego skutku i anioł zdał sobie sprawę, że nie jest już w stanie otworzyć oczu. Zawirowało mu w głowie i upadł na ziemię.

W ogarniającym go mroku usłyszał, jak mężczyzna schodzi po schodach i zbliża się ku niemu. Kamael wpadał coraz głębiej w otchłań nieprzytomności, utulony w ramionach miasta Blithe.

- Twoim przeznaczeniem było się tu znaleźć - zdążył jeszcze usłyszeć kojący głos, zanim odplynał w nicość. - Bo bez ciebie niechybnie bym zginął.

Aaron głaskał Gabriela, obserwując, jak dr McGovern goli futro na nodze psa, a potem aplikuje do rany sól fizjologiczną. Lekarka przetarła delikatnie ranę wacikiem i nachyliła się, żeby przyjrzeć się jej dokładniej.

- Mało które zwierzę dba o higienę jamy ustnej, dlatego z góry zakładam, że wszystkie ugryzienia są zainfekowane - powiedziała, wkraplając jeszcze trochę soli fizjologicznej. - Ale ta rana jest wyjątkowo paskudna, zwłaszcza jak na ugryzienie szopa pracza. - To mówiąc, spojrzała Aaronowi głęboko w oczy.

- Powiedziałem, że to chyba był szop pracz - odparł, rumieniąc się. Nie mógł przecież opowiedzieć lekarce, że jego pies został pogryziony przez jakąś wynaturzoną istotę,

stworzoną przez upadłe anioły. - Nie miałem czasu mu się przyjrzeć - to równie dobrze mogło być coś innego.

- To był Orisha, Aaronie - przypomniał mu przytomnie Gabriel.

- Wiem o tym - uspokoił go szeptem Aaron.

- Jest bardzo ożywiony, nie sądzisz? - Lekarka wyrzuciła zużyte waciki do kosza, po czym z czułością pogłaskała psa po głowie.

- Nie ma pani nawet pojęcia, jak bardzo. - Aaron zachichotał w odpowiedzi. - Proszę powiedzieć, czy musi dostać zastrzyk przeciw wściekliczynie?

- Zastrzyk? - zmartwił się Gabriel, podnosząc łeb ze stołu.

- Kiedy ostatnio był szczepiony? - spytała dr McGovern.

- Dopiero co dostałem zastrzyk - zapiszczał labrador. - Jakies pół roku temu. - Aaron zignorował protesty swojego najlepszego przyjaciela.

- W takim razie przyda się nowe. Lepiej zaryzykować, niż potem żałować, że nic się nie zrobiło, prawda?

- Katie wyjęła z szuflady strzykawkę i sięgnęła po małą fiolkę ze szczepionką do niedużej lodówki za ladą.

- Lepiej w ogóle nie robić zastrzyków, niż potem żałować - zamruczał Gabriel.

- Nie wygląda na zachwyconego - zauważyła lekarka, napelniając strzykawkę.

- Bo nie jest zachwycony. Ale nie ma wyboru. Albo dostanie zastrzyk, albo zachoruje.

- Aaron na wszelki wypadek zaakcentował mocniej ostatni wyraz, spoglądając na psa.

- Myślisz, że cię rozumie?

- Pewnie, że tak. - Aaron pogłaskał psa po futrze na karku. - To wyjątkowy pies.

- Wszystkie są wyjątkowe - powiedziała Katie i jednym błyskawicznym ruchem wbiła igłę. Gabriel zdążył tylko cichutko zaskowyczeć.

- Widzisz - zagruchała lekarka, nachylając się i drapiąc Gabriela za uchem. - Nie było tak źle, co?

- Ona pachnie bardzo ładnie, Aaronie - zaszczekał pies, waląc radośnie masywnym ogonem o metalowy blat stołu.

Aaron roześmiał się.

- Proszę się nie martwić. Gabriel nie żywi długo urazy. Wystarczy trochę pieszczot i jakieś ciastko, a szybko zapomni o traumie.

Doktor McGovern wyrzuciła strzykawkę do czerwonego plastikowego pojemnika stojącego na ladzie.

- W porządku - powiedziała, zaglądając do zeszytu. - Zostawmy ranę odkrytą, żeby szybciej się goiła i...

- Ciepłe okłady trzy razy dziennie i przez dwa tygodnie podawać amoksycylinę, żeby zwalczyć infekcję - dokończył za nią Aaron, obserwując, jak pies siada ostrożnie na stole.

Lekarka uśmiechnęła się i odłożyła długopis.

- Całkiem nieźle - pokiwała głową. - Czyżbyśmy interesowali się weterynarią?

- Pracowałem kiedyś w klinice weterynaryjnej - wyjaśnił Aaron, a na wspomnienie życia, które zostawił za sobą, w jego głosie zabrzmiała nutka melancholii. Szybko odwrócił się do Gabriela i spytał: - Chcesz zejść?

- Pomogę ci - powiedziała Katie i razem opuścili psa na podłogę.

- Wiesz, co... - rudowłosa lekarka zamyśliła się na chwilę. - Wprawdzie jestem tu tylko tymczasowo, lecz przydałaby mi się pomoc w gabinecie. Nie mogę zapłacić zbyt wiele, ale jakieś pieniądze się znajdują. Poza tym, miałabym na oku Gabriela i jego ranę. Co ty na to?

Propozycja z pewnością brzmiała kusząco. W tym miasteczku było coś, co działało na Aarona w pozytywny sposób. Czyżby właśnie znalazł miejsce, którego szukał? Poza tym, perspektywa zarobienia paru groszy i podreperowania gwałtownie kurczącego się budżetu też nie była taka zła.

- Nie powinna pani najpierw spytać o zgodę doktora Wessela?

Katie pokiwała głową.

- Pewnie tak, ale mój były narzeczony zapadł się pod ziemię. Powiedzmy, że zostawił mi wolną rękę. Więc jak - jesteś zainteresowany?

- Zostańmy, Aaronie - zaskamlał Gabriel. - Mam już dosyć samochodu.

- Muszę się skonsultować z moim towarzyszem podróży. - Aaron wzruszył ramionami. - Ale jeśli on nie będzie miał nic przeciwko, to pewnie. Z chęcią zostanę na jakiś czas.

- Super! - Dr McGovern podała mu rękę. - Mów mi Katie. Z tego, co już wiem, to jest Gabriel, ale z chęcią poznałabym także twoje imię.

- Wybacz. - Aaron uścisnął jej dłoń. - Nazywam się Aaron. Aaron Corbet.

- Miło cię poznać, Aaronie. Idź więc i porozmawiaj z przyjacielem, a potem daj mi znać, jaką podjęliście decyzję. Aaron i Gabriel wyszli z budynku na zalany wiosennym słońcem parking i skierowali się w stronę auta. Dzięki zabiegom Katie, Gabriel mógł już chodzić sam, chociaż sprawiało mu to jeszcze pewną trudność.

- Gdzie jest Kamael? - spytał Gabriel, kiedy Aaron otworzył mu drzwi i pomógł wdrapać się na tylne siedzenie. Pies natychmiast położył się i zaczął oglądać ranę, obwąchując i liżąc aseptyczny opatrunek.

- Nie mam pojęcia - odparł Aaron. - I zostaw w spokoju tę łapę - dodał, rozglądając się w poszukiwaniu anioła. Od czasu dramatycznej bitwy, która rozegrała się nad jego domem, między Aaronem i aniołem stojącym niegdyś na czele Straży Anielskiej zawiązała się osobliwa więź. Aaron zawsze wiedział, kiedy anioł znajduje się w pobliżu, wyczuwał instynktownie jego obecność. Ale teraz, chociaż to całe Blithe wydawało mu się nie do końca normalne, stracił nagle ślad towarzysza. Trochę go to niepokoiło. Zdaje się, że zabawimy tu trochę dłużej - pomyślał. W tym momencie z lecznicy wyszła Kate, żeby wyjąć coś z bagażnika swojego wozu.

- Zaczekaj chwilę - rzucił Aaron w stronę Gabriela i podbiegł do lekarki, która próbowała utrzymać trzy wielkie pudła, jednocześnie zamykając bagażnik terenówki.

- Katie, myślę, że mogę przyjąć twoją propozycję - powiedział, gdy dziewczyna wyjrzała zza sterty chwiejących się pudeł.

- Świetnie - odparła. - Mam dla ciebie pierwsze zadanie.

- Pewnie, co mam zrobić?

- Pomóż mi z tymi pudłami. Są cholernie ciężkie.

## ROZDZIAŁ 5

Jak sądzisz, dokąd mógł pójść? - spytał Gabriel, siedzący na tylnym siedzeniu. Aaron patrolował miasteczko, na próżno wypatrując jakiegokolwiek śladu anioła. - Nie mam pojęcia - odpowiedział, rozglądając się uważnie na boki. - Może znalazł innego Nefilima, którego polubił bardziej i razem opuścili Blithe.

- Myślisz, że mógłby zrobić coś takiego? - Gabriel sprawiał wrażenie przerażonego i zde gustowanego zarazem.

- Nie, tak tylko żartuję. - Aaron zachichotał, kątem oka dostrzegając kawiarnię.

Ze sklepu wychodziła właśnie para starszych ludzi i Aaron, korzystając z okazji, chciał zajrzeć do środka - ale nie udało mu się. Poza tym, co Kamael miałby robić w kawiarni? Przecież on nie potrzebuje nawet pożywienia - pomyślał, zatrzymując się przed przejściem dla pieszych, żeby przepuścić starszą kobietę z wózkiem na zakupy. No, chyba że mieli tam frytki.



Aaron zobaczył we wstecznym lusterku, jak labrador przekrzywia łeb do tyłu i wciąga powietrze w nozdrza.

- Chcesz, żebym wysiadł i poszukał? - spytał. - Może uda mi się złapać jego zapach - wiesz, on pachnie tak śmiesznie.

- Nie, w porządku, Gabe. Kamael na pewno zaraz się zjawi. Poszukajmy lepiej miejsca, w którym będziemy mogli się na jakiś czas zatrzymać. Nie wszędzie zgadzają się na zakwaterowanie zwierząt.

- Jestem kimś znacznie więcej niż tylko zwierzęciem - obruszył się pies.

- Skoro tak twierdzisz - odparł ze śmiechem Aaron.

- Katie powiedziała, że gdzieś tu w okolicy można wynająć pokój.

Na końcu ślepej uliczki stał wielki, otynkowany na biało dom. Otaczała go istna dżungla kolorowych kwiatów. Na wietrze kołysała się przyczepiona do drzwi frontowych tabliczka „Pokoje do wynajęcia”.

- Jesteśmy chyba na miejscu. - Aaron zaparkował samochód przed domem i wyłączył silnik. - Zostań tu. Ja pójde i zapytam, ile chcą za pokój i czy można mieszkać z psem.

- Powiedz im, że nie jestem jakimś tak zwykłym zwierzęciem - zawołał za nim Gabriel przez otwarte okno. Aaron wszedł na posesję, schylając głowę pod drewnianą bramą, przystrojoną pnącym się dzikim bluszczem.

- Czym mogę służyć? - usłyszał głos, dobiegający gdzieś z wnętrza dżungli.

- Dzień dobry, szukam pokoju do wynajęcia - odpowiedział, nie wiedząc za bardzo, do kogo.

Zza bujnych krzaków forsycji wyłoniła się starsza kobieta, z groźnie wyglądającym sekatorem w ręce. Przyjrzała mu się uważnie zza ciemnych okularów w grubej oprawie, w których wyglądała jak jeden z bohaterów komiksu XMen, po czym wytarła pot z czoła ręką w rękawicy.

- Rzeczywiście, mam kilka wolnych miejsc. Czy to nie zbieg okoliczności?

Aaron roześmiał się nerwowo.

- To fajnie - powiedział, mając nadzieję, że kobieta weźmie jego uśmiech za dowód sympatii.

- Jesteś sam, czy masz towarzystwo? - Wychyliła się, żeby zobaczyć samochód parkujący na chodniku. - Wydawało mi się, że słyszałam, jak z kimś rozmawiasz.

- Rozmawiałem z psem - przyznał Aaron, studiując uważnie jej twarz. Był ciekaw, jak zareaguje.

Kobieta zachmurzyła się.

- Masz psa?

Aaron pokiwał głową.

- Mam ci wynająć pokój razem z psem? - kobieta spytała z niedowierzaniem.

Aaron westchnął.

- Przepraszam, że zająłem pani czas - powiedział, machnął ręką na pożegnanie, po czym odwrócił się i zaczął iść w stronę auta.

Był już prawie przy bramie, kiedy usłyszał głos kobiety, dobiegający gdzieś z bardzo bliska.

- Co to za pies?

- Biskoptowy labrador - odparł, zastanawiając się, jakie to może mieć znaczenie.

- Biskoptowy? - kobieta powtórzyła za nim jak echo, łypiąc okiem w stronę auta.

- Tak, biskoptowy - potwierdził, nie zwalniając kroku. Kobieta podążyła w ślad za nim.

- Mój ojciec hodował labradory - powiedziała, zdejmując rękawice i wkładając je do tylnych kieszeni znoszonych niebieskich dżinsów. - Chyba mam do nich słabość.

Aaron otworzył tylne drzwi.

- Hej, Gabe - zawołał - ktoś chce cię poznać.

Staruszka zachowała bezpieczną odległość, ale nachyliła się, żeby zajrzeć do auta. Gabriel zamachał radośnie ogonem, uderzając nim o skórzaną tapicerkę, jak perkusista w bęben.

- Jak go nazwałeś? - Kobieta zdjęła okulary i zmarszczyła brwi, choć nie tak groźnie jak poprzednio.

- Gabriel.

- To ładne imię - zgodziła się, zaglądając do samochodu. - Co mu się stało w łapę?

- No... pogryzł go... opos. Tak mi się przynajmniej wydaje - powiedział Aaron. - To jeden z powodów, dla których szukamy tutaj pokoju. Łapa musi się trochę podgoić, zanim ruszymy w dalszą drogę.

- To na pewno nie jest ugryzienie oposa. - Staruszka pokręciła głową. Zajrzała głębiej do środka i pozwoliła Gabrielowi obwąchać jej kościste, zgrubiałe dłonie. - Co cię pogryzło, piesku?

- Orisha, tak się chyba nazywał - zaszczekał w odpowiedzi labrador.

- Popatrzcie tylko. - Kobieta uśmiechnęła się promiennie. - Zupełnie jakby chciał mi odpowiedzieć.

- Jest bardzo towarzyski. - Aaron pokazał Gabrielowi za plecami kobiety uniesiony kciuk.

- A nauczony czystości i porządku? - upewniła się starsza pani, głaszcząc psa po pysku i za uszami.

- Oczywiście. Nie szczeka, ani nie gryzie. Gabriel to spokojny i ułożony pies. Kobieta wynurzyła się z samochodu i zmierzyła Aarona wzrokiem.

- Nie wyglądasz mi raczej na Rockefellera, więc wynajmę ci pokój z wyżywieniem za sto dolarów tygodniowo. Ale będziesz musiał jeść ze mną - tu nie ma restauracji.

- Świetnie - ucieszył się Aaron. - Zawsze to jakaś odmiana od fastfoodu.

Staruszka przyglądała mu się jeszcze przez chwilę, po czym odwróciła się i podreptała do swojego ogrodu.

- Nie dziękuj mi - powiedziała, zakładając okulary i wyjmując rękawice z kieszeni. - Nie wiesz jeszcze, czy jestem dobrą kucharką... - Przerwała na moment i odwróciła się do niego. - Młody człowieku, skoro już będziesz mieszkać pod moim dachem, wypadłoby się chyba przedstawić.

- Nazywam się Aaron. Aaron Corbet.

- Aaron - powtórzyła kilka razy, jakby chciała w ten sposób łatwiej zapamiętać jego imię. - Jestem pani Provost - kiedyś nazywałam się Orville, ale po śmierci męża w 1972 roku postanowiłam wrócić do panińskiego nazwiska. Nigdy nie zależało mi na jego majątku, a już na pewno nie na jego nazwisku.

Ruszyła dalej ścieżką prowadzącą w głąb ogrodu, bawiąc się po drodze trzymanymi w dłoni rękawicami.

- A więc jest pani...?

Kobieta zatrzymała się znowu i zmierzyła go tym samym chmurnym spojrzeniem.

- Czy co jestem? - spytała z rozdrażnieniem w głosie.

- Czy jest pani dobrą kucharką? - Aaron wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Pani Provost, nie mogąc się powstrzymać, uśmiechnęła się szeroko, ale zaraz potem odwróciła się do Aarona plecami, żeby tego nie widział.

- Zależy, kto pyta - stwierdziła, podnosząc sekator leżący na schodach prowadzących na ganek. - Mój świętej pamięci mąż uważał, że niezłą - i proszę, jak skończył.

- Ładnie tu - powiedział Aaron, wchodząc do salonu i rozglądając się wokoło.

Głównym motywem wystroju wnętrza były winogrona. Z sufitu zwisały żyrandole w kształcie winogron, na podłodze stały wazy z wymalowanymi winogronami, nawet narzutę na łóżko ozdobił ten sam owocowy motyw. Aaron pomyślał, że choć to trochę szalone, to w

sumie nawet nieźle wygląda. Gabriel wpadł do środka i od razu znalazł sobie miejsce na podłodze obok królewskich rozmiarów łóżka, w miejscu, gdzie padały ciepłe promienie słońca.

- Tutaj będzie spał? - spytała pani Provost.

- Podłoga może być, chociaż czasem zdarza mi się spać z Aaronem - szczerknął pies.

- A pani to pasuje, czy ma sobie poszukać innego miejsca? - Aaron uśmiechnął się.

- Jeśli chodzi o mnie, może sobie spać, gdzie mu się żywnie podoba. - Właścicielka machnęła ręką, po czym podeszła do szafy, otworzyła ją i wyjęła ze środka białą kołdrę z... winogronami, rzecz jasna. - Pomyślałam tylko, że jeżeli chce spać na podłodze, to może na tym będzie mu wygodniej.

Gabriel wstał, robiąc jej miejsce, a starsza pani rozłożyła kołdrę na słonecznej plamie.

- Proszę bardzo - powiedziała, wygładzając materiał.

- Spróbuj, czy ci odpowiada.

Pies natychmiast wrócił na swoje miejsce i położył się z ciężkim westchnieniem.

- Twój pies musi być chyba bardzo zmęczony - stwierdziła właścicielka, sięgając do kieszeni spodni. Wyjęła stamtąd klucz na breloczku z napisem „I love Maine”.

- Proszę, to twój klucz. Pasuje też do drzwi wejściowych na dole, które zamykam co wieczór punktualnie o dziewiątej. - Pani Provost ruszyła w kierunku drzwi.

Kolacja będzie o szóstej - dodała jeszcze, wychodząc z pokoju. - Jeżeli lubisz klopsy, zapraszam. A jeśli nie, musisz radzić sobie sam.

- Ja przepadam za klopsami - zaskamlał ze swojego legowiska Gabriel, kiedy tylko zamknęły się za nią drzwi.

- A czy jest cokolwiek do jedzenia, za czym ty nie przepadasz? - Aaron ukląkł przy psie, żeby zbadać ranę na jego łapie.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. - Gabriel zamyślił się.

- W takim razie mam dla ciebie propozycję nie do odrzucenia. - Aaron poklepał go po łbie. - Przemyśl to sobie, a ja w tym czasie poszukam Kamaela, dobrze?

- Dasz sobie radę?

- Pewnie, że dam. - Aaron wstał i podszedł do drzwi. Miał już wyjść, kiedy Gabriel odezwał się:

- Aaronie, myślisz, że znajdziemy tu Steviego?

Aaron zastanowił się przez moment, biorąc pod uwagę wszystkie te dziwne uczucia, których doświadczał.

- Nie wiem. Ja też muszę sobie przemyśleć kilka rzeczy i wtedy dam ci znać. - Po tych słowach wyszedł z pokoju, zostawiając swojego wiernego przyjaciela, żeby trochę odpoczął i szybciej wyzdrowiał.

Aaron wędrował beztrąsko wzdłuż Berkely Street, rozglądając się i poznając otoczenie. Skręcił w lewo, w ulicę bez żadnych oznaczeń, zapamiętując charakterystyczne punkty, żeby się nie zgubić. Mijał po drodze wiele pięknych, nieco staroświeckich, ale bardzo zadbanej domów, z których większość mogła się poszczycić wspaniałymi ogródkami - w niczym nieprzypominającymi amazońskiej dżungli pani Provost.

Na końcu ulicy bez nazwy zatrzymał się, żeby pomyśleć i podjąć jakieś dalsze kroki. Nigdzie nie dojrzał śladu Kamaela, za to niezwykle uczucie, które towarzyszyło mu od chwili wjazdu do Blithe, nie zamierzało ustąpić - wręcz przeciwnie, z każdą chwilą doskwierało coraz bardziej. Czuł się tak, jakby po całonocnej nauce w jego żyłach płynęło zbyt dużo kofeiny. Wiedział, że potrafi zinterpretować to uczucie, ale nie miał pojęcia, jak się za to zabrać. Musiał jeszcze przyswoić sobie solidną porcję wiedzy dotyczącej szczegółów z życia Nefilimów.

- Musisz odkryć w sobie moc i osiąść rozmaite zdolności - powiedział mu Kamael w drodze do Blithe. - Im szybciej, tym lepiej.

Aarona denerwowały słowa anioła. Odkrywanie tych zdolności, o których wspominał, było jak czytanie książki bez znajomości alfabetu. Po prostu nie znał podstaw.

Przypomniał sobie pewną sytuację, która miała miejsce niedługo po tym, jak opuścili Lynn. Kamael opisywał, w jaki sposób anioł posługuje się wszystkimi pięcioma zmysłami - nie każdym z osobna, lecz chłonąc w całości to, co go otacza.

- Zrób tak jak ja - powiedział wtedy anioł, zamykając oczy. - Poczuj świat i wszystko, co tworzy go jako całość, tak jak tylko my potrafimy czuć. Aaron spróbował, ale skończyło się na nieprzyjemnym bólu głowy. Kamael nie krył rozczarowania - jego zdaniem, Nefilim nie spełnił nadziei, jakie pokładał w nim były dowódca Potęg. Może to nie o mnie napisał jasnowidz w swojej przepowiedni?

- pomyślał Aaron. Może Kamael w końcu zdał sobie z tego sprawę i odszedł, żeby znaleźć właściwego Nefilima, zbawcę wszystkich upadłych aniołów.

Coś zaszeleściło w kępie drzew za jego plecami. Aaron odwrócił się, żeby zobaczyć, skąd dobiega hałas. W cieniu mignęło przez moment coś czerwonego, a potem ze swojej kryjówki powoli wyłonił się szop pracz - zupełnie jakby wiedział, że i tak zostanie zdemaskowany. To dziwne - pomyślał Aaron, obserwując zwierzę. Myślałem, że szopy to

nocne zwierzęta. Przypomniawszy sobie, jak słyszał je późno w nocy z okna swojej sypialni, kiedy próbowały się dostać do zamkniętych pojemników na śmieci.

Szop podchodził coraz bliżej, nie mrugając nawet ciemnymi ślepiami. Poruszał się w dziwny sposób i Aaron zaczął zastanawiać się, czy zwierzę nie jest wściekłe. O to chodzi? - spytał na głos, wiedząc, że zwierzę bez problemu go zrozumie. Jesteś chory na wściekliznę?

Szop nie odpowiedział, tylko gapił się na niego, nie zatrzymując się.

Kiedy Aaron spojrzał mu w oczy, poczuł, jak ogarnia go przejmująca euforia. Resztką sił powstrzymał się, żeby najpierw nie wybuchnąć śmiechem, a zaraz potem nie zapłakać z radości. Zamknął tylko oczy i dał się ponieść falom emocji.

Stevie. Jego młodszy brat był tutaj - w Blithe. Teraz był pewien. Czuł jego obecność, wiedział, że Stevie czeka na niego - by go przytulić i pobawić się z nim. Stevie był cały, nikt nie wyrządził mu krzywdy - to napawało Aarona radością, jakiej nie czuł jeszcze nigdy w życiu.

- Przepraszam - wyrwał go z zadumy męski głos.

Aaron otworzył oczy i zobaczył, że stary szop zniknął, a jego miejsce zajął policjant o podejrzliwym spojrzeniu.

- Ma pan jakiś problem? - spytał, podchodząc bliżej, z ręką opartą na kaburze pistoletu. Aaron zatoczył się, jakby przed chwilą wysiadł z kolejki w wesołym miasteczku.

- Wszystko w porządku - wykrztusił. Co się właściwie stało?

- Nie wygląda pan najlepiej - burknął stróż prawa. - Pił pan coś? - zapytał, podchodząc bliżej, żeby poczuć od Aarona woń alkoholu.

Aaron potrząsnął głową. Czuł, jak wracają mu siły i rozum.

- Nie, proszę pana. Nic mi nie jest. Chyba dostałem lekkiego udaru od tego słońca, czy coś w tym rodzaju.

- Czy mogę spytać, co pan tutaj robi?

- Szukam przyjaciela. - Aaron podniósł dłoń, żeby otrzeć krople potu z czoła. - Wysoki, szpakowaty, z siwą brodą. Ubrany w ciemny garnitur. Widział go pan może?

Policjant przyglądał mu się dalej zza ciemnych okularów.

- Poproszę dowód tożsamości - powiedział w końcu, wyciągając rękę.

Aaron zaczął tracić nerwy. Najpierw znika Kamael, potem zjawia się dziwny szop, a teraz jeszcze ten namolny szeryf na służbie. Podając mężczyźnie dowód, zastanawiał się, czym jeszcze zaskoczy go to miasto.

- Jest pan tutaj przejazdem, panie Corbet? - Policjant zwrócił mu dowód, który Aaron schował z powrotem do portfela.

- Myślę, że zatrzymam się tu na kilka dni - odparł, wsuwając portfel do kieszeni. Nagle poczuł, jak traci panowanie nad sobą i spokój, który z takim trudem udało mu się do tej pory zachować. To było jego przekleństwo - miał niewyparzony język. - Czy ma pan jakiś problem, oficerze...? - spytał z rosnącą irytacją w głosie.

- Dexter - odpowiedział policjant, dotykając runda kapelusza. - Szef policji Dexter. I nie, nie mam żadnego problemu - przynajmniej na razie... - To mówiąc, uśmiechnął się, choć nie było w tym uśmiechu cienia życzliwości. Przypominał raczej grymas. - Blithe to spokojne miasteczko, panie Corbet i moim zadaniem jest dopilnować, by takim pozostało. Rozumiemy się?

Aaron przytaknął, gryząc się w język. W końcu był tu tylko obcym, a to wystarczyło, żeby wzbudzić podejrzenia.

Szeryf Dexter odwrócił się i odszedł w stronę zaparkowanego nieopodal radiowozu. Przedtem Aaron był tak przepełniony emocjami, że nie usłyszał nawet, jak nadjeżdżał. Obrócił się w stronę zagajnika.

- Oficerze Dexter! - zawołał.

Policjant zatrzymał się, jego dłoń zamarła na klamce samochodu.

- Nie widział pan przypadkiem szopa, kiedy pan tu przyjechał?

Dexter otworzył drzwi i Aaron usłyszał dobiegające ze środka skrzeczenie policyjnego radia. Zanim usadowił się na fotelu kierowcy, jego twarz wykrzywił po raz kolejny ten sam grymas.

- O tej porze nie ma tu szopów, panie Corbet. To nocne stworzenia.

- Tak myślałem. - Aaron pokiwał głową, po czym przyjrzał się policjantowi. Było w nim coś...

- Życzę miłego pobytu w Blithe, panie Corbet - powiedział oficer Dexter. - Mam nadzieję, że odnajdzie pan przyjaciela - dodał, zatraskując drzwi, po czym zawrócił o 180 stopni i odjechał.

Od kobiety, która przyprowadziła psa na rutynowe badania Katie McGovern dowiedziała się, że jej były narzeczony zniknął co najmniej cztery dni temu. Pies - ośmioletni pudel o imieniu Taffy - miał umówioną wizytę w poniedziałek rano, ale nikogo nie było w lecznicy aż do popołudnia w środę, kiedy przyjechała Katie.

- Doktor Wessel nigdy nie zapominał o swoich pacjentach. Mam nadzieję, że nic mu się nie stało - przejęła się właścicielka pudła.

Katie wymyśliła jakąś historyjkę o ważnych sprawach rodzinnych, które widocznie musiały zaprzątnąć Kevinowi głowę, pamiętając, żeby powiedzieć o tym swojemu byłemu

narzeczonemu, kiedy wróci. Jeśli w ogóle wróci - zaskrzeczał w jej głowie złośliwy głos. Starła się go jednak zignorować, krzątając się po gabinecie i przyjmując pacjentów Kevina. Porządek wywodzi się z organizacji - powtarzała zawsze jej matka. A z porządku rodzą się odpowiedzi. Ale niepokój, który zagnieżdżył się w żołądku Katie wraz z pierwszym mailem od byłego kochanka, kiedy ów mail przyszedł dwa tygodnie temu, konsekwentnie narastał.

Chyba znalazłem tutaj coś, co cię zainteresuje - masz ochotę mnie odwiedzić? Katie uznała to za próbę odzyskania jej zainteresowania, jakby Kevin otrzeźwiał i chciał sprowadzić ją z powrotem do swego życia. Zignorowała tę wiadomość, ale kilka dni później przyszedł kolejny mail.

Nie wiem, czy dam sobie z tym radę. Naprawdę muszę cię zobaczyć. Przyjedź, proszę.

Najbardziej denerwowała ją emanująca z korespondencji niecierpliwość, jakby sprawy z dnia na dzień przybierały coraz bardziej gwałtowny i niekorzystny obrót. Nazajutrz Katie zadzwoniła do niego, lecz telefon w lecznicy milczał. A kiedy Kevin nie odpowiedział również na wiadomości, które zostawiła mu na automatycznej sekretarce, Katie postanowiła wziąć kilka dni wolnego i pojechała w ślad za nim do Maine. Wprawdzie od ich rozstania minęły już prawie dwa lata, ale nie znaczyło to wcale, że przestali być przyjaciółmi.

W gabinecie panował kompletny chaos. Kevin miał skłonność do tracenia głowy i zostawiania jednych spraw niedokończonych, na rzecz innych. Ta skłonność doprowadziła w końcu ich związek do upadku, kiedy Kevin stracił głowę dla innej kobiety. Jednak tym razem musiało chodzić o coś innego.

Katie spojrzała na zegarek. Dochodziła już szósta, a ona miała wrażenie, jakby przez całe popołudnie nie odetchnęła nawet przez chwilę. W przerwach między wizytami kolejnych pacjentów starała się doprowadzić gabinet do porządku, a także dowiedzieć się czegoś więcej na temat zagadkowego zniknięcia Kevina. Pomyślała o Aaronie Corbecie. Chłopak wydawał się właściwą osobą do pomocy w prowadzeniu praktyki podczas nieobecności Kevina.

Wzięła teczkę jego psa, leżącą na skraju biurka i zaczęła przeglądać od niechcienia. Po raz kolejny zwróciła uwagę na słowa „ugryzienie szopa”, które nie dawały jej spokoju. Katie widziała już w pracy wiele ugryzień, ale to, które miał na łapie Gabriel, z pewnością nie zostało zadane przez szopa. Nie była w ogóle przekonana, czy pogryzło go jakieś zwierzę. Ślad wskazywał raczej na ugryzienie małego dziecka. Jeszcze jedna zagadka Blithe - pomyślała.

Lekarka westchnęła i zamknęła teczkę. Podeszła do szafki na dokumenty stojącej koło biurka i otworzyła szufladę. Włożyła do środka teczkę Gabriela razem z innymi, które udało jej się uporządkować, i chciała już zamknąć szufladę, ale coś zablokowało ją od wewnątrz.



Katie sięgnęła ręką i wyczuła przedmiot schowany za szufladą. Zdarzało się czasem, że wpadała tam jakaś teczka i blokowała prowadnice. Ale to coś przypominało kształtem raczej książkę niż plik dokumentów. Katie wydobyła ją.

To pewnie jakiś dziennik weterynaryjny - pomyślała, kładąc książkę na biurku. Faktycznie, okazało się, że jest to dziennik, ale znacznie bardziej osobisty - należał bowiem do Kevina. Katie przypomniała sobie, że jej były chłopak zapisywał w nim codziennie różne rzeczy przed pójściem do łóżka, począwszy jeszcze od czasów studiów. Pomaga mi to zebrać myśli - powiedział jej kiedyś, gdy spytała, dlaczego to robi.

Katie zaczęła kartkować dziennik i zatrzymała się na wpisie z 1 czerwca:

Dzisiaj widziałem kolejnego. Mógłbym przysiąc, że mnie obserwują. Na samą myśl o tym przechodzą mnie dreszcze. Ciekawe, co powiedziałyby Katie.

Wpis pokrywał się w czasie z pierwszym mailem, który dostała od Kevina. Ze skurczonym ze strachu żołądkiem, Katie przewróciła kilka stron, żeby znaleźć ostatni wpis, odpowiadający mniej więcej dacie, kiedy Kevin przestał wysyłać maile i ślad po nim zaginął.

8 czerwca: Znalazłem kolejnego i schowałem do zamrażarki razem z innymi. Nie mam pojęcia, jaka może być tego przyczyna. Nie chcę JESZCZE alarmować miejscowych władz. Nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego. Zastanawiam się, czy to może mieć jakiś związek z obserwowanymi przeze mnie ostatnio dziwnymi zachowaniami miejscowej fauny. Wciąż nie opuszcza mnie wrażenie, że jestem śledzony. Muszę to komuś pokazać - komuś, komu ufam. Poproszę Katie, by tu przyjechała. Obleciał mnie trochę strach i poczuję się lepiej, gdy będzie przy mnie.

- O czym ty bredzisz? - Katie powiedziała na głos do dziennika, czując, jak ogarnia ją coraz większa frustracja. To był ostatni wpis, który - podobnie jak wcześniejsze - niczego jej nie wyjaśnił.

Rzuciła dziennik na biurko i zastanowiła się przez chwilę nad tym, co właśnie przeczytała.

- Znalazłeś coś, a potem schowałeś to do zamrażarki - powiedziała, zagryzając paznokcie, po czym rozejrzała się po recepcji. - No dobra, przekonajmy się.

Nigdzie w przychodni nie widziała chłodziarki, chociaż większość weterynarzy miała taki sprzęt w swoich gabinetach. Służyły do przechowywania zdechłych zwierząt, próbek tkanek oraz innych okazów. Musi gdzieś być - pomyślała.

Wstała zza biurka i poszła korytarzem, mijając po drodze pokój zabiegowy. Na końcu znajdowały się drzwi, które, jak sądziła, prowadziły do pomieszczenia gospodarczego. Katie

nacisnęła klamkę, drzwi otworzyły się i jej oczom ukazały się drewniane schody, które znikwały w czeluściach piwnicy.

Katie pomacała ścianę w poszukiwaniu włącznika światła, ale daremnie. Trzymając się chłodnej, kamiennej ściany zaczęła ostrożnie schodzić po schodach. Na dole zauważyła niewyraźny kształt żarówki, która zdawała się wisieć w powietrzu. Sięgnęła ręką i pociągnęła za łańcuszek.

Żarówka oświetliła służącą za składzik piwnicę, wykopaną w ziemi i częściowo wykutą w skale, głęboko pod fundamentami budynku. Katie rozpoznała rower Kevina, jego narty, a nawet kajak. Jej uwagę przyciągnęła jednak przede wszystkim znajdująca się w kącie zamrażarka, która stała na drewnianych paletach i cicho buczała.

Manewrując między zawieszonymi na rurach zimowymi kurtkami, Katie podeszła do zamrażarki i stanęła przed nią, czując, jak z włączonego urządzenia emanuje przyjemny chłód.

- Zobaczmy, co cię tak wystraszyło, Kev - szepnęła, podnosząc pokrywę. Ze środka buchnęła mroźna para, niemal zatykając jej płuca. Katie zaczęła kaszleć. W powietrzu unosił się zapach martwych zwierząt. Katie zauważyła na dnie jakieś torebki opatrzone czerwonymi znakami ostrzegawczymi. Nachyliła się i wyjęła jedną z nich. Była pokryta szronem i Katie musiała ją wytrzeć, żeby móc zajrzeć do środka. Wewnątrz znajdowała się jakaś istota, która wpatrywała się w nią niewidomymi, martwymi oczami.

- O Boże! - wykrztusiła Katie McGover, oglądając ze wszystkich stron plastikowy pojemnik. Po plecach raz za razem przechodziły ją ciarki. - Wcale ci się nie dziwię, że trochę spanikowałeś.

## INTERMEDIUM 2

Steven Stanley siedział, zatopiony w myślach wypełniających jego mroczny umysł, trzymając się kurczowo tego wszystkiego, co czyniło go takim, jakim był do tej pory: wspomnień, chwil, które odcisnęły niezatarty ślad w jego psychice. Ale teraz wspomnienia rozpraszał przeszywający ból. Znikały kolejno: błękitne niebo pełne ptaków, czarnoszary ekran telewizora, żółty pies biegający po podwórku z czerwoną piłką w pysku, mama i tata przytulający go i całujący. I Aaron - jego obrońca, jego towarzysz zabaw - taki piękny.

Taki piękny.

Rozedrgane ciało chłopca otaczało siedmiu Archontów odprawiających rytuał, który bardzo często kończył się śmiercią biorącej w nim udział osoby. Stevie walczył zaciekle z krępującymi go kajdanami, podczas gdy Archont Jaldabaot kreślił na jego bladej, nagiej skórze symbole przemiany, mamrocząc pod nosem słowa i dźwięki nieznanego człowiekowi.

Drugi z Archontów - Orajós wbił długą, złotą igłę w żołądek chłopca, a potem wepchnął ją jeszcze mocniej, wszczepiając Steviemu magiczne ziarno transformacji. Trzeci Archont - Jao zasłonił mu usta delikatną dłonią, żeby uciszyć świdrujące w uszach krzyki chłopca. Operacja wydawała się przebiegać pomyślnie i Archonci czekali cierpliwie, aż nastąpi całkowita przemiana.

Wkrótce z dawnego Stewiego nie zostanie już nic. Autystyczne dziecko najmocniej przypominało sobie starszego brata i bijące od niego ciepło miłości, które zagłuszało ból agonii, na jaką zostało wystawione jego drobne, siedmioletnie ciało. Stevie wiedział, że Aaron po niego przyjdzie i uwolni go od bólu; do tego czasu musiał jednak dać sobie jakoś radę i trzymać się kurczowo tego, co mu jeszcze zostało.

Archont Sabaot zorientował się jako pierwszy. Przekrzywił głowę i słuchał. Dźwięki dobiegały z ciała chłopca były zupełnie inne niż tłumione krzyki, które do tej pory z siebie wydawał. Coś trzaskało, rozrywało się i zgrzytało. Chłopiec zaczął się zmieniać - rósł i stawał się dużo bardziej dojrzały, niż wskazywałby na to jego wiek. To była najbardziej niebezpieczna część całego rytuału. Archonci przyglądali się Steviemu oniemiałi, nie mrugając nawet oczami i obawiając się, że coś może pójść nie po ich myśli.

Archont Kacpiel pamiętał pewne dziecko, którego układ kostny rozrósł się w tak nieproporcjonalny sposób, iż ciało chłopca uległo potwornej deformacji, zaś jego umysł został nieodwracalnie okaleczony. Nie mieli wtedy innego wyboru, jak tylko poprosić Archonta Domiela, by ulżył chłopcu w cierpieniach. Było im z tego powodu żal i wstyd, gdyż tamten kandydat wykazywał ogromny potencjał - prawie taki jak ten.

Stevie przeciwstawiał się tak długo, jak potrafił, trzymając się kurczowo pamięci o swoim bracie, jedynym przyjacielu i obrońcy. Ale wspomnienie opuszczało go - kawałek po kawałku. Za wszelką cenę chciał zapamiętać piękną twarz chłopca, który obiecał nigdy go nie opuścić, ale ból był zbyt silny, wprost nie do zniesienia. Jak miałna imię ten chłopiec? - zastanawiał się jeszcze przez chwilę, zwijając się w agonii. Ale wnet zapomniał o tym pytaniu. Albo przestało mu na nim zależeć. To już nie miało znaczenia. Teraz był już tylko ucieleśnieniem bólu. A ból był niejako nim.

Archont Erataol otworzył kajdany na otartych do krwi nadgarstkach i kostkach Stewiego, podczas gdy pozostali obserwowali go w milczeniu. Wygląda na to, że rytuał się powiódł - pomyślał, patrząc na ciało chłopca zwinięte w pozycji embrionalnej na podłodze solarium. Istota, która jeszcze niedawno była słabowitym dzieckiem, teraz zamieniła się w dojrzałego dorosłego. Jej ciało osiągnęło stan fizycznej doskonałości, a wrażliwość na to, co nadnaturalne zwiększyła się gwałtownie. Archonci wykonali swoje zadanie.

Werchiel będzie usatysfakcjonowany.

## ROZDZIAŁ 6

To był prawdopodobnie najlepszy klops, jaki Aaron kiedykolwiek jadł. Wsadził sobie do ust ostatnią łyżkę tłuczonych ziemniaków i groszku, zostawiając na talerzu niedojedzony kawałek mięsa. Gabriel leżał na podłodze u jego boku, patrząc żałośnie, a z pyska kapąła mu gęsta ślina.

Aaron spojrział na siedzącą po drugiej stronie kuchennego stołu panią Provost, która popijała z kubka kawę - zrobioną z prawdziwych ziaren kawy, nie z tego granulowanego syfu - o czym nie omieszkała go poinformować.

- Będzie pani miała coś przeciwko? - spytał, wskazując niedojedzony kawałek mięsa i kiwając znacząco głową w stronę psa.

- Absolutnie - odpowiedziała, popijając kolejny łyk kawy. - Dałabym mu osobny talerz, gdybyś tylko mi pozwolił.

Aaron podniósł mięso i podał je psu.

- Gabriel dostał już swoją kolację. Poza tym, ludzkie jedzenie w nadmiernej ilości mu szkodzi - wyjaśnił, patrząc, jak labrador delikatnie sięga po przysmak i czekając, aż pies wylizze mu z tłuszczu palce. - Puszczaj go, wiatry.

- Stawiasz mnie w mało komfortowej sytuacji - upomniał go Gabriel, oblizując przy tym wargi.

Aaron roześmiał się i wytarł psa za uszy.

- Mogłabym się do tego przyzwyczaić - powiedziała pani Provost, podnosząc się z krzesła. - Czasem sama czuję się jak nadmuchana dętka, tak mnie rozpiekają gazy.

Aaron z trudem powstrzymał się, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

Właścicielka domu sięgnęła po jego talerz i położyła go na swoim.

- Chyba dało się zjeść, co? Nie muszę go nawet myć. - Uśmiechnęła się.

- Przepraszam, niewychowana świnia ze mnie - usprawiedliwił się Aaron, patrząc, jak pani Provost wkłada brudne naczynia do zlewu. - Kolacja była naprawdę pyszna. Jeszcze raz dziękuję.

Kobieta odkręciła wodę i zaczęła zmywać. Aaron chciał zaproponować, że ją wyręczy, ale coś podpowiedziało mu, że w odpowiedzi może usłyszeć jakąś złośliwość, więc zachował tę propozycję dla siebie. Jeśli gospodyni będzie od niego czegoś potrzebować, z pewnością sama o to poprosi.

-I tak musiałam ugotować coś dla siebie. - Pani Provost wzruszyła ramionami, myjąc jeden z talerzy gąbką w kształcie jabłka. - A poza tym, miło jest od czasu do czasu zjeść w towarzystwie.

Aarona zastanawiało, czy kobieta czuje się samotna od śmierci męża. W domu nie widział żadnych śladów dzieci ani wnuków.

- Chociaż z czasem gotowanie dla kogoś może stać się prawdziwym wrzodem na tyłku - wtedy zaczynasz sobie przypominać, dlaczego wolałeś jeść w samotności - dodała.

Wygląda jednak na to, że samotność jej nie doskwiera...

Pani Provost odłożyła talerze na suszarkę, a wilgotny ręcznik powiesiła na metalowym wieszaku przykręconym do szafki pod zlewozmywakiem. A potem wróciła do stołu i zabrała się za dopijanie kawy. Aaron nie był pewien, czy powinien podziękować i wrócić do swojego pokoju, czy raczej zostać jeszcze trochę i dotrzymać swojej gospodyni towarzystwa. W kuchni zapadła cisza, nie licząc szumiącej w kącie lodówki i rytmicznego oddychania Gabriela, który zapadł w sen na podłodze.

- Skąd jesteś, Aaronie? - Pani Provost przerwała milczenie, podnosząc kubek do ust.

- Z Lynn, w stanie Massachusetts - wyjaśnił.

- Domyśliłam się, że nie chodzi o Lynn w Północnej Dakocie - z właściwą sobie zgrzyliwością odpowiedziała pani Provost, odstawiając kubek na szary, poplamiony obrus. - Miasto grzechu, co? Masz tam jakąś rodzinę?

Wyraz jego twarzy musiał się zmienić dramatycznie, gdyż Aaron ujrzał w jej oczach niepewność. Nie chciał, żeby zrobiło jej się przykro, więc odpowiedział dyplomatycznie: - Miałem. Wszyscy zginęli w pożarze kilka dni temu. - Po tych słowach wbił wzrok w swoje ręce leżące na stole.

- Bardzo mi przykro - odparła pani Provost, zaciskając kurczowo obie dłonie na stojącym kubku.

- Skąd mogła pani wiedzieć? - Aaron uśmiechnął się. - Właśnie dlatego przyjechałem do Maine. Wie pani, zmiana otoczenia dobrze mi robi.

Pani Provost skinęła głową. Też kiedyś chciałam stąd wyjechać... mniej więcej w tym samym czasie, kiedy poznałam mojego przyszłego męża - powiedziała, patrząc w dal. - Ale nigdy się na to nie zdobyłam. Wyszłam za mąż i tak się już dalej jakoś potoczyło.

Pani Provost wstała nagle i zaniósła kubek do zlewu. Gabriel obudził się i podniósł łeb, żeby się upewnić, czy nic ważnego go nie ominęło. Aaron podrapał się w czubek głowy.

- A więc nigdy nie opuściła pani Blithe?

- Nie. - Kobieta odłożyła kubek na suszarkę razem z innymi naczyniami. - Ale często myślę, co by się stało, gdybym wyjechała - jak potoczyłoby się moje życie.

Atmosfera w kuchni zaczęła coraz bardziej przypominać grobowy nastrój.

- Czy ma pani dzieci? - Aaron zadał to pytanie, zanim zdążył pomyśleć, czy dobrze robi.

Pani Provost wytarła dłonie w ręcznik.

- Mam syna, Jacka. Mieszka z żoną i córką w San Diego. - Kobieta wzięła gąbkę i zaczęła wycierać stojące na blacie puszki. - Nigdy nie byliśmy sobie specjalnie bliscy. A kiedy umarł Luke - to znaczy mój mąż - oddaliśmy się od siebie jeszcze bardziej.

- Odwiedziła ich pani kiedyś? - spytał Aaron, chociaż znał już odpowiedź.

- Nie - odparła staruszka, wycierając blat po raz drugi. - W ubiegłym roku kupili mi na Gwiazdkę komputer, żebyśmy mogli wysyłać sobie emaile. Ale ja nie potrafię jakoś przekonać się do Internetu. Podobnie jak do zakupów przez sieć.

- Ma pani komputer? - Aaron ucieszył się. Minęło wiele dni, od kiedy po raz ostatni miał możliwość sprawdzić pocztę i wysłać mail do Vilmy.

- Przecież powiedziałam. - Pani Provost wskazała palcem w stronę salonu. - Jest w gabinecie obok salonu. Syn nalega, żebym opłacała Internet, chociaż w ogóle nie dotykam komputera. Możesz z niego skorzystać, jeśli chcesz.

- Bardzo dziękuję.

- Tylko żadnych stron pornograficznych - ostrzegła go, odkładając gąbkę z powrotem obok zlewu. - Nie toleruję w tym domu pornografii - ani zakupów internetowych.

Kamael wiedział, że nie trafił do Aerie, chociaż głos w jego głowie starał się go przekonać, że tak właśnie jest.

- Uspokój się, aniele - zasyczał głos, gdzieś między jedną gorączkową myślą a drugą. - Przecież tego szukałeś.

Kamael tak bardzo chciał w to uwierzyć, poddać się błogim myślom, że w końcu dał za wygraną.

- Witaj w Aerie, Kamaelu - wyszeptał głos. - Tak długo czekaliśmy, aż przybędziesz.

W głowie anioła pojawił się obraz Aarona - Nefilima. Jeżeli to rzeczywiście Aerie, to trzeba będzie go tu sprowadzić - pomyślał, próbując wykonać jakiś ruch w otaczającej go gęstej, kleistej mazi. Ale jego ciało krępowało coś na kształt grubych, umięśnionych wąsów, które nie pozwalały mu wykonać najmniejszego ruchu.

- Me ma powodów do obaw - Kamael usłyszał znów kojący głos. - Chłopiec zjawi się w swoim czasie. To twoja chwila, wojowniku. Odpręż się i pozwól Aerie stać się wszystkim, czego kiedykolwiek pragnąłeś.

Błoniasty worek, w którym się znajdował, zaczął dudnić - rytmiczny, jednostajny puls usypiał go i wprawiał w coraz większą błogość. Oto bicie serca upragnionego schronienia.

- Opuść gardę, aniele, i przestań się bronić - rozkazał głos. - Me możesz doświadczyć wszystkiego, czego pragniesz, dopóki nie okażesz mi całkowitego posłuszeństwa.

W głębi duszy Kamael wiedział, że się myli. Chciał podjąć walkę, dobyć ognistego miecza i rozproszyć gęstą chmurę, która spowijała jego umysł - ale nie miał w sobie wystarczająco dużo siły.

- Twoje wątpliwości są przeszkodą, wojowniku. Odrzuć je i zaznaj spokoju, o którym zawsze marzyłeś.

Kamael nie był w stanie dłużej się bronić i poddał się bestii, która przemawiała do niego fałszywym głosem. A bestia powoli zaczęła go trawić.

Po kilku godzinach luźnej rozmowy o tym i o tamtym, Aaronowi udało się w końcu dostać do komputera, kiedy pani Provost obwieściła, że idzie się położyć. Aaron przesunął myszką po jasnoniebieskiej podkładce i wcisnął przycisk „Wyślij”.

- Gotowe - powiedział, patrząc jak jego email odlatuje w wirtualną przestrzeń, wprost do Vilmy.

- Co napisałeś? - zainteresował się Gabriel, leżący na podłodze w zagraconym gabinecie.

- Nic takiego. - Aaron wyłączył komputer. - Tylko tyle, że myślę o niej i mam nadzieję, że u niej wszystko w porządku. Taka zwykła gadkaszmatka.

- Lubisz tę dziewczynę, prawda, Aaronie?

- Nie lubię myśleć o takich rzeczach, Gabrielu. - Aaron oparł się na krześle i dotknął ręką ciemnych włosów. - Werchiel i jego zbiry dostałyby mnie łatwo w swoje szpony, gdyby zdecydowali się porwać Vilmę albo zrobić jej jakąś krzywdę. Dlatego przez jakiś czas muszę poprzestać na mailach i nie liczyć na coś więcej. Dla jej własnego dobra. - Aaron zamilkł na chwilę i pomyślał, jak bardzo chciałby zmienić ten stan rzeczy. Ale potrząsnął głową. - To jedyne wyjście.

- Przynajmniej możecie rozmawiać przez komputer - powiedział Gabriel, starając się znaleźć jakiś pozytyw.

Aaron wstał i zgasił światło.

- Tak, chyba masz rację - odparł i razem wyszli na palcach z gabinetu, udając się do swojego pokoju na górze.

Aaron rozebrał się i zaczął szykować się do spania.

- Spisz dzisiaj ze mną, czy zostajesz na podłodze? - spytał psa.

Gabriel obwąchał kołdrę leżącą pod łóżkiem.

- Chyba zostanę tutaj - stwierdził, zataczając kilka kółek, aż w końcu położył się na samym środku posłania.

Aaron wdrapał się na łóżko i wsunął pod swoją kołdrę. - Jeśli zmienisz zdanie, obudź mnie, to ci pomogę.

- Dobrze mi tu na dole. Mogę wyprostować łapy bez obaw, że cię kopnę albo zranię się w nogę.

Aaron zgasił światło i pożegnał się ze swoim najlepszym przyjacielem. Nie zdawał sobie wcześniej sprawy, jak bardzo był zmęczony. Powieki natychmiast zaczęły mu ciążyć i niemal od razu odpłynął w nicość.

- A jeśli on nie wróci? - spytał nagle Gabriel, wytrącając go ze snu.

- O co chodzi, Gabe? - spytał półprzytomnym głosem.

- O Kamaela - odparł pies. - Co, jeśli on nie wróci? Co wtedy zrobimy?

To było bardzo dobre pytanie i szczerze powiedziawszy, Aaron unikał go jak ognia, odkąd Kamael zapadł się pod ziemię. Co pocnie bez jego opieki i wskazówek? Pomyślał o drzemiącej w nim mocy i serce natychmiast zaczęło bić mu szybciej.

- Nie martwiłbym się tym, przyjacielu. - Tym razem to on zdobył się na pozytywny ton. - Kamael pewnie załatwia gdzieś jakieś swoje anielskie sprawy. To wszystko. Wróci, zanim się obejrzymy.

- Anielskie sprawy - Gabriel powtórzył dwukrotnie. - Pewnie masz rację - zgodził się z pewnym wahaniem, na jakiś czas usatysfakcjonowany tą odpowiedzią. - Znajdziemy go jutro.

- Otóż to. - Aaron zamknął znowu powieki, które ciążyły mu jakby były z ołowiu. - Znajdziemy go jutro.

I zanim zdał sobie sprawę, wciągnął go bezkresny ocean snu, w którym zanurzał się z każdą chwilą coraz głębiej, tracąc świadomość w mrocznej otchłani. Nawet nie zamierzał walczyć z tym uczuciem. Po prostu zapadał w sen... Ale w tej bezkresnej otchłani coś na niego czekało.

Aaron nie był w stanie złapać tchu.



Koszmar trzymał go mocno w swoich szponach. Bez względu na to, jak bardzo chciał się obudzić, nie był w stanie się z niego wyrwać.

Był zamknięty w jakimś mięsistym worku, przypominającym kokon, z którego żyłastych ścianek sączyła się śmierdząca ciecz. Aaron szamotał się w pułapce, zaś mleczna substancja podnosiła się coraz wyżej, sięgając mu już do twarzy. Wkrótce zaleje go zupełnie - wypełni jego usta i wleje mu się do nosa. Aaron wpadł w panikę. Wtedy poczuł, że w worku jest coś jeszcze. Coś, co chwyta go za ręce i nogi, skutecznie ograniczając jego ruchy. Aaron wiedział, że to coś chce przytrzymać go, aż utonie w śmierdzącej mazi. Poczuł, jak jego ciało sztywnieje coraz bardziej.

- Nie! - krzyknął, czując jak gęsta, galaretowata substancja zaczyna wlewać mu się do ust. Cuchnęła śmiercią i otępiała go.

Aaron miał już podobny sen, kiedy po raz pierwszy zaczęły dawać o sobie znać jego anielskie zdolności. Wtedy nie przejął się nim zbytnio - a teraz jeszcze mniej. Podjął walkę, ale koszmar nie odpuszczał. Trzymał go mocno w swoich szponach.

Aaron był już kompletnie zanurzony w ciepłej cieczy, która zdawała się tulić go do snu i prowadzić do miejsca, w którym nie będzie już musiał z nikim walczyć. I prawie jej się udało.

Prawie.

Nagle Aaron ujrzał w myślach świetlisty miecz. To była najwspanialsza broń, jaką kiedykolwiek widział. Nigdy nie był w stanie wyobrazić sobie równie potężnego i wielkiego oręża. Miecz wyglądał, jakby został wykuty z jednego ze słonecznych promieni.

Gdy Aaron wyciągnął rękę, miecz rozbłysnął jeszcze jaśniejszym światłem, które nie przestawało promieniować aż w końcu rozerwało i spaliło na popiół kokon, w którym był uwięziony, a wraz z nim całe królestwo kosmaru, które go pochłonęło.

Chłopak obudził się, mokry od potu i przerażony. Gabriel wskoczył na łóżko, a jego ciemne, brązowe oczy zalśniły w dziwnej poświacie, która wypełniała cały pokój.

- Gabriel, co to...? - Aaron wykrztusił z siebie bez tchu.

- Niezły miecz - pies odparł po prostu.

Aaron powoli doszedł do siebie i wtedy zdał sobie sprawę, że w lewej dłoni ściska jakiś przedmiot. Powoli odwrócił wzrok i zobaczył coś, co przypominało mu o koszmarze, z którego przed chwilą się obudził.

Świetliste ostrze.

## ROZDZIAŁ 7

Jak myślisz, co to znaczy? - spytał leżący w nogach łóżka Gabriel, obserwując, jak Aaron wychodzi spod prysznic i wyjmując z szafy czystą koszulkę. Aaron naciągnął czerwony Tshirt. - To był jeden z tych snów, które miałem, zanim jeszcze zorientowałem się, że coś ze mną jest nie tak - powiedział, zaczesując włosy przed lustrem i dochodząc przy tym do wniosku, że wygląda całkiem nieźle. - Kiedy doświadczałem starych wspomnień, które nie należały do mnie.

- Tak jak ten miecz?

Aaron zadrżał na wspomnienie wspaniałej broni, którą przyniósł ze sobą, wracając ze snu. Wiedział, że ostrze nie zostało stworzone przez niego, lecz wykuł je ktoś bardzo ważny. Ale kto i dlaczego podarował mu ten miecz? To pytanie pozostawało bez odpowiedzi. Ostrze pozostało przy nim przez jakiś czas, po czym - jakby wyczuwając, że nie jest już potrzebne - rozplynęło się w eksplozji oślepiającego światła.

- Właśnie, tak jak ten miecz - odparł w końcu. - I podobnie jak w przypadku tamtych snów, mam wrażenie, że ktoś dał mi go, żeby mi pomóc.

- Dla mnie to było przerażające - przyznał Gabriel, po czym westchnął i położył pysk na podłodze, między łapami.

- Rzeczywiście - przytaknął Aaron, siadając obok i zakładając tenisówki. - Ale jestem przekonany, że chodzi o coś związanego z tym miastem.

- To taka zagadka? - Gabriel nadstawił uszu. Aaron roześmiał się i pogłaskał psa.

- Z całą pewnością. Posłuchaj, muszę iść do gabinetu weterynarza, gdzie pracuję. A ty zostań tutaj i pozwól swojej łapie spokojnie wyzdrowieć. Przemyśl sobie te wszystkie zagadki, może coś przyjdzie ci do głowy, dobrze?

- Zawsze chciałem rozwiązać zagadkę - ucieszył się labrador.

- W takim razie masz szansę, Scooby. - Aaron pogłaskał psa jeszcze raz, po czym skierował się do drzwi.

- Scooby? - Gabriel przekrzywił śmiesznie głowę.

- To taki pies z telewizji, który ma nosa do rozwiązywania zagadek. Gabriel przekrzywił głowę w drugą stronę.

- Nieważne. - Aaron machnął ręką i wyszedł z pokoju. - Do zobaczenia po południu.

- Miłego dnia, kudłaczku - usłyszał za sobą głos psa. Roześmiał się na cały głos, po raz kolejny nie mogąc się nadziwić, jak inteligentny stał się jego przyjaciel.

Aaron od samego rana miał w klinice mnóstwo roboty. Nie przypuszczał, że w niewielkim miasteczku może być tyle zwierząt, które wymagają opieki weterynaryjnej.

Zakładanie szwów, szczepienia przeciw wścieklicznie, nastawianie złamanej przedniej łapy - do wyboru, do koloru. Katie uwijała się jak w ukropie od rana do wczesnego popołudnia.

Jak dobrze jest móc znowu pracować ze zwierzętami - pomyślał Aaron, przytrzymując wyjątkowo charakternego teriera szkockiego o imieniu Mike, któremu trzeba było pobrać krew.

- Nie rób mi krzywdy! Nie rób mi krzywdy! - wydierał się terier, a właścicielka przyglądała mu się z troską w oczach.

- Wszystko będzie dobrze - Aaron uspokoił psa. - Kiedy pani doktor skończy, dostaniesz ciasteczko i wrócisz do domu. Zgoda?

Terier natychmiast zamilkł.

- Już po wszystkim. - Katie odstawiła fiolkę na stół i odwróciła się do właścicielki psa.

- Po południu wyślę krew do laboratorium i zadzwonię do pani, jak tylko czegoś się dowiem.

Aaron oddał zwierzę właścicielce i odprowadził oboje do poczekalni, gdzie kobieta zapłaciła za wizytę.

- Proszę nie zapomnieć o tym - powiedział, podając jej ciastko. Uśmiechnęła się w odpowiedzi, a Mike łapczywie wyrwał jej smakołyk z ręki.

- Ja zawsze dotrzymuję słowa. - Aaron puścił oko do psa, żegnając się z nim i z jego panią.

- Kolejna ofiara odfajkowana. - Katie wytarła pot z czoła, wychodząc z gabinetu. Po raz pierwszy od rana w poczekalni było pusto.

- Mamy chyba chwilę przerwy. - Aaron sprawdził w terminarzu. - Następny pacjent jest umówiony na szczepienie dopiero o czwartej. Czyli za dwie godziny.

- Całkiem nieźle sobie radzisz. - Katie oparła się o biurko w poczekalni.

- Dziękuję, pani doktor. - Aaron uśmiechnął się. - Lubię swoją pracę.

- Naprawdę, zwierzęta ci ufają. Nieczęsto spotyka się taki talent.

- Powiedzmy, że potrafię się z nimi dogadać. - Aaron wyszczerzył zęby. Katie pokręciła głową i spojrzała na zegarek.

- Mówisz, że mamy dwie godziny przerwy? Aaron skinął głową.

Katie podeszła do drzwi wejściowych, zdjęła z haczyka klucze, po czym zaryglowała drzwi.

- O co chodzi? - spytał Aaron, lekko zaskoczony.

- Ponieważ jesteś tak samo obcy w tym miasteczku jak ja, chcę ci coś pokazać. - Katie minęła go i poszła w głąb korytarza. - To jest w piwnicy.

Aaron poszedł za nią do drzwi, znajdujących się na samym końcu korytarza. W powietrzu wisiało jakieś napięcie, którego nie wyczuł wcześniej. Trochę się zaniepokoił.

- Czy to ma jakiś związek z twoim byłym chłopakiem?

- Tak, chyba tak. - Katie otworzyła drzwi i zeszła po skrzypiących drewnianych schodach prosto w ciemność. - Kevin skontaktował się ze mną i poprosił, żebym przyjechała do Blithe, żeby mu pomóc. Chociaż sam nie był do końca przekonany, z czym ma do czynienia.

Na dole Katie zapaliła żarówkę, rozświetlając skąpaną w mroku piwnicę.

- Kiedy przyjechałam, okazało się, że Kevin zniknął ciągnęła dalej weterynarka, czekając aż Aaron do niej dołączy. - W klinice panował okropny bałagan. Kevin od co najmniej czterech dni nie przyjmował pacjentów. Dotknęła drżącą dłonią czoła.

Udało jej się wzbudzić ciekawość Aarona. Wiedział, że Katie jest z tego powodu wyraźnie zmartwiona i coś nie daje jej spokoju.

- Kevin był na swój sposób dziwakiem, dlatego się rozstaliśmy. Ale pracę traktował śmiertelnie serio. Poszłam nawet na policję, żeby zgłosić jego zniknięcie, ale szeryf Dexter powiedział, żebym dała mu jeszcze trochę czasu. Jak to ujął: „Na wypadek, gdyby doktor Wessell jednak oprzytomniał”. - To mówiąc, Katie roześmiała się, choć w jej głosie próżno było szukać radości.

- Co znalazłaś, Katie? - spytał cicho Aaron. Spojrzała na niego, a potem skinęła w stronę stojącej w kącie starej zamrażarki.

- Najpierw natknęłam się na jego dziennik, w którym wspominał o pewnych... istotach, które znalazł w mieście.

- Jakich istotach?

Katie wzięła głęboki oddech i podeszła do zamrażarki. Aaron podążył tuż za nią.

- Złych istotach - podniosła klapę. - Sam zobacz.

Katie sięgnęła w głąb komory i wyjęła plastikową torbę. Potem zamknęła pokrywę i postawiła na niej torbę, wysypując jej zamrożoną zawartość. Z torby z głośnym łoskotem wypadły zwłoki jakiegoś zwierzęcia. Aaron cofnął się gwałtownie, zaskoczony i trochę zniesmaczony.

- Co to jest? - wyszeptał.

Zwierzę było wielkości średniego domowego kota i przypominało trochę szopa, choć z pewnością nie było ani jednym, ani drugim. Ciało miało pokryte długim szarym futrem, za to kończyny - skarłowaciałe jak u ryby. Trzy łapy kończyły się zakrzywionymi pazurami,

przypominającymi szpony drapieżnego ptaka, zaś czwarte odnóże było zakończone zdeformowaną macką.

- Co to jest? - powtórzył Aaron, nie mogąc oderwać wzroku od tego niezwykłego wybryku natury.

- Mnie o to nie pytaj. Wiem tyle, co ty. - Katie wzruszyła ramionami, po czym wyjęła długopis z kieszeni fartucha i zaczęła dźgać nim zamrożone truchło. - A może to właśnie ugryzło twój psa?

Aaron potrząsnął głową. Ta istota była równie obrzydliwa jak Orisha, ale nie miała żadnego związku ze zranieniem Gabriela.

- Wygląda jak pomieszanie kilku zupełnie różnych gatunków - prawdziwa ewolucyjna krzyżówka. - Katie wzdrygnęła się i kontynuowała: - Mamy tu zarówno atrybuty właściwe gryzoniom, jak i rybom - a nawet cechy charakterystyczne dla głowonogów. - To mówiąc, wytarła długopis o nogawkę spodni. - A to tylko przykład.

Aaron spojrział na nią z niedowierzaniem.

- Chcesz powiedzieć, że jest ich więcej? Katie skinęła głową, pokazując zamrażarkę.

- Przynajmniej siedem - każdy bardziej groteskowy od poprzedniego. Gdyby chodziło o jeden, góra dwa - można by mówić o pomyłce Matki Natury. Ale tyle?

- Co to, twoim zdaniem oznacza? - spytał Aaron, nie odrywając oczu od leżącego na zamrażarce monstrum, wyobrażając sobie ze wstrętem, jak muszą wyglądać pozostałe.

- Co to, moim zdaniem oznacza? - powtórzyła jak echo doktor McGovern. Zamierzała włożyć długopis z powrotem do kieszeni, ale w ostatniej chwili rozmyśliła się i wrzuciła go do starej beczki, stojącej obok pieca. - Myślę, że coś lub ktoś w tym miasteczku konstruuje prawdziwe potwory.

Aaron i Katie wybiegli po schodach z piwnicy, jakby goniło ich stado wskrzeszonych bestii z zamrażarki. W milczeniu, zatopieni w myślach, wrócili do poczekalni, gdzie Katie przekręciła klucz w drzwiach wejściowych.

- Teraz już wiesz, dlaczego tu trochę świrowałam sama - powiedziała, pocierając dłońmi ramiona, jakby chciała się rozgrzać.

- Masz jakieś podejrzenie, co mogło wywołać takie okropne mutacje? - spytał Aaron, opierając się o biurko. Przypomniał sobie nagle koszmar, który nawiedził go ubiegłej nocy, a także wczorajsze spotkanie z dziwnym szopem - i zadrżał. Czy to wszystko może mieć sobą jakieś związek?

- Tak jak mówisz, chyba istotnie mamy do czynienia z jakimiś mutacjami. - Katie podeszła do biurka i otworzyła dolną szufladę. Grzebała w niej przez chwilę, wreszcie wyjęła

paczkę ciastek Oreos, rozerwała torebkę i wsadziła sobie jedno do ust. - O, przepraszam - zreflektowała się i poczęstowała Aarona. - Obzerałam się nimi zawsze, gdy jestem zestresowana.

Aaron wyjął kilka ciastek i pozwolił Katie mówić dalej.

- Może ktoś w okolicy wyrzuca nielegalne chemikalia albo produkuje leki. - Katie gryzła Oreosy niczym wiewiórka orzechy, z oczami utkwionymi w jakimś odległym punkcie. - To musiało być coś, co zmieniło cały łańcuch genetyczny tych zwierząt...

- Tutaj? - Aaron był zaskoczony. - Czy jest tutaj jakikolwiek zakład przemysłowy, zdolny wywołać podobny skutek?

Lekarka skończyła jedno ciastko i natychmiast sięgnęła po następne.

- Już nie. Ale kiedyś w miasteczku działała pewna firma, która produkowała łodzie. To był największy pracodawca w Blithe, ale zaprzestał działalności jakieś piętnaście lat temu. Nad rzeką wciąż znajduje się opuszczona fabryka. Właściciele chcieli rozwinąć biznes, ale grunt tutaj jest bardzo niestabilny, ze względu na sieć podziemnych jaskiń, które ciągną się aż od wybrzeża. Przenieśli więc produkcję do Kalifornii.

- Widzę, że jesteś prawdziwym ekspertem, jeśli chodzi o historię Blithe. A zdawało mi się, że mieszkasz w Illinois. - Aaron roześmiał się, zlizując okruszki z palców.

Katie wzruszyła ramionami.

- Miałam się tutaj przeprowadzić razem z Kevinem, zanim się rozstaliśmy. Zrobiłam więc małe rozeznanie.

- Myślisz, że jakieś toksyczne odpady z tej fabryki łodzi mogły przeniknąć do gleby? - Aaron także sięgnął po kolejne ciastko.

- Kiedy przyjechałam tu po raz pierwszy, w nocy, trochę się zgubiłam i trafiłam na drogę prowadzącą do starej fabryki. - Katie zamknęła torebkę z ciastkami i wsadziła ją z powrotem do szuflady. - Jak na zupełnie opuszczone miejsce, sporo się tam dzieje. Myślę, że Blithe skrywa przed nami jakąś tajemnicę, a mój były narzeczony dowiedział się zbyt wiele i dlatego zniknął.

Aaron przypomniał sobie spotkanie z miejscowym szefem policji. Czyżbym uległ jakiejś zbiorowej paranoi? A może to miasteczko faktycznie kryje jakieś mroczne sekrety?

- pomyślał. Ale pozaludzka część jego natury podpowiadała mu, że coś jest jednak nie w porządku. Podobnie sądził przecież Kamael, który teraz zniknął.

- Może powinnaś zgłosić sytuację policji stanowej?

- zasugerował. - To chyba najlepsze wyjście, zwłaszcza jeśli podejrzewasz, że Kevin mógł...

Katie stanowczo potrząsnęła głową.

- Nie, jeszcze nie. Zanim zacznę kogokolwiek oskarżać, muszę mieć w ręku jakieś dowody. Aaron poczuł ścisk w żołądku.

- A te dowody...?

- Chcę odwiedzić fabrykę łodzi. -1 to dziś w nocy. Supel w żołądku Aarona zacisnął się jeszcze mocniej.

- Nie jestem przekonany, czy to dobry pomysł, Katie.

- Tylko w ten sposób mogę udowodnić, że coś tu się dzieje. Ale nie martw się. - Katie uśmiechnęła się nerwowo. - Nic mi nie będzie. Rozejrzę się tylko trochę, zbiorę ewentualne dowody, których potrzebuję i natychmiast wracam z powrotem.

W głowie Aarona zadźwięczał dzwonek alarmowy, ale wiedział, że raczej nie jest w stanie wpłynąć na decyzję lekarki. Głos rozsądku podpowiedział mu także, że będzie żałował tego, co zaraz powie, ale nie mógł pozwolić, by Katie pojechała tam sama.

- Idę z tobą - powiedział szybko, jakby obawiając się, że zaraz zmieni jednak zdanie.

Katie podeszła do niego, a w jej oczach ujrzał ogromną wdzięczność.

- Naprawdę, nie musisz. - Położyła mu rękę na ramieniu. - Ja muszę to zrobić, na wypadek gdyby Kevin...

- Nie ma o czym mówić, idę z tobą - przerwał jej Aaron, wzruszając ramionami. - My, zamiejscowi, powinniśmy trzymać się razem.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do poczekalni weszła matka z dwójką dzieci, niosąc pod pachą klatkę z miauczącym kotem.

- Chyba już czwarta - zreflektował się Aaron, spoglądając na zegarek. - A nie, jeszcze jest trochę czasu.

- Dziękuję ci, Aaronie. - Katie spojrzała mu głęboko w oczy, po czym wyszła z za biurka, żeby zaprowadzić rodzinę z kotem do pokoju zabiegowego. - Co ja bym bez ciebie zrobiła?

## ROZDZIAŁ 8

Gabriel zerwał się na równe nogi. Śniło mu się właśnie, że gonił królika przez gęsty las, wymijając krzaki i unikając nisko zwisających gałęzi, kiedy jego smaczna drzemka nieoczekiwanie zamieniła się w prawdziwy koszmar. Królik zatrzymał się, a potem odwrócił i popatrzył na niego oczami, które były bardzo dziwne. Podejrzenie ciemne, tak błyszczące, że niemal płynne. A kiedy królik mrugał tymi oczami, przesłaniała je niezwykła, mleczna błona.

Gabriel widział w życiu mnóstwo królików, ale żaden z nich nie wyglądał tak jak ten. Z tym królikiem było coś nie tak - ten królik był jakiś popsuty.

Nagle zwierzątko wpadło w jakieś drgawki i zaczęło się miotać - jakby coś w nim chciało się wydostać na zewnątrz. Gabriel wycofał się powoli i ostrożnie, warcząc najgroźniejszym tonem, na jaki potrafił się zdobyć. Królik padł na ziemię. Jego ciałem nadal wstrząsały konwulsje, ale błyszczące oczy nie przestawały świdrować psa. Gabriel wydał z siebie serię ostrych, krótkich szczęknięć, mając nadzieję, że w ten sposób odstraszy królika. Chciał uciec, ale bał się odwrócić do niego ogonem. To byłoby upokarzające - pomyślał przez sen - dać się gonić królikowi.

Królik nagle znieruchomiał, chociaż w dalszym ciągu nie spuszczał wzroku z psa. Powoli jego pysk zaczął się otwierać - coraz szerzej i szerzej. Gabriel usłyszał nieprzyjemne chrupnięcie, kiedy szczęki królika wyskoczyły z zawiasów. Chciał uciekać - ale bał się. Wyrwana królicza szczeka zwisała bezwładnie, ukazując ziejącą otchłań ciemności. Z jej wnętrza dobiegł go dźwięk zwiastujący jakiś ruch. Gabriel zaskowyczał ze strachu i odwrócił się, żeby wreszcie dać nogę, kiedy nagle królicze ciało eksplodowało...

Wciąż drżąc na wspomnienie straszliwego snu, Gabriel rozejrzał się po pokoju, leżąc na łóżku, po czym zaczął węszyć, szukając w powietrzu jakichś niepokojących sygnałów. Z początku wszystko wydało mu się być w absolutnym porządku, ale po chwili zwęszył pewien zapach, od którego zaczął się mimowolnie ślinić. Jedzenie - akurat w tym przypadku mógł zaufać swojemu węchowi. To coś pachniało jak... klops. Gabriel zjadł wprawdzie śniadanie i połówkę jabłka, zanim Aaron wyszedł do pracy, ale myśl o przekąsce była nader kusząca.

Gabriel odwrócił na chwilę nos od cudownego zapachu i obwąchał ranę na łapie. Aaron zabronił mu jej dotykać, ale wyglądało na to, że rana zaczęła się już goić - w każdym razie była w dużo lepszym stanie niż jeszcze wczoraj. Pies zeskoczył na podłogę i przeciągnął zdrętwiałe stawy. Czuł się całkiem nieźle i nie dokuczał mu żaden ból. Dla pewności zrobił kilka kółek po pokoju. Mięśnie w zranionym udzie były wprawdzie lekko zeszywniałe, ale nic nie było w stanie powstrzymać go przed zejściem do kuchni.

Gabriel wspiął się na tylne łapy i chwycił w zęby klamkę. Powoli przekręcał głowę na bok, aż wreszcie drzwi ustąpiły. Gabriel wybiegł na korytarz i ostrożnie zszedł po schodach. Na dole węszył chwilę, ale nie miał najmniejszej wątpliwości, skąd dobiega przyprawiający go o dreszcze zapach. Ruszył więc prosto w stronę kuchni.

Pani Provost, siedząca przy kuchennym stole, miała właśnie ugryźć kolejny kawałek kanapki z klopsiem na zimno, kiedy w drzwiach zjawił się Gabriel.



- Proszę, kogo my tu mamy - powiedziała z lekkim uśmiechem. A potem ugryzła kanapkę i zaczęła przeżuwać.

Gabriel wparował do kuchni, machając ogonem i stukając pazurami po linoleum. Jego mądre ślepia były utkwione w talerzu z jedzeniem. Oblizywał się łapczywie.

- Proszę, tylko mi tu nie zaczynaj żebrać, dobrze? - Pani Provost wytarła sobie usta papierową serwetką i odwróciła wzrok. - Aaron zabronił mi cię dokarmiać, choćbyś nie wiem jak mnie błagał.

Labrador patrzył pożądliwie, jak starsza pani pakuje sobie do ust kolejny kęs pysznej kanapki z mięsem. Dlaczego Aaron wciąż mi to robi? - Gabriel przypomniał sobie incydent w przydrożnym barze na trasie. Poczł, jak z pyska na podłogę kapie mu gęsta ślina.

- Nie gap się na mnie - upomniała go pani Provost, dojadając pierwszą połówkę kanapki. - Twój pan mówił to bardzo poważnie, kazał mi przysiąc i w ogóle. Więc równie dobrze możesz wrócić do swojego pokoju. - Kobieta sięgnęła po drugą połówkę.

Gabriel był pewien, że nigdy nie czuł większego głodu. Nie mógł uwierzyć, że ta miła pani nie chce go poczęstować nawet jednym małym kawałkiem kanapki. To takie samolubne. Sięgając pamięcią do uwieńczonego sukcesem zdarzenia na postoj, spróbował połączyć się z nią telepatycznie i przekonać ją, że Aaron nie miałby nic przeciwko, gdyby podzieliła się z nim chociaż jednym niewinnym kęsem.

Na pewno nic się nie stanie, jeśli poczęstuje mnie pani kawałkiem tej kanapki.

Pani Provost wzdrygnęła się gwałtownie, kiedy myśli psa zderzyły się z jej własnymi. Stół zatrzęsł się, a kawa z kubka rozlała obok talerza. Zaskoczony Gabriel cofnął się o krok.

Kobieta odłożyła na moment kanapkę, lecz po chwili podniosła ją znowu i otworzyła usta, żeby ugryźć kolejny kęs. Gabriel podszedł i delikatnie szturchnął ją nosem, prosząc, by się z nim podzieliła. Pani Provost zamarła, a potem obróciła się powoli na krześle. Gabriel ochoczo zamerdał ogonem. Ale starsza kobieta wpatrywała się w niego z dziwnym wyrazem twarzy, jakby nigdy wcześniej go tu nie widziała. Cały czas trzymała kanapkę w ręce, a pies nie tracił nadziei, że w końcu spadnie mu ze stołu jakiś smakowity kęs, chociaż prymitywny instynkt podpowiadał mu w tym samym czasie, że coś jest nie tak. Poczł, jak futro na jego grzbiecie zaczyna się jeżyć. Szybko rozejrzał się po kuchni w poszukiwaniu oznak jakiegoś niebezpieczeństwa, wciągając powietrze w nozdrza i węsząc za czymś podejrzanym. Wyczuł ślad jakiegoś zapachu, ale nie potrafił określić, co on oznaczał.

Pani Provost wydała z siebie dziwny odgłos, dobiegający gdzieś z głębi jej przetyku. Skóra na jej szyi zaczęła falować i ruszać się, jak u jakiegoś gatunku egzotycznej żaby. Wtedy

kobieta zamrugnęła oczami i Gabriel ujrzał tę samą mleczną zasłonę, którą miał królik z jego snu.

Nagle stracił apetyt na kanapkę z mięsem. Wycofał się do drzwi, nie spuszczać oczu z dziwnej kobiety. Jej zapach uległ zmianie. Przypominał jakby ocean - tylko dużo starszy. Musiał znaleźć Aarona.

Gabriel zakręcił się i popędził jak strzała do drzwi wejściowych. Tak jak poprzednio, skoczył na klamkę i złapał ją w zęby. Słyszał, jak kobieta siedząca w kuchni wstaje i idzie za nim. Klamka obróciła się i Gabriel usłyszał szcęk zamka - i coś jeszcze. Kobieta zakaszła, głośno i twardo. Gabriel otworzył właśnie drzwi, gdy poczuł, jak pierwszy z pocisków wbija mu się w lewą łapę. Spojrzał szybko do tyłu i zobaczył niewielki okrągły przedmiot, mniejszy od piłeczki tenisowej, pokryty wilgotnymi, lśniącymi kolcami, który wystawał z jego uda. Chciał wyrwać go sobie zębami, ale bał się, że kolce pokaleczą go w pysk. Aaron mi to wyciągnie - pomyślał, odwracając się w stronę otwartych drzwi.

Ale pani Provost zakaszła znowu i Gabriel poczuł ukłucia kolejnych zadziórów. Nagle drzwi wydały mu się strasznie daleko. Jak to możliwe? Biegł najszybciej, jak potrafił, ale w ogóle nie posuwał się naprzód. To było bardzo dziwne i denerwujące zarazem. Czuł, jak całe jego ciało zaczyna potwornie sztywnieć i zaraz potem runął na podłogę w przedpokoju. Zdażył jedynie poczuć dobiegający z zewnątrz zapach małego miasteczka w stanie Maine.

Lecz był jeszcze inny zapach - tej kobiety. Gabriel poczuł, jak pani Provost chwyta go brutalnie za futro na karku i wciąga z powrotem do domu. Pachnie brzydko - pomyślał, tracąc powoli przytomność - jak coś z oceanu.

Jak coś złego z oceanu.

Aaron nie mógł uwierzyć w to, na co sam się zgodził.

Kiedy wchodził do domu pani Provost, dziesiątki myśli przelatowały mu jednocześnie przez głowę. Musiałem postradać zmysły. Ale było już za późno. Obiecał pomóc Katie zbadać opuszczoną fabrykę i to jeszcze dzisiaj w nocy.

Kto wie - pocieszał się - może przy okazji uda mi się dowiedzieć, dlaczego tak dziwnie się tu czuję i gdzie się podział Kamael.

- Pani Provost? - zawołał, wchodząc do kuchni. Miał nadzieję, że uda mu się coś zjeść przed rozpoczęciem wieczornej misji. Na wszelki wypadek wołał się jednak upewnić, czyjego gospodyni nie ma przypadkiem innych planów. Nie chciał jej drażnić, ponieważ coś podpowiadało mu, że kiepsko by na tym wyszedł.

Kuchnia była pusta, ale zauważył leżący na stole talerz z niedojedzoną kanapką z mięsem. Wrócił więc do korytarza i zawołał znowu: - Pani Provost? Czy jest pani w domu?

Nie uzyskawszy odpowiedzi, postanowił pójść na górę i sprawdzić, jak się miewa Gabriel. Powinien przemyć mu ranę, nakarmić go i samemu też coś przekąsić, zanim weźmie udział w nocnych podchodach z Katie.

- Cześć, Gabriel, jak się czujesz, piesku... - Aaron zobaczył otwarte drzwi do pokoju i zajrzał do środka. Omiótł wzrokiem puste łóżko, potem kołdrę leżącą na ziemi - i z rosnącym niepokojem zdał sobie sprawę, że jego najlepszy przyjaciel gdzieś zniknął. Wszedł do pokoju, zostawiając za sobą otwarte drzwi.

- Gabriel! - zawołał, zaglądając pod łóżko, ale i tam psa nie było. Aaron wpadł w panikę. Może stan zwierzęcia pogorszył się i musiano zabrać go do weterynarza, co tłumaczyłoby również niezjedzoną kanapkę w kuchni oraz nieobecność pani Provost. Zdecydował więc, że zadzwoni do Katie i spyta, czy jego pies jest w lecznicy. Odwrócił się ku drzwiom i zamarł.

W korytarzu stała pani Provost.

- Wystraszyła mnie pani - rzucił Aaron z zaskoczonym uśmiechem. Ale prawie natychmiast zdał sobie sprawę, że coś jest nie w porządku. - Co się stało? - spytał, podchodząc do swojej gospodyni. - Gdzie jest Gabriel, czy nic mu nie dolega?

Kobieta nie odpowiedziała, tylko gapiła się w podejrzany sposób oczami, które wydały się Aaronowi dużo ciemniejsze niż wcześniej.

- Pani Provost? - Aaron stanął w miejscu. W głowie usłyszał ostrzegawczy dzwonek - to jego anielska natura dawała znak, by miał się na baczności. - Czy coś...

Nagle Aaron ujrzał, jak skóra na szyi kobiety zaczyna falować. Pani Provost nachyliła się, zakaszła gwałtownie i wypluła coś w jego stronę.

W dłoni chłopak natychmiast zabłysnął miecz ze snu i chłopak instynktownie odbił pierwsze pociski. Większość eksplodowała w zderzeniu z promiennym ostrzem, ale część spadła na drewnianą podłogę. Aaron zerknął w dół, żeby zobaczyć, z czym ma do czynienia. Pociski wyglądały jak nabrzmiałe winogrona z wystającymi kolcami.

Gospodyni mruknęła, wyraźnie niezadowolona. Z jej gardła wydobyło się bulgotanie przypominające odgłos, jaki wydaje zatkana rura i Aaron zobaczył, że znów otwiera usta. Zamachnął się mieczem, kierując błyszczące ostrze w stronę istoty, która jeszcze niedawno wydawała się sympatyczną i całkiem fajną staruszką.

- Dosyć! - usłyszał swój głos, który nie był jednak głosem Aarona Corbeta.

Ostrze skąpało panią Provost w niezwykłym blasku, a jej gardło natychmiast zapadło się, wydzielając chmurę trującego gazu. Kobieta podniosła ręce, żeby osłonić oczy przed

oślepiającym światłem i wtedy Aaron ujrzał coś, co zmroziło mu krew w żyłach - drugą, mleczną powiekę.

Ruszył prosto na nią.

- Czym ty jesteś? - ryknął tubalnym głosem. - I gdzie jest mój pies? Gdzie Gabriel?

Kobieta opadła na czworaka i zaczęła skradać się w jego stronę. Aaron przypomniał sobie zdeformowane zwierzęta zamrożone w lodówce w lecznicy. Czy to ma jakiś związek? - pomyślał z niedowierzaniem, chociaż jego głos wewnętrzny podpowiadał mu, że tak właśnie jest.

Pani Provost rzuciła się na niego z nieludzkim sykiem, próbując wytrącić mu z ręki miecz. Powietrze wypełnił słodki zapach spalonego mięsa. Aaron zatoczył się lekko do tyłu, zaskoczony gwałtownym atakiem. Staruszka krzyknęła, chociaż przypominało to bardziej wrzask zranionego zwierzęcia. A potem wybiegła z pokoju, trzymając się za okaleczoną dłoń, którą dotknęła gorejącego ostrza.

Aaron odrzucił miecz i pobiegł za nią. Pani Provost uciekała niezdarnie w kierunku schodów, jakby nie panowała nad swoimi funkcjami motorycznymi. Aaron mógł jedynie patrzeć z przerażeniem, jak kobieta potyka się o własne stopy i spada ze schodów, bezwładnie niczym kłoda.

Chłopak zbiegł po schodach do holu, w którym leżało bezwładnie ciało pani Provost. Ukłąkł przy niej i dotknął palcami jej szyi w poszukiwaniu tętna. Puls miała nieregularny, skórę na dłoni pokrywały pęcherze. Zdawało się jednak, że wyszła z upadku bez większego szwanku. Mimo to, z jej ust wydobywał się niski, gardłowy bulgot, a ciałem wstrząsały drgawki.

Aaron siłą otworzył jej usta, nie odrywając oczu od falującego gardła. Przekrzywił głowę lekko, tak żeby móc zajrzeć do środka. Zobaczył, jak coś pierzcha głębiej w cień i ucieka do gardła. Nie widział tego dłużej niż ułamek sekundy; najbardziej przypominało kraba pustelnika, którego Aaron hodował kiedyś jako dziecko. Szybko cofnął ręce.

Coś żyło w ciele pani Provost. Po raz kolejny Aaron przypomniał sobie zamrożone zwierzęta w piwnicy lecznicy - i ich ciała przemienione w nowe, monstrualne formy życia. Może one też skrywają wewnątrz jakiegoś równie obrzydliwego pasożyta - pomyślał.

Dotknął znowu policzka kobiety, otwierając powoli jej usta.

- Czym jesteś? - spytał, mając nadzieję, że dzięki nadprzyrodzonym zdolnościom językowym uda mu się nawiązać kontakt z istotą ukrywającą się w ciele pani Provost.

Zadrzała, jakby coś pod jej skórą zaczęło się gwałtownie przemieszczać.

- Czym jesteś? - Aaron powtórzył pytanie, tym razem głośniejszym i z większą mocą.

Tym razem tajemnicza istota poruszyła się gdzieś w okolicy żołądka staruszki. Aaron patrzył z niedowierzaniem i strachem, jak to coś zaczyna przemieszczać się w górę, w stronę klatki piersiowej, a potem gardła. Skóra na szyi pani Provost wybrzuszyła się i Aaron odskoczył instynktownie. Miał właśnie przywołać swój świetlisty miecz, kiedy kobieta otworzyła usta i zaśmiała się upiornym, bulgoczącym śmiechem, a potem przemówiła mrozącym krew w żyłach głosem:

- Czym jestem? - Głos tajemniczej istoty składał się z samych trzasków i brzęczenia. - Jestem Lewiatanem. A to jest mój legion.

### INTERMEDIUM 3

Podejdz - rozkazał głos z ciemności, odbijając się nieskończonym echem w otchłani, która jeszcze niedawno była jego jaźnią. - Usłysz mój głos i chodź do mnie.

Stevie bezwiednie posłuchał nakazu, który wdarł się do świata jego samotności. Ten sam głos rozbrzmiewał w spowijającym go kokonie utkanym z mroku, dotykał go i dawał oparcie, którego nie potrafiła dać mu ciemność.

- Nicość i pustka nie będą już dłużej rościć sobie do ciebie prawa.

Wtedy Stevie zobaczył światło przecinające hebanową ciemność - i zmrużył oczy, odwracając twarz, osłepiony jego niesłychaną intensywnością.

- Me obawiaj się światła mojej prawości - powiedział głos. - Za tymi egipskimi ciemnościami czeka na ciebie bardzo ważny cel - zadanie do wykonania.

Promieniujące światło zdawało się wciąż rosnąć, pochłaniając mrok, wyciągając go z objęć cienia i prowadząc wprost do środka tej niezwykłej iluminacji.

- Chodź do mnie - rozkazał głos, tym razem tak blisko. - I narodź się na nowo.

Powtórne narodziny.

Werchiel ukląkł przy istocie, która zaledwie kilka chwil wcześniej była niewinnym dzieckiem. Archonci obserwowali w milczeniu, jak anioł ujmuje w dłonie twarz zaczarowanego chłopca i zagląda mu w pozbawione świadomości oczy.

- Słyszysz mnie? - spytał. - Twój pan i władca potrzebuje cię.

Anioł przyjrzał się umięśnionej postaci chłopca zamienionego w mężczyznę, zadowolony z efektu pracy swoich magików. Nagie ciało zdobiły wypalone głęboko w skórze starożytne symbole. Te znaki pozwolą odróżnić go od innych; będą dowodem na to, że dotknął go palec Boży. I zamienił w coś, co wykracza daleko poza granice ludzkiej istoty.

Werchiel po raz kolejny zajrzał mężczyźnie w oczy.

- Rozkazuję ci, byś się przebudził. Jest jeszcze bardzo wiele do zrobienia - wyszeptał. Z czułością dotknął pozbawionej wyrazu twarzy, gładząc długimi, delikatnymi palcami jego spocone blond włosy. - Potrzebuję cię - syknął mu prosto w twarz. - Twój Bóg cię potrzebuje.

Werchiel musnął policzek mężczyzny, otworzył mu usta i dmuchnął lekko do środka. Jego usta rozjaśnił na chwilę błękitny płomień. Ciało mężczyzny, który kiedyś był chłopcem o imieniu Stevie, przeszył dreszcz, po czym znowu znieruchomiało. Werchiel obserwował go nadal, czekając, aż odzyska przytomność i stanie się precyzyjnym narzędziem w jego rękach.

Instrumentem odkupienia.

Mężczyzna zaczął zwijać się w konwulsjach, rzucając się na skąpanej w świetle posadzce solarium. Na bladej, pokrytej bliznami twarzy Werchiela zagościł uśmiech.

- O to chodzi - mruknął. - Na to właśnie czekam - wszyscy czekamy.

W oczach mężczyzny pojawił się strach, a jego ciało zeszywniało w szoku. Zaczął przeraźliwie krzyczeć, świdrującym w uszy, wysokim tonem. To był krzyk zmartwychwstania - który po chwili zamienił się w świszczący dźwięk przypominający raczej rżenie chorego. Mężczyzna nie przestawał rzucać się z boku na bok.

Werchiel skinął w stronę drzwi i do pomieszczenia weszło kilku jego gwardzistów. Podnieśli z ziemi jęczącego i trzęsącego się mężczyznę i przytrzymali w powietrzu.

- Tylko spójrz na siebie - powiedział Werchiel z beznamiętnym uśmiechem na twarzy. - Emanuje z ciebie falami potężna moc. - To mówiąc, wyciągnął długi, szponiasty palec. Dotknął mężczyzny, który wił się w uścisku, szlochając żałośnie. - Ale czegoś ci brakuje. Czegoś, co sprawi, że staniesz się kompletny. - Odwrócił się do Archontów, którzy trzymali elementy zbroi w kolorze rozlanej krwi. - Załóżcie mu ją! - rozkazał przywódca Strażników.

Magicy wykonali rozkaz, zakładając mężczyźnie karmazynowa zbroję wykutą w niebiańskich kuźniach. Potem odstąpili od niego, przepuszczając Werchiela. Każdy centymetr ciała mężczyzny, który przeszedł cudowną transformację został zakuty w krwistoczerwony metal - za wyjątkiem głowy. Jego widok mroził krew w żyłach, jednak mężczyzna patrzył żałośnie na Werchiela, a po policzkach spływały mu łzy strachu i zakłopotania.

- Wiem, że to wszystko jest dla ciebie nowym doświadczeniem - powiedział Werchiel, wyciągając ku niemu dłoń.

- Ale sprawię, byś szybko przywykł do tej sytuacji. - Między rozpostartymi dłońmi anioła pojawił się ogień. Z początku nie większy niż płomień zapalki, z czasem przybrał jednak kształt pomarańczowej ognistej kuli. - Nauczę cię wszystkiego - ciągnął dalej anioł, a ogień w jego rękach ciemniał stopniowo, przybierając kształt hełmu pasującego

kolorystycznie do reszty rynsztunku. - Będiesz moim narzędziem rozgrzeszenia. - To mówiąc, włożył hełm na głowę mężczyzny.

Werchiel cofnął się, podziwiając własne straszliwe dzieło, przyodziane w kolor tętniącej wściekłości.

- Malak - powiedział, przedstawiając wszystkim zgromadzonym najnowszą broń w swoim arsenale. - Łowca fałszywych proroków.

## ROZDZIAŁ 9

Katie siedziała w mieszkaniu nad lecznicą, zatopiona w myślach. Wyobrażała sobie mroczne i wilgotne miejsce z setkami przeżartych rdzą metalowych beczek, których trująca zawartość przenikała do gleby, zakłócając ekosystem miasteczka Blithe w stanie Maine.

Z zamyślenia wyrwało ją piszczenie mikrofalówki. Katie wstała, podeszła do kuchenki i wyjęła ze środka talerz dymiącego rosółu, po czym usiadła przy stoliku w malutkim aneksie kuchennym. Żołądek miała skręcony z nerwów, ale wiedziała, że musi coś zjeść przed nocną eskapadą.

Między kolejnymi łyżkami zupy wyjęła małą żółtą karteczkę, na której spisała wszystkie rzeczy, które powinna ze sobą zabrać. Postukała palcem w pierwszą pozycję na liście.

- Latarka - powiedziała w zamyśleniu. - Chyba gdzieś tu widziałam jakąś latarkę.

Wstała z krzesła i podeszła do pudeł ustawionych, jedno na drugim, przy wejściu do sypialni Kevina. Spędził tu tyle czasu i nie zdążył się nawet rozpakować? Po chwili znalazła w jednym z kartonów latarkę i włączyła ją. Snop światła rozproszył panujący w mieszkaniu półmrok, który zwiastował rychłe nadejście zmierzchu.

- To możemy już chyba wykreślić - powiedziała, wracając z latarką do stołu. Miała właśnie usiąść, gdy usłyszała delikatne pukanie do drzwi. Spojrzała na zegarek. Spodziewała się Aarona, ale było dopiero kilka minut po siódmej. Może przyszedł wcześniej, żeby omówić z nią plan nocnej wycieczki. - Chyba trochę za wcześnie... - zamilkła w pół zdania, kiedy okazało się, że to jednak nie Aaron.

W progu stał szef miejscowej policji i gapił się na nią bez słowa.

- W czym mogę panu pomóc, szeryfie?

Jej pytanie wyrwało go z odrętwienia. Poruszył się, po czym uprzejmie zdjął z głowy kapelusz.

- Przepraszam, że zakłócam pani spokój - powiedział - ale mam informacje na temat doktora Wessella.

Katie poczuła, jak serce trzepocze jej w piersi, a podłoga jakby usuwa się spod stóp.

- Czy coś się stało? - wyszeptała bez tchu. Policjant wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. W pomieszczeniu zapadła głucha cisza. W końcu szeryf Dexter zakasłał nerwowo w rękę.

- Może się pan czegoś napije? - spytała Katie, wchodząc do kuchni, jakby chciała odłożyć w czasie to, co i tak wydawało jej się nieuniknione.

- Wody, jeśli można - poprosił szeryf.

Katie wyjęła szklankę z szafki i odkręciła kurek.

- Trzeba chwilę poczekać - powiedziała, wkładając rękę pod kran. - Aż woda się ochłodzi.

Dexter pokiwał głową ze zrozumieniem, obracając kapelusz w dłoniach.

Katie podała mu szklankę, po czym oparła się o zlewozmywak i skrzyżowała ręce na piersiach.

- Przynosi pan złe wieści? - Zdobyła się w końcu na odwagę.

Szeryf podniósł właśnie szklankę do ust, gdy raptem zadrżał gwałtownie, jakby poczuł nagły podmuch arktycznego powietrza. Szklanka wysunęła mu się z ręki i spadła na podłogę, rozbijając się w drobny mak.

- Szeryfie? - Katie odezwała się niepewnie, nie wiedząc, jak się zachować.

Policjant miał zamknięte oczy, ale podniósł dłoń, żeby ją nieco uspokoić.

- Doktor Wessell - zaczął mówić dziwnie chrapliwym głosem - odkrył pewne rzeczy dotyczące naszego miasta, które powinny pozostać w ukryciu.

Katie uklękła na kuchennej podłodze, żeby pozbierać kawałki rozbitego szkła. Wtedy zaczęło docierać do niej prawdziwe znaczenie słów szeryfa.

- Co pan właściwie chce mi powiedzieć, szeryfie? - spytała, podnosząc się ostrożnie z podłogi, z kawałkami rozbitej szklanki w dłoni. - Czy ktoś coś zrobił Kevinowi?

Reakcja Dextera wprawiła ją w osłupienie. Zamiast się odezwać, szeryf zachichotał - był to jeden z najmniej przyjemnych dźwięków, jaki Katie kiedykolwiek słyszała. Jakby jego gardło wypełniał jakiś płyn. I być może było to tylko złudzenie optyczne, spowodowane grą światła i cienia, ale wydało jej się, że z oczami szeryfa coś jest nie w porządku.

- Doktor Wessell służy teraz pewnej całości - tak jak my wszyscy - wychrypiął nieprzytomnie Dexter i zaczął kołysać się na boki, niczym w zaklętym tańcu.



Katie obleciał nagle strach - ogromny strach. Z tym człowiekiem coś było nie tak. I z całym tym cholernym miastem.

- Myślę, że powinien pan już sobie pójść - powiedziała, siląc się na spokojny ton. Służy całości - pomyślała. Co to, do cholery ma znaczyć?

- Proszę wyjść - powtórzyła, tym razem bardziej dobitnie. Odwróciła się do niego plecami i podeszła do kosza, żeby wyrzucić trzymane w ręce szkło. Nie chciała, żeby szeryf wiedział, jak bardzo ją wystraszył. Nigdy nie okazywała strachu - nauczyła się tego, pracując ze zwierzętami. Na wszelki wypadek zostawiła sobie w dłoni jeden duży kawałek rozbitej szklanki - gdyby przyszło jej się bronić przed tym dziwnym stróżem prawa. Ale gdy się odwróciła, zobaczyła, że policjant zmierza powoli w stronę drzwi.

- Nie mogę pozwolić, żeby ludzie weszli - powiedział grobowym głosem, otwierając drzwi. - Nie teraz, kiedy jesteśmy już prawie wolni.

Katie nie miała pojęcia, o czym ten człowiek bredzi, ale była gotowa pobiec za nim i zaryglować drzwi od wewnątrz, kiedy już wyjdzie. Lecz szeryf tylko otworzył drzwi i cofnął się, jakby chciał kogoś wpuścić do środka.

Tego już za wiele - pomyślała Katie i rzuciła się do telefonu. Zadzwoi na numer alarmowy policji stanowej. Przypomniała sobie jednak, że numer zapisała na żółtej karteczce, którą zostawiła na stole w kuchni. Ściskając w dłoni ostry kawałek szkła, przesuwała się powoli w stronę stołu. Ból, który sprawiał wbijający się w skórę odłamek, utrzymywał ją w ciągłym skupieniu.

Kątem oka zobaczyła, że policjant jakby opada na czworaka. A może sięga po broń? Katie wyciągnęła rękę po słuchawkę. Jeszcze tylko troszeczkę.

Wpadła na okrągły stolik kuchenny, boleśnie uderzając się w biodro. Sięgała właśnie po telefon, kiedy usłyszała dziwny dźwięk. Z początku myślała, że to wystrzał - ale po chwili zdała sobie sprawę, że to nie odgłos broni, lecz ostry, suchy kaszel.

Położyła dłoń na słuchawce i wtedy poczuła ukłucie. Coś wbiło jej się w kark, paląc jak zatruta kurara strzała. Odruchowo sięgnęła ręką i wydłubała pocisk z szyi. Wyglądał jak jeżowiec. Był czarny i błyszczący - a dodatkowo najeżony ostrymi kolcami. Ale skąd on się wziął? Katie poczuła, jak sztywnieje jej kark, a z niego, z niewiarygodną szybkością, uczucie to promieniuje dalej w dół.

Spojrzała na stojącego w otwartych drzwiach szeryfa, gdy ten zakaszlał znowu. Z jego ust wyleciał strumień takich samych małych pocisków, wbijając się w całe ciało Katie. Z przerażeniem zdała sobie sprawę, że nic już nie czuje. Podniosła rękę, w której ścisnęła szkło i patrzyła, jak z dłoni ścieka jej krew, spływa po ramieniu i kapie na podłogę.

Zdawało jej się, że śni; świat wokół nagle jakby stracił sens. Katie spojrzała na siebie i zobaczyła wystające z ciała pociski. Pewnie są pokryte jakąś trucizną - pomyślała jeszcze, osuwając się na podłogę i uderzając po drodze głową o kant stołu.

Leżała z twarzą zwróconą w stronę drzwi, w których nieruchomo stał szeryf. Chciała krzyczeć, ale nie była w stanie otworzyć ust. Mogła tylko leżeć i patrzeć na swojego oprawcę, który - niczym odźwierny - czekał na przybycie spodziewanego gościa.

Wtedy usłyszała odgłos pazurów drapiących o drewniane schody na zewnątrz. Katie pomyślała, że ten dźwięk z pewnością nie należy do człowieka, ale do jakiegoś zwierzęcia, któremu wspinanie się po schodach sprawia wielką trudność.

- Jesteśmy tak blisko - szeryf odezwał się z ekscytacją w głosie. - Nic nie powstrzyma całości przed wydostaniem się na wolność.

Szeryf Dexter po raz kolejny wspomniął o całości i Katie zastanawiała się, o co może mu chodzić, walcząc przy tym z opadającymi powiekami. Musiała zobaczyć to coś, co wchodziło po schodach - i na co szeryf czekał z taką radością.

W końcu stworzenie dotarło na szczyt schodów i z trudem wtoczyło się przez otwarte drzwi do środka. Katie wiedziała, że nie jest w stanie krzyczeć, chociaż usta same otwierały się do krzyku. W jej stronę zbliżała się bestia podobna do tych z zamrażarki w piwnicy, najstraszniejsza rzecz, jaką widziała w całym swoim życiu - prawdziwy, nieopisany koszmar. Istota przypominała wiele zwierząt, choć nie była żadnym z nich. Stanowiła skrzyżowanie bobra, węża, ośmiornicy, żurawia, a nawet ryby. To wszystko tworzyło jedną, potwornie zdeformowaną masę, która sunęła w stronę Katie po kuchennej podłodze. Potwór z trudem radził sobie z poruszaniem się po kafelkach. Jedna z tylnych kończyn - zakończona pazurem płetwa - ślizgała się po gładkiej powierzchni, nie mogąc złapać przyczepności. Maskara cuchnęła plażą podczas odpływu i Katie żałowała w duchu, że nie straciła także zmysłu powonienia.

Szef policji w Blithe ukląkł tuż obok obrzydliwej bestii.

- Aby dochować tajemnicy - zbulgotał - musisz oddać się całości. - To mówiąc, sięgnął ręką i zaczął głaskać futro, łuski i pióra, które porastały ciało chrząkającej poczwary. - Musisz stać się jej częścią.

Katie ogarnęło nagle przerażenie. Jej powieki stały się ciężkie jak z kamienia, a oczy mimowolnie zaczęły się zamykać. Zdążyła jeszcze zobaczyć, jak potworem targają konwulsje, a paszcza rozwiera się, jakby miał problem z oddychaniem. Na szczęście, chwilę później Katie zamknęła oczy, oszczędzając sobie dalszego widoku tego straszliwego kosmaru. Słyszała tylko, jak bestia chrząka i sapie, i czuła morski smród jej wyziewów.

Wtedy usłyszała pewien dźwięk, którego z początku nie poznała. Był ostry - słysząc go, z pewnością wzdrygnęłaby się, gdyby jej ciało nie było znieczulone toksyną. Przypominał rozrywanie czegoś, po czym następował kolejny dźwięk - jakby ktoś rozlewał coś po podłodze.

- Część całości - usłyszała miękki głos Dextera dobiegający z ciemności, a wraz z nim odgłos wielu odnóży sunących po kafelkach w jej stronę.

Zapadając coraz głębiej w otchłań nieprzytomności, Katie poczuła jeszcze, jak potwór jej dotyka.

Dobry Boże - to była ostatnia myśl, jaka pojawiła się w głowie Katie, zanim lekarka poddała się krążącej w jej żyłach truciznie. To coś wpełza mi do ust.

Aaron nie miał pojęcia, co znajdzie wewnątrz, wspinając się ostrożnie po drewnianych schodach, prowadzących do mieszkania Kevina Wessella. Wcześniej dzwonił zarówno do lecznicy, jak i do domu, ale Katie nigdzie nie odbierała telefonu. W żołądku czuł dobrze mu znajome - a ostatnio nawet zbyt dobrze - potworne uczucie strachu.

Istota, która zasiedliła organizm pani Provost, nawijała jeszcze przez jakiś czas o kimś, kto nazywał się Lewiatan, a także o tym, że całość wkrótce wydostanie się na wolność. Nie rozumiał zresztą innego, co to wszystko znaczy, i w końcu zamknął kobietę w piwnicy. Nie miał zresztą innego wyboru - musiał odnaleźć Gabriela i Kamaela, a także upewnić się, czy Katie nic się nie stało.

Drzwi do mieszkania stały otworem. Aaron popchnął je, pukając uprzednio, po czym wsadził głowę do środka. - Katie? - zawołał.

Światła w mieszkaniu paliły się i wszystko wyglądało normalnie, dopóki Aaron nie zauważył sporych plam krwi na podłodze przy kuchennym stole. Obok tych plam znajdowała się jeszcze jedna kałuża i Aaron ukląkł, żeby się jej przyjrzeć.

Była bezbarwna i miała galaretowatą konsystencję. Aaron zanurzył w niej koniuszki palców i powąchał. Substancja pachniała ostro i przypominała mu zapach plaży w Lynn podczas odpływu - paskudny smród zgniłych jajek.

Aaron wytarł rękę o spodnie i rozejrzał się po kuchni. Znalazł karteczkę z listą rzeczy do zabrania oraz la - f c tarkę. Katie musiała się szykować na nocną wyprawę do ‘ opuszczonej fabryki łodzi. Fabryka.

Aaron wziął latarkę ze stołu i włączył ją. Opuszczona fabryka wydawała się równie dobrym miejscem na poszukiwanie zaginionych przyjaciół, jak każde inne. Od początku podejrzewał, że tutaj chodzi o coś więcej, niż tylko o wyciek toksycznych substancji - a istota, która chowała się w ustach pani Provost tylko go w tym przekonaniu utwierdziła. Oczywiście,

nie było to pierwsze niezwykle zdarzenie w ostatnich dniach, a nawet tygodniach. Nic nie przebiegało normalnie, a już na pewno nie w sposób prosty.

Aaron wyszedł na zewnątrz, zabierając ze sobą latarkę. Wcześniej ustalili z Katie, jak dostaną się do fabryki, dlatego nie wątpił, że bez większych problemów znajdzie drogę. Pograżony w cieniu okolicznych budynków, zmierzał bocznymi uliczkami w stronę doków. Nie była to przyjemna wyprawa. Wokół nie dostrzegł żadnego, nawet najmniejszego śladu życia; każdy dom, który mijał po drodze, był pograżony w nieludzkiej ciemności. Aaron zaczął się nawet zastanawiać, ilu ludzi naprawdę mieszka w Blithe i jak wielu z nich nosi w sobie takiego samego potwora, jak pani Provost. Na samą myśl o tym wzdrygnął się i poczuł, jak ściśnięty żołądek podejżdża mu do gardła.

Niedługo potem usłyszał odgłos fal rozbijających się o brzeg oceanu i poczuł zapach soli w powietrzu. Aaron wyszedł z lasu i zaczął schodzić z piaszczystego nasypu na drogę, która kawałek dalej kończyła się wysokim ogrodzeniem z metalowej siatki. Dalej majaczyły zarysy fabryki.

Dostrzegł zbliżające się z przeciwnego kierunku światło i czym prędzej ukrył się za szeroką kępą polnych kwiatów i wysokiej trawy. Nadjeżdżająca furgonetka marki Ford zwolniła przed ogrodzeniem. Z kabiny wysiadł kierowca, wyciągnął z kieszeni klucz i otworzył kłódkę, a potem zdjął łańcuch i rozsunął ogrodzenie, żeby wjechać do środka. Chociaż zapadał już zmrok, Aaron widział, że z tyłu furgonetki siedzieli ludzie: młodzi i starzy, mężczyźni, kobiety i dzieci. Niektórzy z nich mieli nawet na sobie szlafroki i piżamy. Aaron poczuł, że jest o krok od rozwiązania zagadki tego przeklętego miasta, i z wrażenia dreszcz przebiegł mu po plecach.

Kierowca wjechał za bramę, wysiadł znowu i zamknął za sobą łańcuch na kłódkę, po czym wrócił do samochodu i ruszył w kierunku fabryki. Przednie reflektory forda oświetliły parking, na którym niemal nie było wolnych miejsc.

To pewnie nocna zmiana - pomyślał Aaron, opuszczając kryjówkę. Przecisnąwszy się przez dziurę w ogrodzeniu, znalazł się na terenie fabryki. Używając zaparkowanych aut jako osłony, zbliżał się do majającego konturu budynku. Niektóre samochody zaparkowano przed samą fabryką, dzięki czemu udało mu się dostać na miejsce niezauważonym. W pewnej chwili pochylił nisko głowę, kiedy zza rogu wyjechał powoli radiowóz. Wyglądając zza maski błękitnego volvo, Aaron zobaczył siedzącego za kierownicą szeryfa Dextera. Zaczekał, aż policjant okrąży budynek, po czym skoczył naprzód i przypadł do ściany.

Ludzie, którzy przyjechali na pace forda, teraz wysiedli i sztywnym krokiem ruszyli w stronę wejścia do fabryki. Małe miasteczko i jego tajemnice: dziwnie zachowujący się

miejscowi, trudne do wytłumaczenia zniknięcia - Aaron pomyślał, że gdyby to wszystko nie działo się realnie, poczułby się jak w kinie na jakimś niskobudżetowym filmie sciencefiction. Ludzie, jeden po drugim, weszli do środka przez wielkie, pokryte rdzą stalowe drzwi. Aaron usłyszał jeszcze dźwięk, który musiała wydawać wiertarka udarowa.

Nie chciał, żeby ktoś go zauważył, więc darował sobie główne wejście i poszukał innego, mniej oczywistego sposobu, żeby dostać się do wnętrza fabryki. Cały czas poruszał się wzdłuż ściany zrujnowanego budynku, którego cień pozwalał mu pozostać niezauważonym. Uważał przy tym na patrolującego okolicę szeryfa i zamierał nieruchomo w ciemności za każdym razem, gdy w pobliżu pojawiał się radiowóz.

W końcu znalazł dawno nieużywane wyjście ewakuacyjne i spróbował jej otworzyć. Na próżno. Drzwi były zaryglowane od wewnątrz.

- Cholera! - syknął ze złością. Rozejrzał się wokół w poszukiwaniu czegoś, co pomogłoby mu otworzyć drzwi, ale niczego takiego nie znalazł. Poza tym, nie chciał zwracać niczyjej uwagi. Ale musiał przecież jakoś dostać się do środka. Myśl, Aaronie, myśl.

Wtedy go oświeciło. Wokół nie było przecież żywej duszy - im dłużej się zastanawiał, tym bardziej był pewien, że może się udać. Zamknął oczy i pomyślał o broni - ognistej broni. Co prawda znajdował się aktualnie w nieco innej sytuacji - nikt go nie atakował, więc nie był do końca przekonany, czy ten sposób zadziała. Niemal natychmiast w jego dłoni zabłysło niezwykle ostrze, przeniesione na jawę z ostatniego koszmaru. Miecz jakby sam się prosił o użycie, ale Aaron uznał, że do tak delikatnego zadania będzie zbyt duży i nieporęczny. Wyobraził więc sobie sztylet z długim, wąskim ostrzem i kiedy otworzył oczy, trzymał go już broń w dłoni.

- No proszę - wyszeptał, oglądając nóż. Może sprawa nie jest taka beznadziejna, na jaką wygląda - pomyślał, wtykając rozżarzone ostrze sztyletu między ościeżnicę i drzwi. Poczuł lekki opór, kiedy sztylet rozpuszczał mechanizm, ale po do jego nozdrzy dobiegła woń topionego metalu.

Aaron szarpnął mocno drzwi, aż otwarły się na tyle, że mógł wślizgnąć się do środka. Wewnątrz panowały chłód, wilgoć i kompletna ciemność. Aaron kazał sztyletowi zniknąć, a zamiast tego zapalił latarkę, którą miał w tylnej kieszeni spodni. Znajdował się w jakimś pomieszczeniu z pustaków, które musiało być chyba używane w charakterze magazynu, ponieważ wszędzie dookoła piętrzyły się sterty biurek, krzeseł i innych elementów wyposażenia wnętrza, a także zwykłe rupiecie. Po cichu przeciskał się w stronę widocznych na przeciwległej ścianie drzwi, nasłuchując uważnie, czy nie dobiegają zza nich jakiegokolwiek odgłosy.

Kiedy sforsował przejście, ruszył w dół krótkim korytarzem. Słyszał teraz wyraźnie dźwięki wydawane przez jakieś maszyny: terkot napędzanych ropą generatorów, dudnienie cylindrów w silnikach oraz coś przypominającego piszczenie, jakie wydają samochody z czujnikiem parkowania. Przyspieszył kroku, by po chwili zatrzymać się w cieniu kolejnych drzwi, patrząc z podziwem na to, co znajdowało się za nimi. Jeżeli kiedyś rzeczywiście był to zakład, w którym produkowano łodzie, to z pewnością stracił on swój pierwotny charakter. W samym sercu fabryki ziała olbrzymia dziura.

Aaron zakradł się bliżej, chowając się za kopczykami usypanymi z ziemi i skał, które otaczały wykopany otwór, po czym ostrożnie zajrzał w głąb czeluści. Zobaczył mieszkańców Blithe, którzy - wyposażeni w rozmaite narzędzia - kopali zawzięcie, cały czas pogłębiając otwór. Rozpoznał nawet kilka osób z miasta, między innymi dziadka w czapeczce Red Sox i staruszkę, która przyszła do lecznicy z chorą papużką. Ludzie na dole uwijali sięjak termity w kopcu, używając łopat, kilofów i młotów udarowych do kopania i pogłębiania szybu w miejscach, gdzie nie był w stanie dotrzeć cięższy sprzęt. Inni z kolei 1 wywozili z wnętrza taczki pełne gruzu.

Tego już za wiele - pomyślał Aaron. Chciał tylko znaleźć Gabriela i Kamaela, a potem wydostać się z tego 1 przeklętego miejsca. Ale nie mógł. Nie potrafił zostawić Katie ani miasta na pastwę tego Lewiatana - kim - i kolwiek by on nie był.

Żałował, że pozostał sam, pozbawiony swego mentora, gdyż z chęcią skorzystałby teraz ze wskazówek anielskiego wojownika.

Wtedy przypomniał sobie, jak Katie wspominała coś o sieci podziemnych jaskiń oraz tuneli pod fabryką - zastanowił się, czy nie powstaje właśnie za sprawą tych kopiących ludzi. Niczym zahipnotyzowany, podszedł jeszcze bliżej, a potem zaczął schodzić po stopniach, wiodących w głąb szybu. Na ścianach, mniej więcej co półtora metra rozwieszono lampy, w świetle których sylwetki kopiących bez przerwy robotników rzucały przerażające cienie - jak gdyby odzwierciedlały nie samych ludzi, lecz żyjące w nich potwory.

Na dole schodów Aaron dostrzegł wejście do tunelu, którego ściany nie miały tak ostrych i nieregularnych kształtów, jak w tunelach wykopanych przez ludzi i maszyny. Ściskając mocniej latarkę i rozglądając się, czy nikt go nie śledzi, Aaron zapuścił się jeszcze głębiej pod ziemię. Ściany krętego tunelu były dziwnie gładkie, jakby wypolerowane. - Być może to zasługa oceanu - pomyślał Aaron, dotykając chłodnej skały. Wciąż była wilgotna i zimna, tak jakby morze na zawsze odcisnęło tu swój ślad. Korytarz opadał pod skosem na dno tunelu i Aaron ze strachem pomyślał, jak głęboko pod ziemią zdążył już się znaleźć. Szybko jednak wyrwał go z zamyślenia pisk dobiegający z korytarza przed nim.

Brzmiało to jak krzyk o pomoc jakiegoś zwierzęcia i Aaron powoli, ostrożnie posunął się parę kroków dalej. W pewnej chwili natrafił na ostry zakręt i niepewnie wyjrzał zza skalnego załomu. Tunel rozdzielał się - jedna odnoga skręcała w lewo, wijąc się dalej w dół, w jeszcze większy mrok; druga zaś kończyła się komorą, z której - Aaron był pewien - dobiegał ów zwierzęcy odgłos. Błaganie o pomoc z każdą chwilą stawało się coraz bardziej dramatyczne - tak że Aaron nie potrafił go zignorować i pójść lewą odnogą.

Zachowując najwyższą ostrożność, zajrzał do komory i zobaczył zaimprovizowany gabinet weterynaryjny. Na środku pomieszczenia stał stół, prawdopodobnie przyniesiony tu z zakładowej stołówki. Jakiś mężczyzna, ubrany w brudny kombinezon, wyjmował właśnie z jednej z licznych klatek ze zwierzętami wielkiego kota. W klatkach znajdowały się wszelkiej maści czworonogi: koty, psy, króliki. Aaron rozejrzał się, szukając wzrokiem Gabriela, ale nie było go wśród uwięzionych zwierząt.

Mężczyzna w brudnym kombinezonie chwycił kota za futro na karku i zaniósł na stół. Pozostałe zwierzęta zaczęły skowyczeć i piszczeć, jakby przeczuwały, że zaraz stanie się coś bardzo złego. Mężczyzna przywiązał rzucające się zwierzę pasami do stołu, po czym zaczął je badać, zaglądając kotu do uszu, oczu i szeroko rozwartego pyska. Czyżby to był zaginiony doktor Wessell? - pomyślał Aaron, kiedy człowiek zostawił na moment kota i zniknął mu z pola widzenia.

Nagle w jaskini rozległo się przedziwne przeraźliwe miauczenie - dźwięk, którego Aaron nigdy wcześniej nie słyszał. Mężczyzna wrócił do stołu, niosąc coś na rękach, i Aaron musiał kilka razy zamrunąć oczami, zanim jego wzrok przyzwyczał się do tego, co zobaczył. Miał przed sobą jedną z tych... istot, które Katie pokazała mu w zamrażarce w piwnicy - tylko że to coś żyło i układało się łagodnie w ramionach mężczyzny. Pozostałe zwierzęta zaskowyczały i zaczęły rzucać się o ściany swoich boksów. Kot w klatce, do której trafił jego wynaturzony krewniak, również zaczął się ciskać i pluć na nowego lokatora. Zmutowane zwierzę trochę przypominało jakby psa - chyba teriera, chociaż podobieństwo to było czysto teoretyczne.

Mężczyzna przykucnął przy klatce i zaczął głaskać potwora, począwszy od okrutnie zdeformowanej głowy, aż po koniuszek różowego, bezwłosego ogona. Jego ruchy stawały się coraz gwałtowniejsze, wręcz gorączkowe, kiedy Aaron zauważył, że pod wysuszoną skórą zwierzęcia zaczyna formować się sporych rozmiarów wypukłość.

Kakofonia wyjących głosów była nie do zniesienia i Aaron najchętniej odwróciłby wzrok. Biedne zwierzęta wiedziały, co się święci, i doprowadzało je to do szaleństwa.

Anielska natura chłopaka także zaczęła się w nim gotować, wyczuwając potencjalne zagrożenie - i jak zwykle, pragnęła opuścić jego ciało.

Nabrzmiała masa na grzbiecie stworzenia zwiększyła już swoje rozmiary dwukrotnie i pulsowała teraz własnym rytmem. Koszmarnie zdeformowane zwierzę dyszało z wysiłku, a rosnący w nim guz ciągle się powiększał. Mężczyzna natomiast przyglądał się tej scenie z całkowicie obojętnym wyrazem twarzy, jakby był świadkiem takich okropieństw każdego dnia.

Wtem rozległ się odgłos przypominający stłumiony wystrzał i wypukłość na grzbiecie zmutowanego teriera eksplodowała, tryskając w powietrze fontanną cieczy. Widok, który ukazał się oczom Aarona chwilę później, zmroził mu krew w żyłach. Z ociekającej płynną mazią rany wypełził jakiś stwór. Przypominał pająka, a może kraba. Aaron nigdy wcześniej nie widział czegoś równie przerażającego, ale był niemal pewien, że to samo stworzenie zauważył w gardle pani Provost. Było czarne i błyszczące, a od jego chitynowego pancerza odbijało się światło rozmieszczonych w pomieszczeniu latarni. Bestia, która przed chwilą przysła na świat, wypełzła z otwartej rany i wspięła się na stół. Zwierzęta w klatkach zaczęły piszczeć, wyć i szczekać, kiedy stawonóg podpełzł do skrzepowanego kota. Aaron rozumiał każde ich słowo, ale musiał je zignorować, ponieważ nic nie mógł zrobić. Kot nie miał szans. Istota o wielu kończynach skoczyła kotu na pyszczek, by w mgnieniu oka zniknąć w jego otwartej mordce. Kot przez chwilę rzucał się i krztusił, lecz w ciągu kilku sekund panika ustała i zwierzę uspokoiło się. Leżał nieruchomo na stole, wachlując się leniwie długim, puszystym ogonem. Aaron mógłby przysiąc, że słyszy, jak kot mruczy.

Przez jego głowę przelatywały tysiące myśli - zastanawiał się właśnie, co powinien zrobić, kiedy nagle usłyszał swoje imię.

- Aaronie - wysyczał głos w tunelu za jego plecami. Aaron wycofał się z komory, wrócił do korytarza i skręcił za róg. Wtedy zobaczył idącą w jego stronę Katie. Natychmiast przyłożył palec do ust, pokazując jej, żeby była cicho.

Katie uśmiechnęła się dziwnie i Aaron poczuł, jak włosy na karku stają mu dęba. Coś tu się nie zgadzało. Niemal natychmiast poczuł w dłoni znajomy kształt świetlistego miecza. W samą porę. Katie zabalgotała i otworzyła usta, z których wyleciał grad pocisków wielkości winogron. Aaron odbił je ostrzem miecza, a dziewczyna cofnęła się na widok świetlistej broni. Świadomość, że mogą się w niej czaić takie same potwory na pajęczych odnóżach jak ten, który wpełzł do pyska kotu, przyprawiała go o mdłości. Ale Aaron nie zląkł się, tylko stał z wyciągniętym przed siebie mieczem, oczekując kolejnego ataku.



W tunelu za plecami Katie dał się słyszeć jakiś ruch. Po chwili pojawili się w nim inni mieszkańcy Blithe, którzy odepchnęli lekarkę, żeby rzucić się na Aarona. Drzemiąca w nim siła wyrywała się na wolność, ale Aaron zdecydował, że nie poszczuje nią mieszkańców tego miasteczka - nie odpowiadali oni bowiem za swoje czyny.

Zamachał mieczem przed ich twarzami, mając nadzieję, że w ten sposób zyska czas na ucieczkę w głąb tunelu. Ale ludzi było zbyt wielu i poruszali się zbyt szybko. Mieszkańcy Blithe dopadli go i okrążyli. Aaron nie miał już gdzie się ruszyć ani jak blokować pocisków, które całymi chmarami wypadały z ich ust. Tkwiąca w nim moc ryknęła z furią, kiedy grad kolczastych kulek wbijał się w policzki, szyję i dłonie Aarona, a jego ciało zaczęło sztywnieć pod wpływem krążącej w żyłach toksyny.

- Nie skrzywdzę ich - uparł się Aaron. Wtedy mieszkańcy Blithe rzucili się na niego i przygwoździli do ziemi.

Obecna w Aaronie od urodzenia anielska moc poddała się swemu losowi, pozwalając ciemności spowić ich oboje w powitalnym uścisku.

## ROZDZIAŁ 10

Przyptyw uderzał o skały z kojącym pluskiem, jakby witając go i ocierając się o jego bosc stopy, niczym stado małych szczeniaków domagających się pieszczot. Aaron spoglądał w siną dal Atlantyku, obserwując, jak mewy unoszą się wraz z delikatnymi podmuchami bryzy, i czuł spokój, którego nie zaznał od dłuższego czasu.

- Czyż nie jest tu pięknie, Aaronie? - zapytał dziecięcy głos.

Aaron odwrócił głowę i zobaczył Steviego siedzącego obok na piasku. Chłopiec miał ze sobą plastikowe wiaderko i łopatkę, którą zawzięcie wykopywał dół w mokrym piasku.

Aaron zajrzał do dołu i zdał sobie sprawę, że w rzeczywistości jest dużo większy i głębszy, niż mu się z początku zdawało. Założę się, że pod płożą biegną tunele - z jakiegoś powodu naszła go taka myśl. Dziesiątki kilometrów tuneli.

- Słyszałeś, co powiedziałem, Aaronie? - zapytał Stevie, odwracając jego uwagę od dziury. Aaron spojrzał na pełną wyczekiwania twarz dziecka.

- Przepraszam, Stevie - powiedział. - Zamyśliłem się na chwilę.

Chłopiec miał na sobie jedynie jasnoczerwone kąpielówki i Aaron zorientował się, że może poparzyć go słońce. Jeśli nie będziemy uważać, Stevie może dostać udaru - tak jak wtedy, gdy...

- Powiedziałem tylko, że tutaj jest bardzo pięknie, to wszystko. - Głos Steviego po raz kolejny wyrwał go z zamyślenia. Po tych słowach chłopiec wrócił do kopania. - Nie chcę stąd nigdy wyjeżdżać.

Aaron roześmiał się i ukląkł obok młodszego brata. Ciepła woda obmywała jego bose stopy.

- Kiedyś będziemy musieli wyjechać - powiedział, gładząc chłopca po słomianych włosach. - Nie chciałbyś wrócić do mamy i taty?

Stevie obrócił się.

- Są tam. - Pokazał palcem na plażę. - Mogę ich zobaczyć, kiedy tylko zechcę.

Aaron podążył wzrokiem za wyciągniętym palcem brata i zobaczył Lori i Toma Stanleyów, siedzących na plażowych leżakach pod wielkim, żółtym parasolem. Między nimi, na piasku, stała białoczerwona, przenośna lodówka.

Wtedy przypomniał sobie, że kiedy ją kupili, włożyli do niej kilka puszek Dr Peppera. Ale po pierwszej wycieczce na plażę coś zostało w środku i zepsuło się, pozostawiając okropny fetor. Stanleyowie nigdy nie zdołali pozbyć się tego zapachu i w końcu wyrzucili lodówkę. Aaron próbował sobie przypomnieć, jak dawno to było. Wtedy, na tej samej wycieczce Stevie dostał udaru słonecznego.

Lori i Tom pomachali im radośnie ze swoich leżaków. Aaron z wahaniem odmachał im i nagle poczuł w środku niezrozumiały smutek.

- Nie smuć się - usłyszał głos swojego przybranego brata, który napełniał wiaderko piaskiem. - Nie ma się czym martwić.

- Skąd wiesz, że było mi przykro?

Stevie nie odpowiedział, tylko dalej kopał dół - coraz większy i głębszy.

Aaron wstał i popatrzył na ocean. Na horyzoncie pojawiły się ciemne chmury - być może zanosilo się nawet na burzę.

- Wszystko wydaje mi się takie znajome - powiedział, bardziej do siebie niż do Steviego, kiedy wiatr zmierzwił jego ciemne włosy.

- Czy to źle? - spytał chłopiec.

Aaron spojrzał w dół i zobaczył, że obok brata siedzi teraz Gabriel, a Stevie klepie go po głowie.

- Cześć, Gabriel - Aaron przywitał się z psem.

W odpowiedzi labrador zamachał ogonem, dysząc przy tym ze szczęścia. Biegał w wodzie i był cały mokry; do futra na łapach przykleił mu się wilgotny piasek.

- Co z tobą, Aaronie? - spytało dziecko. - Wszystko tutaj jest takie idealne - takie ciche i spokojne. Zaakceptuj to.

Chmury zbliżały się powoli w stronę wybrzeża i niebo ciemniało coraz bardziej.

- Chciałbym - odparł Aaron, czując jak wzbiera w nim autentyczna radość, ale zdusił ją w sobie. - Naprawdę, bardzo bym chciał - ale czuję się z tym źle. Jakbym już to przeżył.

- Ale wtedy byłeś szczęśliwy, nieprawdaż? Wszystko może być tak samo. To dar dla ciebie, za wszystko, co musiałeś znieść. - Stevie znalazł się nagle w wykopanej przez siebie dziurze. - Pozwól, że ukoję twój ból. - To mówiąc, wyciągnął opalone ramiona w stronę starszego brata i uśmiechnął się.

To wydaje się banalnie proste - pomyślał Aaron, obserwując kłębiące się nad wybrzeżem stalowe chmury. Wydawały się zmieniać kierunek, odpływając z powrotem w dal - a w ich miejsce pojawiło się znów błękitne niebo i wyjrzało słońce. Wszystko, co musiał zrobić, to zaakceptować ten czas i to miejsce jako obowiązującą rzeczywistość, a wtedy wszystko się ułoży.

Ale w głębi duszy Aaron wiedział, że to niemożliwe.

- Nie, to wszystko jest nie tak. - Potrząsnął z furią głową, a potem wskazał ręką ocean i świat, który się za nim rozpościerał. - Tak nie może być, ta chwila już minęła. To tylko wspomnienie tego, co wydarzyło się trzy lata temu...

- Przestań, Aaronie - przerwał mu Stevie. - Nie psuj tego, co dla ciebie zrobiłem.

Aaron popatrzył na chłopca, kątem oka widząc, jak ciemne chmury, zwiastujące sztorm nadciągają z powrotem. W oddali rozległ się głuchy łoskot grzmotu.

- To tylko sen, a właściwie koszmar.

- Aaronie! - wrzasnął chłopiec, tupiąc nogą.

- Czym ty jesteś? - spytał Aaron i w tej samej chwili silny podmuch wiatru szarpnął jego ubraniem. - Stevie nigdy nie odzywał się do mnie w taki sposób - on w ogóle rzadko się odzywał. - Aaron zerknął na psa, który nadal merdał ogonem, mimo że wiatr sypał mu piaskiem prosto w rozdziawiony pysk. - A to nie jest Gabriel, tylko wygląda jak on. - Aaron podszedł bliżej do dziecka. - Spytam cię jeszcze raz - powiedział ponuro. - Czym jesteś?

Nagle na plaży zrobiło się ciemno jak w nocy, niebo przecięły pierwsze błyskawice, a po nich rozległy się grzmoty. Morze wzburzyło się gwałtownie, fale wściekle biły o brzeg.

- Możesz znów być szczęśliwy! - zawył Stevie, przekrzykując burzę. - Musisz tylko...

- Czym ty jesteś? - wyrzucił z siebie Aaron. Kątem oka dostrzegł, że woda w morzu zaczyna się gwałtownie spiętrzać i podnosić.

- Istnieję od piątego dnia stworzenia - odparł Stevie nieswoim, mrozącym krew w żyłach głosem.

Coś przemieszczało się pod powierzchnią wzburzonej wody. Coś wielkiego.

- To ja byłem tą iskrą niepewności w myślach Stwórcy, kiedy powoływał do życia swój świat - tym momentem chaosu, zanim z otchłani niebytu wyłoniła się Ziemia.

Z głębin oceanu wynurzył się potwór o skórze ciemniejszej od mroku, który go otaczał. Miał przynajmniej trzydzieści metrów wysokości, jego przypominające robaka ciało kołysało się ponad spiętrzonymi falami rozszalałego morza. Z podłużnego korpusu wyrastały setki macek o różnej długości i grubości, wijąc się rozpaczliwie w powietrzu, jakby koniecznie chciały coś pochwycić. Aaron nie mógł oderwać oczu od koszmarnego widoku potwora, który sunął powoli w stronę plaży.

- Morskie odmęty stały się moim schronieniem - przemówiła istota w ciele Stewiego. - Czekałem cierpliwie, ukryty głęboko pod powierzchnią oceanów, aż w końcu Pan poczuł moją wielkość. Wtedy wysłał swoich anielskich posłańców, żeby zgasili moje światło i pozbawili mnie życia.

Potwór zbliżał się. Z jego połyskującego ciała zwisały wielkie, mętne worki, kołysząc się niczym wahadła z każdym jego ruchem.

Aaron patrzył na morską bestię jak zahipnotyzowany - ku swojemu zdziwieniu, nie był w stanie nawet się poruszyć, a co dopiero przemówić.

- Chcesz powiedzieć, że jesteś tak wspaniały, iż Bóg postanowił cię zniszczyć? - wykrztusił w końcu.

Stevie, a raczej to, co w nim zamieszkało, zignorował jego pytanie.

- Ocean był moim domem i każdy, kto ośmielił się zakłócić mój spokój, narażał się na pewną śmierć - a ja szybko zasmakowałem w duszach tych, których Stwórca wysłał, by mnie zgładzili.

Olbrzymia morska bestia zawisała nad Aaronem. Nawet z tej odległości chłopak widział błyszczące kolorami tęczy rzędy łusek na jej ciele. Może gdyby nie była tak straszna, uznałby ją nawet za piękną. W pewnym momencie niebo przecięła oślepiająca błyskawica i rozległ się potężny grzmot - a z ciężkich chmur lunął gęsty, zacinający deszcz.

- To utrzymywało mnie przy życiu przez tysiąclecia, aż wreszcie wyzwoliło mnie z mojego więzienia na dnie morza.

Lejące się z nieba rzęsiste strugi dziwnie kleistego deszczu oblepiały ciało Aarona, zmuszając go wreszcie, by usiadł na piasku. Ziemia nie potrafiła wchłonąć gęstej, mlecznej wody, która rozlewała się u jego stóp, sięgając coraz wyżej.

Bestia dotarła do brzegu, gramoląc się setkami drobnych, ale muskularnych odnóży na piasek.

- Wyczuwam w tobie moc, która jednocześnie przeraża mnie i fascynuje - powiedział potwór, a jego głos dobiegał teraz z dwóch źródeł: z ciała jego młodszego brata oraz z istoty, która wypełzła na brzeg - niczym perwersyjne stereo, rozbrzmiewające w powietrzu. - Nigdy nie spotkałem kogoś podobnego.

Aaron zmusił się, żeby wstać, ale ziemia jakimś cudem schwyciła go i przytrzymała na miejscu. Z nieba lała się ciągle kleista maź, która spływała po nim strugami gęstych glutów.

- Co to za miejsce? - Aaron z rozpaczą w głosie spytał sobowtóra swojego brata.

- Mogło stać się twoim własnym Rajem - wyjaśniła istota, a jej głos brzmiał teraz niczym toczące się kamienie. - Przyciągnąłem cię do siebie, tak jak kwiat kusi pszczołę, by na nim usiadła. Posłużyłem się do tego celu wizją osobistego Raju - miejsca, w którym znalazłbyś wiecznego spokoju i radości. - Stevie pokręcił z rozczarowaniem głową. - Ale ty odrzuciłeś moją propozycję.

- Bo nie jest prawdziwa - wyrzucił z siebie Aaron, starając się nie dopuścić, by lejąca się z nieba i spływająca po jego twarzy gęsta ciecz dostała mu się do ust. - To kłamstwo.

Stevie wyszedł z wykopanej przez siebie dziury i jak gdyby nigdy nic, pomaszzerował w stronę kolosa, który wychynął z morza.

- Prawda czy fałsz, niech tak będzie - powiedział, podchodząc do bestii, która rozwarła bezdenną paszczę.

Kleisty deszcz padał jeszcze gęściej i Aaron czuł, jak z każdą minutą zapada się coraz głębiej. Ramiona ugrzęzły mu w podnoszącym się bagnie, które utworzyło się na powierzchni ziemi. Rzucał się nadaremnie, próbując uwolnić się z pułapki, ale jego wysiłki spełzały na niczym.

Stevie wszedł do wypełnionej ostrymi jak szable zębami gardzieli potwora, która przypominała mu pysk piranii. Chłopiec stał tam przez chwilę i wyglądał na zewnątrz, aż w końcu paszcza zaczęła zamykać się powoli.

- Tak czy inaczej, koniec jest zawsze taki sam - powiedział jeszcze. - Znajdziesz się w brzuchu bestii - jako pokarm dla Lewiatana.

Te ostatnie słowa zadźwięczały Aaronowi w uszach, mimo szalejącej wokół burzy. Potwór zamknął paszczę, a potem wycofał się i rzucił we wzburzone odmęty.

Aaron nie przestawał walczyć, chociaż miał wrażenie, że im bardziej się rzuca, tym głębiej wpada. Koniec jest zawsze taki sam - usłyszał w głowie nieludzki głos, a potem zaczął

tonać. Próbował krzyżeć, obudzić się z koszmaru, powtarzając sobie, że to tylko manipulacja w jego głowie, ale już nie zdążył - piasek zmieszany z lepkiem deszczem, lejącym się z góry wypełnił mu usta, a potem gardło. Znajdziesz się w brzuchu bestii - zabulgotał potwór.

Jako pokarm dla Lewiatana.

Potwór o imieniu Lewiatan męczył się w ciasnej jaskini, gdzie leżał zamknięty od tysięcy lat. Był jednak zadowolony, gdyż liczne worki trawienne, które zwisały z jego boków, kryły w sobie anielskie formy życia - czuł, jak wzrasta w nim moc, która już niebawem wypuści na wolność mroczne bóstwo.

Jego ostatnia zdobycz, półczłowiek, półanioł, Nefilim, walczyła z całych sił, żeby uwolnić się z uścisku głodnego Lewiatana. Umysłem Nefilima zawładnęła panika.

- Twoje wysiłki są daremne. - Głos potwora utorował sobie drogę do przerażonego umysłu Aarona. - Ale wiedz, że moc, która drzemie w tobie - a teraz płynie prosto do moich żył - całkowicie przemieni świat. Oczami moich sług widzę codziennie, czym stała się planeta stworzona przez Boga - miejscem balansującym każdego dnia na krawędzi chaosu.

Lewiatan ukazał zamkniętemu w jego brzuchu młodemu człowiekowi potworne obrazy współczesnego świata. Sceny wojny, bezsensownej przemocy i śmierci przelatowały Aaronowi przed oczami, jakby na potwierdzenie tego, że cały świat ogarnęło szaleństwo.

- To owoc pracy Boga - warknęła bestia. - Ja potrafię to zrobić dużo lepiej. Kiedy odzyskam w końcu wolność i opuszczę swoje więzienie pod powierzchnią lądu i morza, użyję twojej mocy, tej wspaniałej siły, żeby wepchnąć ziemię w otchłań jeszcze większego oblędu. A potem przekształcę go na swoje podobieństwo.

Tysiące połyskujących czernią dzieci Lewiatana wiło się pod osłoną jego ciała. To one niosły w świat przesłanie swojego pana, zmieniając i mutując od środka istniejącą faunę. Wizja opanowania całej planety napawała je dziką radością.

Nefilim nie rezygnował z walki, nie pozwalając, by rozpuściły go soki trawienne bestii - która, rozdrażniona przeciągającą się walką, raz za razem sięgała coraz głębiej do umysłu swojej ofiary. Brutalnie rozrywała na strzępy wspomnienia z jego dotychczasowego życia, które wydawało jej się takie przyziemne - a przynajmniej do momentu, w którym niebiańska moc przebudziła się do życia i nakazała Nefilimowi podążyć w ślad za prastarą przepowiednią.

Lewiatan nie miał jednak czasu na żadne przepowiednie - musiał podbić świat.

Nefilim Aaron rzucał się i wierzgał, gdy Lewiatan tratował bezlitośnie jego wspomnienia. Bestia była świadkiem narodzin jego anielskiej natury, wskrzeszenia jego psa - kiedy Nefilim tchnął w to marne zwierzę życiodajną moc, którą teraz Lewiatan z takim

apetytem chłonął - czy wreszcie śmierci jego przybranych rodziców i krwawej bitwy z przywódcą gwardii niebieskiej - Werchielem.

Na wspomnienie tego imienia potwór zadrżał w ciemności. Od dawna spodziewał się wizyty Werchiela i jego Strażników, którzy w imię Boga tropili i próbowali strącić w otchłań Lewiatana i jego pobratymców. Ale tak się nie stało. Z jakiejś przyczyny Lewiatan uniknął losu innych, których dosięgła zemsta Potęg. Funkcjonował nadal, polując i żywiąc się swoimi anielskimi ofiarami, które pozwalały mu przeżyć. Jak sprytny gatunek ryby

Onazwie żabnica, morska bestia kusila psychicznie żalosne niebiańskie istoty wizją odzyskanego Raju. Pozostawało tylko kwestią czasu, zanim dadzą się uwieść

Itrafią do jednego z pustych worków trawiennych.

Kiedy bestii uda się już opuścić miejsce podwodnego odosobnienia, Werchiel i jego Strażnicy będą musieli stawić jej czoła. A wtedy poznają okrutny gniew i nienasycony głód Lewiatana.

Przed oczami potwora mignął obraz małego dziecka - brata Nefilima. To właśnie tego chłopca użyto jako przynęty, żeby sprowadzić Nefilima do Blithe. Ale Nefilim przejrzał podstęp i próbował uciec - bezskutecznie.

Lewiatan wiedział, że zrobi wszystko, żeby zachować półczłowieka, półaniola przy sobie. Krążąca w jego żyłach moc była potężna, wręcz odurzająca - z pewnością posłuży olbrzymowi do ostatecznego zapanowania nad światem.

Lewiatan wyczuł, że Nefilim myśli znowu o swoim bracie porwanym przez Werchiela. To pobudzało go jeszcze bardziej, zakłócając Lewiatanowi proces trawienia. Potwór był już naprawdę rozdrażniony i po raz kolejny sięgnął do umysłu Nefilima. Musiał w jakiś sposób przekonać go, że wszelkie próby wydostania dziecka z łap Werchiela są z góry skazane na porażkę. - Poddaj się - Lewiatan szepnął Nefilimowi. - Twój opór na nic się nie zda.

Straszliwa bestia skrzywiła się z bólu, po tym jak napotkała silny opór ze strony półaniola, który walczył z niesłabnącą zaciekłością w jednym z jej licznych żołądków, powodując u niej nieznane dotąd uczucie dyskomfortu.

W umyśle młodzieńca pojawił się pewien obraz - światło tak oślepiające, że było w stanie przebić nawet najciemniejszy mrok. A potem to nieznośne światło zaczęło przybierać realny kształt, który napełniał starożytną istotę pierwotnym strachem.

Światło w głowie Nefilima zamieniło się w broń, której Lewiatan nie widział od czasu brzemiennej w skutki bitwy, po której został uwięziony w tej podwodnej jaskini.

Światło stało się mieczem - mieczem Boskiego posłańca.

Aaron tonął w odmętach.

Próbował walczyć z całych sił, by wyrzucić z siebie kleistą maź zatykającą mu usta, gardło i płuca, ale gdzieś w środku cały czas słyszał kojący głos, który przekonywał go, że źle robi, a stawianie oporu tylko przedłuży jego agonię.

Później ten sam kojący głos, który obiecał mu koniec cierpienia, jeżeli tylko się podda, oznajmił, że jego młodszy brat nie żyje, zginął z ręki Werchiela zaraz po tym, jak został porwany, i dalsza walka w jego obronie jest pozbawiona sensu.

Gdy Aaron to usłyszał, nappełnił go wielki smutek, powiększając tylko bagaż rozpacz, który w sobie nosił: śmierć rodziców, ucieczka przed dawnym życiem, które zaczął już sobie jakoś układać, rozstanie z Vilmą - to wszystko było dla niego zbyt bolesne. Przez moment pomyślał, że może rzeczywiście najlepiej będzie, jeśli podda się i utonie.

Ale wtedy pojawił się miecz - tajemnicza broń wykuta z promieni słonecznych, która przesywała najgłębszą ciemność, rozpraszała spowijające go mroczne obłoki smutku i zachęcała, by odkrył prawdę.

Prawda.

Aaron wrzasnął wewnątrz błoniastego worka, wypluwając z impetem obrzydliwy płyn, który dostał się do jego płuc. W ręce trzymał miecz, zupełnie jak wtedy we śnie. Miecz błyszczał niczym wschodzący świt, odkrywając prawdziwą naturę koszmaru, który trzymał Aarona w szponach. Chłopak podniósł świetliste ostrze i rozpruł worek. W głowie natychmiast usłyszał przeraźliwy krzyk - wrzask pogrążonego w nagłym bólu potwora.

Z rozciętego worka wylały się soki trawienne i Aaron nareszcie mógł złapać oddech. Powietrze na zewnątrz było śmierdzące i zatechłe, ale Aaron niczego w tej chwili bardziej nie pragnął, jak tylko nabrać w bolące płuca tlenu. Zrobił to tak łapczywie, że zakrztusił się cuchnącym powietrzem, wyrzucając z siebie zarazem resztki paskudnej cieczy.

Mięsista komora, w której nadal był uwięziony, zaczęła skręcać się i kołysać, wydając z siebie ryki wściekłości zmieszanej z bólem.

Aaron musiał się wydostać, uciec jak najdalej od tej organicznej pułapki - rzucił się więc w stronę rozcięcia, które przed chwilą zrobił mieczem. Tak właśnie wyobrażał sobie narodziny. Przeciskał się, głową naprzód przez kolejne fałdy mięsa, które - w jakiś cudowny sposób - zaczynały się już zrastać. Przepchnął się przez szczelinę, spadł z dość dużej wysokości i z głuchym łoskotem wylądował na kamiennym podłożu. Z bólu gwiazdy eksplodowały mu przed oczami i przez chwilę myślał, że straci przytomność. Ale jakoś się otrząsnął i wstał, wciąż ściskając w dłoni świetlisty miecz.



Rozejrzał się wokół. Zobaczył, że znajduje się w wielkiej podwodnej jaskini. Wokół panowała cisza, nie licząc dobiegających z oddali odgłosów fal rozbijających się o wybrzeże. Ze ścian zwisały grube nacieki świecących grzybów, wypełniając jaskinię fluorescencyjną poświatą.

Nagle Aaron poczuł z tyłu potężny cios, jak gdyby uderzył go nadjeżdżający z pełną szybkością pociąg towarowy. Siła uderzenia była tak mocna, że chłopak wyleciał w powietrze i spadł na ziemię na drugim końcu jaskini. W głowie mu dzwoniło, a kości pleców i nóg paliły boleśnie, gdy spróbował wstać i odzyskać równowagę. Krwawił z licznych ran, ale nie wypuścił z ręki miecza, którym zamachnął się, oczekując kolejnego ataku.

- Ostrze Posłańca - rozległ się głos z ciemności za jego plecami. A potem coś zbliżyło się, ukazując mu swoje rurowate ciało - do tego stopnia olbrzymie, że potwór ledwie się poruszał. - Nie sądziłem, że ktoś taki jak ty będzie w stanie władać tak potężnym orężem.

Mimo iż ciało nadal odmawiało mu posłuszeństwa, Aaron ścisnął mocniej miecz w dłoni, celując ostrzem we wznoszącego się ponad nim potwora z pancerzem pokrytym błyszczącymi, czarnymi łuskami. Miał przed sobą monstrum, które mogło być tylko Lewiatanem we własnej osobie. Wspaniałe, zachodzące na siebie łuski wyglądały jak kolczuga. Aaron z odrazą patrzył na wijące się pod tą prymitywną zbroją podobne do pajaków stwory, które wdrapywały się do ust wszystkich istot żyjących w tym nieszczęsnym miasteczku.

Potwór zamachnął się na niego jednym ze swoich odnóży, grubym jak pień drzewa i Aaron instynktownie rzucił się na ziemię. Rozległ się ogłuszający trzask, jakby ktoś strzelił z gigantycznego bata, a z miejsca, w którym przed chwilą stał Aaron posypały się odłamki skał.

Lewiatan podniósł się i ruszył w dalszą pogoń za Aaronem, na ile pozwalały mu monstrualne kształty w ciasnej jaskini. Poruszając się, szorował czubkiem głowy o sklepienie.

- Dokąd to, Nefilimie? - zadudnił potwornym głosem. - Nie możesz mi uciec. Poddaj się temu, co nieuniknione.

Niektóre z czarnych pajaków oderwały się od ciała swojego żywiciela i rozbiegły się po całej jaskini, żeby uniemożliwić Aaronowi ucieczkę. Ale Ostrze Posłańca - jak nazywał miecz Lewiatan - bez problemu uporało się z niegroźnymi stawonogami.

Aaron rozciął właśnie kolejne pełzające na licznych odnóżach stworzenie, gdy nagle coś innego przykuło jego uwagę. Od chwili, w której wydostał się z żołądka potwora, nie czuł w ogóle obecności swojej anielskiej mocy. Zabijając kolejne ze sług Lewiatana, starał się przypomnieć sobie, kiedy po raz ostatni czuł tę wewnętrzną siłę, wyrrywającą się na wolność. Chyba w tunelu, kiedy zaatakowała go Katie McGovern i inni mieszkańcy Blithe. Wówczas

skarcił moc i stłumił ją w sobie, tak jak to robił za każdym razem od czasu zakończenia pojedynku z Werchielem.

Lewiatanowi udało się podpełznąć bliżej. Czyżby ten olbrzymi potwór zdołał jakoś wyssać z niego anielską moc? Aaron zastanawiał się nad tym, kiedy Lewiatan wypuścił po raz kolejny jedną ze swoich długich, grubych macek, próbując schwytać go w miażdżący uścisk. Aaron zamachnął się mieczem i macka cofnęła się, po czym zawisła w powietrzu nad jego głową, niczym kobra szykująca się do ataku.

- Gdzie jesteś? - zwrócił się do swojej wewnętrznej mocy, która już dawno powinna rwać się do walki. - Akurat teraz przydałaby mi się twoja pomoc - dodał już na głos, kiedy macka zaatakowała znowu. Nie zyskał jednak żadnej odpowiedzi i poczuł, jak ogarnia go rozpacz. Nie miał jednak czasu zastanawiać się, co dalej. Rzucił się do walki z całą siłą, jaka mu jeszcze pozostała, i rąbiąc na oślep wyciągające się po niego odnóża, zatopił miecz w czarnym, muskularnym ciele bestii.

- Arrrrggghhhh! - Lewiatan ryknął z bólu, cofając gwałtownie zranioną kończynę - a wraz z nią wyrwał z ręki Aarona Ostrze Posłańca. Chłopak mógł tylko pa - | trzeć bezradnie, jak miecz przelatuje przez całą jaskinię, poza zasięg jego rąk, a potem znika w oślepiającym i błysku. Aaron wpadł w panikę. Czy bez kontaktu z moją j anielską naturą jestem jeszcze w stanie się bronić? - pomyślał z rozpaczą.

Przytulił się plecami do ściany jaskini i spróbował wymyślić jakąś inną broń. Poczuł ulgę, kiedy w jego dłoni zapłonął ognisty miecz. W porównaniu z Ostrzem Posłańca wyglądał on żałośnie, ale lepsze to niż nic. Aaron miał przynajmniej pewność, że nie stracił bezpowrotnie mocy.

Lewiatan, nie tracąc czasu, zaatakował po raz kolejny. Manewrując olbrzymim tułowiem, z zaskakującą szybkością sunął wprost na Aarona. Ale wówczas miecz obudził się do życia, a jego właściciel był gotowy na ostatni pojedynek w swoim życiu. Wtem jego wzrok przykuły mięsiste worki dyndające obscenicznie na brzuchu nacierającej bestii.

Aaron zamarł na widok zawartości nieskończonych żołądków: zaginionego anioła Kamaela, swojego wiernego przyjaciela Gabriela, jednej z tych wstrętnych małych istot, które zaatakowały ich po drodze do Blithe - i wielu innych, uwięzionych we wnętrznościach bestii. Tego już było za wiele. Koszmarny obraz sprawił, że Aaron o mało się nie poddał i nie padł na kolana przed triumfującym potworem.

- Mój widok - i świadomość mojej wielkości - napawa cię wątpliwościami i trwogą - wyrzekł Lewiatan, szykując się do zadania ostatecznego ciosu.

Potwór dźwignął opasłe cielsko i nagle na Aarona spadł z góry grad macek, gotowych go pochwycić. Ale chłopak, przygotowany, zakreślił mieczem potężnego młynka nad głową, odrabując wiele odnóży. Bestia ryknęła z bólu, lecz nie zrezygnowała z ataku.

Walcząc zaciekle, Aaron nie mógł oderwać wzroku od zawartości jednego z worków. W jakiś - instynktowny?

- sposób wiedział, że ma przed sobą anioła, ale coś podpowiadało mu, że nie jest to zwykły anioł, lecz ktoś, kto cieszył się niegdyś wielką władzą i prestiżem. Archanioł. Poprzez mętną, nieprzezroczystą skórę i wypełniający worek mleczny płyn widział wyraźnie bogato zdobioną zbroję, która zwisała z wychudzonego ciała potężnego niegdyś anioła.

- Spójrz na tych, którzy ulegli mojej mocy, Neflimie - zabulgotał potwór, atakując jednocześnie uszy i umysł Aarona. - Oto Archanioł Gabriel, posłaniec Boga i żywe wcielenie Słowa Bożego - on także został rozgromiony, z taką samą łatwością jak inni.

W tej samej chwili Aaron wyobraził sobie posłańca Bożego walczącego z Lewiatanem. Ujrzał skrzydlatego wojownika spadającego z nieba we wspaniałej, lśniącej zbroi, która połyskiwała w mroku prymitywnego świata. Anioł, z cudownym świetlistym mieczem w dłoni, zanurkował pod kłębiącymi się chmurami, ścigając swoją ofiarę.

Aaron był świadkiem epickiego pojedynku, w którym siła najczystszej światła starła się z nieprzeniknioną ciemnością - dwie wykluczające się siły zwarły się w boju, od którego dosłownie zatrzęsł się cały świat. Otaczające walczących wody oceanów wzburzyły się i zagotowały, wyrzucając w powietrze skały, ziemię i muł. Wielkie podwodne góry zadrzały i rozpadły się na kawałki. Dno oceanu rozwarło się i pod stopami walczących przeciwników pojawiła się ziejąca otchłań. A oni, pochłonięci bez reszty walką, runęli w przepaść, wessani przez katastrofalną w skutkach furję.

Wizja zakończyła się tragicznie, gdy Lewiatan połknął pokonanego anioła Gabriela. Boży posłaniec walczył rozpaczliwie, broniąc się przed stopniowym, ale nieuniknionym wchłonięciem przez bestię - po czym został zamknięty w jednym z wielu żołądków kolosa; jako wieczny pokarm dla potwora, uwięzionego w jaskini pod morskim dnem.

Aaron usłyszał w głowie śmiech Lewiatana - niski, gardłowy dźwięk, przepelniony perwersyjną pewnością siebie. Nawet posłaniec samego Boga nie zdołał go pokonać - pomyślał, tocząc dalej zaciekły bój z wijącymi się wokół mackami. Jaką szansę w starciu z nim mogę mieć ja? Stopniowo tracił siły, jego ataki stawały się coraz słabsze. Wiedział, że potwór właśnie na to czeka, ale nie mógł pozbyć się beznadziejnego wrażenia, że jego heroiczna walka ze starożytną bestią jest z góry skazana na porażkę.

Z kolei ataki Lewiatana nie słabły ani na moment, aż w końcu jedna z macek owinęła się wokół nadgarstka trzymającego ognisty miecz. Aaron szarpnął, próbując użyć płonącego ostrza, by zrzucić z siebie czarną, oślizgłą kończynę, ale nie dał rady. Usłyszał nagły, suchy trzask, poczuł oślepiający ból. Potwór złamał mu rękę w nadgarstku. Chłopak krzyknął z przerażenia, widząc, jak miecz wypada mu z dłoni i znika w zimnym, wilgotnym powietrzu.

Aaron szarpał się w uścisku Lewiatana, ale macki oplotły mu już ramiona, nogi i pas, krępując w ten sposób niemal wszystkie ruchy. Poczuł, jak unosi się z ziemi i zawisa bezwładnie w powietrzu.

A potem powoli, lecz nieubłaganie rozpoczęła się wędrówka w górę, prosto ku rozwartej paszczy potwora.

## ROZDZIAŁ 11

Muskularne macki Lewiatana przyciągały go coraz bliżej. Aaron próbował jakoś wyrwać się z ich uścisku, ale potwór okazał się zbyt silny. Jednocześnie morska bestia przypuściła atak także na jego umysł, osłabiając opór Aarona i pozbawiając go ochoty do dalszej walki. Ukrywające się pod łuskami Lewiatana potwórki na pajęczych nogach chichotały i syczały, obserwując, jak ciało Aarona unoszone jest coraz wyżej.

Aaron znalazł się już niemal na wysokości szeroko rozwartej paszczy Lewiatana, ukazującej rzędy ostrych jak brzytwy zębów, kiedy usłyszał w głowie głos należący do kogoś innego. Z początku był to delikatny, kojący szept, przypominający szelest jesiennego wiatru w koronach drzew. Skupił się na nim, próbując jednocześnie zachować przytomność.

Otworzył oczy i spojrzał w głąb jednego z worków trawiennych, zwisających z ciała potwora - tego, w którym spoczywał posłaniec Boga. Archanioł Gabriel również miał otwarte oczy i Aaron wiedział już, że to właśnie on jest obecny w jego myślach.

- Długo czekałem na twoje przybycie - wyszeptał głos, brzmiący jak najpiękniejszy ze wszystkich instrumentów strunowych.

Głos potwora nagle ucichł, zagłuszony dźwiękami kosmicznej symfonii. Nie zważając na swoje tragiczne położenie, Aaron sięgnął w głąb umysłu, by nawiązać kontakt z Boskim Archaniołem.

- Jak to możliwe? - spytał go. - Skąd wiedziałeś, że tu będę, że przyjdę?

Aaron instynktownie wyczuwał rosnące rozdrażnienie Lewiatana. Coś blokowało mu dostęp do umysłu Nefilima.

- Wiedziałem, że moja męka nie może trwać wiecznie - powiedział Archanioł Gabriel, a niebiańska muzyka w głowie Aarona rozbrzmiewała coraz głośniejsze, tworząc już ogłuszające crescendo. - Wiedziałem, że mój następca w końcu nadejdzie i wypełni zadanie, które zostało mi przydzielone - nucił dalej melodyjnym głosem Gabriel.

Aaron nie złapał z początku sensu słów Archanioła.

- Następca? - spytał. - Nie rozumiem. Archanioł zaczął powoli zamykać oczy.

- Nie ma już czasu na brak zrozumienia - wyszeptał wyraźnie słabnącym głosem. - Jesteś tym, kim ja byłem niegdyś - posłańcem Boga.

- Czekaj! - krzyknął Aaron, kiedy macki uniosły go w górę, z dala od żołądka, w którym spoczywał Archanioł Gabriel. Kości połamanego nadgarstka zazgrzytały boleśnie o siebie, kiedy Aaron szarpał się i wrywał, próbując odzyskać kontakt z Archaniołem. - Co to ma znaczyć? W dalszym ciągu nie rozumiem!

Gruba niczym pień drzewa macka sięgnęła w dół i wyjęła go z objęć niższych odnóży, ciągnąc ku górze.

Aaron wisiał teraz głową w dół, trzymany za nogę, tuż przed szkaradnym obliczem Lewiatana. Wyłupiaste oczy umiejscowione po obu stronach niekształtnej głowy przyglądały mu się z dużym zainteresowaniem, a monstrualnych rozmiarów otwór gębowy marszczył się i ociekał śliną, kiedy bestia mówiła.

- A co tu rozumieć? - wybulgotała przerażająca morska bestia; jej głos odbijał się echem w głowie Aarona niczym ostatecznie tchnienie tonącego człowieka. - Twoje wysiłki są próżne. Poddaj mi się i uświadom sobie, że to życiodajna moc twoja oraz twoich towarzyszy, pozwoliły mi wreszcie odzyskać upragnioną wolność.

Lewiatan nie usłyszał najwyraźniej słów anioła Gabriela. Nie mógł więc wiedzieć, że Archanioł namaścił Aarona na swojego następcę - Boskiego posłańca. Aaron pomyślał przez chwilę, że może to tylko kolejna sztuczka potwora z głębin - dać mu na chwilę cień nadziei, a potem odebrać ją brutalnie, na zawsze.

Potwór podniósł go na wysokość swojego oblicza i Aaron mógł się przejrzeć w połyskujących, wyłupiastych, rybich oczach. Czekał tylko, aż Lewiatan wrzuci go sobie do paszczy. Boski posłaniec, akurat - nie mam nawet cienia szansy! - pomyślał, szykując się na pożarcie.

- Właśnie w ten sposób chce cię pokonać - dobiegł go ledwie słyszalny głos Archanioła Gabriela. - Tak pokonał nas wszystkich, sprawiając, byśmy uwierzyliśmy, że to nieprawda.

Aaron wzdrygnął się, czując, jak niewyraźny głos anioła milknie, wypierany przez zwątpienie, które niczym jad sączył w niego przebiegły Lewiatan.

- Kiedy wreszcie zdasz sobie sprawę z bezsensowności swojego oporu? - spytał morski potwór, potrząsając nim gwałtownie. - Po co walczysz, skoro nie możesz wygrać, nędzny Nefilimie? Czas walki się skończył. Teraz nastał czas poddania.

Aaron poczuł, jak z jego ust wypadają słowa, zanim jeszcze zdążył pomyśleć, co chce powiedzieć.

- Nie poddam ci się - oznajmił, a w jego głosie zabrzmiał potężny gniew. Szamotał się nieustannie, próbując się wyrwać z uścisku starożytniej bestii.

Lewiatan roześmiał się, zaciskając mocniej chwyt na nodze Aarona i opuszczając go na wysokość otwartej paszczy.

- Odwaga, nawet w obliczu beznadziei - zbulgotał. - Może w ten sposób będzie ci lżej umierać.

Smród, który wydobywał się z gęby potwora wystarczyłby, by pozbawić człowieka przytomności. Aaron rozpaczliwie starał się wstrzymać oddech jak najdłużej. Macki morskiej bestii były tak śliskie, że nie był w stanie złapać ich porządnie, a co dopiero wyrzucić im jakąś krzywdę. W pewnej chwili poczuł, że uścisk zelżał, i zamknął oczy, gotów wpaść w bezkresną otchłań rozwartej przed nim paszczy - kiedy Archanioł Gabriel przemówił znowu:

- Daję ci po raz kolejny moją broń. Weź ją tak jak to zrobiłeś za pierwszym razem, gdy tkwiłeś w szponach koszmaru. Daję ci mój miecz, Zwiastun Światła - użyj go roztropnie, Boży posłańcu.

Aaron poczuł, jak Boskie ostrze Zwiastuna Światła wyrasta w jego dłoni, piekący ból złamanego nadgarstka nagle znika, a kości zrastają się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- A co to takiego? - zainteresował się Lewiatan, skupiając wzrok swoich potwornych oczu na Nefilimie i broni, którą ten niespodziewanie odzyskał.

Aaron poczuł, jak wstępują w niego nowe siły. Dławiąca go rozpacz zniknęła nagle, jak poranna mgła rozpraszająca się w promieniach wschodzącego słońca. A potem zamachnął się z całej siły i ciał mieczem prosto w jedno z rozszerzonych ślepi potwora. Zwiastun Światła z łatwością przeciął wilgotną gałkę oczną, z której natychmiast wylała się galaretowata masa. Lewiatan ryknął z bólu i wściekłości, wypuszczając Aarona z objęć.

Potwór nie przestawał krzyczeć w agonii, jego monstrialne cielsko miotane bólem uderzało o ściany podwodnej jaskini. Aaron wylądował niepewnie na górze worków

dyndających na brzuchu oszalałego Lewiatana. Próbował się czegoś chwycić, aby nie zostać zrzuconym z kołyszących się żołądków. Ześlizgiwał się jednak z gumowatej powierzchni organów trawiennych, które wydawały przy tym dźwięk, jakby ktoś pocierał ręką o nadmuchany balon. Aaron z całych sił wbił paznokcie w mięsisty worek i przytrzymał się go kurczowo.

Morski potwór wierzgał, rycząc przy tym z wściekłością, a jego wrzaski odbijały się echem w całej jaskini. Z zamkniętego zranionego oka ciekły strumienie gęstego żółtego śluzu, przypominającego żółtko na wpół surowego jajka.

- Zapłacisz mi za to, Nefilimie! - wrzasnął Lewiatan, skręcając tułów i starając się zlokalizować wroga jedynym widzącym okiem. - Sprawię, że pozostaniesz w moim wygłodniałym żołądku na wieki. Będziesz moim ulubionym posiłkiem, w którym rozsmakuję się na bardzo długo.

Aaron poczuł, że znów zsuwa się z worka, na którym wisiał. Przycisnął twarz do mętnej błony i ujrzał po raz kolejny bladą, mizerną twarz Archanioła Gabriela, unoszącą się w sokach trawiennych potwora.

- Posłańcu - usłyszał w głowie jego słaby głos - uwolnij mnie. Anioł otworzył oczy, a intensywność jego spojrzenia pchnęła Aarona do działania.

Z krzykiem podniósł ramię i uderzył mieczem w miejsce, gdzie zewnętrzny żołądek łączył się z klatką piersiową Lewiatana. Ostrze z łatwością przecięło tkankę łączną, a wiszący organ oderwał się od ciała bestii i spadł na ziemię niczym dojrzały owoc z drzewa.

Ryki Lewiatana stały się jeszcze donośniejsze. Potwór miotał się na wszystkie strony w skalnej pułapce, strącając ze ścian i sklepienia odłamki skał, które niczym ulewny deszcz spadały na dno jaskini.

Aaron poczuł, jak spada. Zrobił, co mógł, odcinając tyle worków, ile tylko zdołał, lecz było ich zbyt wiele i nie dał rady dosięgnąć wszystkich. Wylądował na kupie leżących żołądków i zaczął po kolei rozcinać je, chcąc uwolnić uwięzionych, zanim Lewiatan odzyska siły i wyladuje na nich swoją furję.

Z rozprutych żołądków sączyły się mętne soki trawienne, pokrywając całe dno jaskini warstwą cuchnącego śluzu. Lewiatan jęczał teraz żałośnie, opierając swoje poskręcane, węzowe cielsko o ścianę jaskini. Wyglądało to tak, jakby doznał czegoś na kształt szoku - być może na skutek odcięcia go od zapasów jedzenia, a tym samym, zasobów życiodajnej energii - pomyślał szybko Aaron, chociaż wiedział, że potwór nie stanie się nagle potulny jak baranek ani nie zrezygnuje z dalszej walki. Było tylko kwestią czasu, nim zbierze siły i napędzany pierwotnym gniewem, uderzy w tego, który zadał mu ból.

- Zraniłeś bestię - usłyszał głos za plecami. Odwrócił się i zobaczył wynędzniałego Archanioła Gabriela. Jego niegdyś wspaniała zbroja miała teraz kolor przybrudzonej miedzi i zwisała z potwornie wychudzonego szkieletu, jakby była o kilka rozmiarów za duża. Anioł chwiał się na nogach, ledwie zachowując przytomność w kleistej kałuży soków trawiennych.

- Teraz musisz dokończyć to, czego nam nie udało się dokonać. - To mówiąc, wskazał kościstym palcem pozostałe worki i leżące w nich wciąż postacie. Bransoletki, które kiedyś musiały spoczywać na grubych, muskularnych nadgarstkach, zadźwięczały smutno, grożąc w każdej chwili zsunięciem się z dłoni. - W imię Stwórcy, zadaj ostateczny cios i zniszcz bestię, która zwie się Lewiatan. Aaron podszedł do niego.

- Ja... ja nie mogę - powiedział, podając Gabrielowi miecz. - Proszę, ty to zrób. Anioł upadł na kolana.

- To niemożliwe - wyrzęził. - Walka z tym monstrem przyspieszyłaby jedynie moją nieuchronną śmierć. Aaron wrócił do leżących na dnie jaskini worków.

- Może któryś z nich mógłby ci pomóc - zasugerował, przyglądając się przez chwilę innym aniołom, leżącym nieruchomo w odciętych żołądkach Lewiatana. Wielu z nich spoczywało w pozycji embrionalnej - w pułapce, którą zgotował im Lewiatan.

- Większość jest w takim samym stanie jak ja - odparł z trudem Gabriel.

Aaron ukląkł obok dwóch worków, w których leżeli Kamael i Gabriel, jego wierny pies.

- Czy nic im nie będzie? - spytał, kładąc drżącą dłoń na boku labradora i szukając bicia serca lub jakiegokolwiek innego dowodu na to, że pies żyje.

- Nie byli więzieni zbyt długo - powiedział Archanioł. - Przeżyją pod warunkiem, że Lewiatan znów ich nie pożre. Jakby na potwierdzenie tych słów, potwór poruszył się, a jego jęki odbiły się głośnie echem w całej jaskini. Aaron wstał, cały czas zaciskając dłoń na rękojeści świetlistego miecza.

- Zdajesz sobie sprawę, o co mnie prosisz? - spytał.

- Chcesz, żebym to ja zabił tego potwora?

Archanioł Gabriel przekrzywił głowę.

- A czy ty zdajesz sobie sprawę, jaką moc w sobie nosisz?

- Nefilimie! - zabrzmiał wściekły głos Lewiatana, który wyciągnął się tak wysoko, jak tylko pozwalała na to strop jaskini i łytał wokół jednym okiem, podczas gdy drugie - zranione i spuchnięte - pozostawało wciąż przysłonięte powieką. - Znajdę cię - a wtedy będziesz należał tylko do mnie!



Aaron stał nieruchomo, obserwując w milczeniu, jak olbrzymie, przypominające nagiego ślimaka monstrum zmierza w jego stronę falującymi ruchami. Poskręcane macki zastępowały mu teraz narząd wzroku, którego został tak boleśnie pozbawiony.

- Nawet Lewiatan jest świadom tego, co w tobie drzemie - ciągnął niezrażony anioł. - A ty wciąż starasz się temu zaprzeczać.

Potwór podpełzł bliżej, wyciągając przed siebie macki w nadziei, że uda mu się złapać tego, który mu umknął.

- Gdzie jesteś, Nefilimie? - ryknął.

- Moc, która była we mnie... Mam wrażenie, że ona zniknęła - wymamrotał Aaron, nie spuszczając oczu z bestii. - Próbowałem się z nią skontaktować, ale nie odpowiada. Wydaje mi się, że to sprawka Lewiatana i teraz...

- Liczysz, że tak właśnie się stało? - Archanioł przerwał mu. - Czy odnosisz się do faktów, które rzeczywiście miały miejsce?

Z początku Aaron nie zrozumiał sugestii Gabriela, ale nagle go olśniło.

- Przeniknąłem do twojego umysłu, Nefilimie. - Anioł dotknął swojej skroni długim, delikatnym palcem wskazującym. - I zobaczyłem tam strach, który paraliżuje twoje myśli.

- Ale ja... Nie jestem przekonany, czy potrafię nad tym zapanować - przyznał Aaron, patrząc z przerażeniem, jak Lewiatan zbliża się nieubłaganie.

- A gdyby moc zniknęła, nie miałbyś się już czego obawiać - podsumował Gabriel.

Aaron skinął głową, wstydząc się swojego strachu, jak i tego, że naraził na śmiertelne niebezpieczeństwo swoich najbliższych - a wraz z nimi całą ludzkość.

- Moc Niebios jest częścią twojego dziedzictwa - wyjaśnił mu słabym głosem anioł. - To właśnie dzięki niej możesz spełnić swoje święte obowiązki posłańca. - Gabriel zachwiał się znowu. - Należy do ciebie, jesteś jej panem.

Dopiero wtedy Aaron zorientował się, że jego moc nigdy nie zniknęła, lecz była przy nim cały czas, zagłuszona jego brakiem pewności - czekając cierpliwie, aż Aaron dojrzeje na tyle, by zrobić z niej właściwy użytek.

- Zawładnij tą mocą, ujarzmij ją. - Gabriel odwrócił się na chwilę i obrzucił wzrokiem zbliżającą się bestię. - Pokaż, że jesteś emisariuszem Nieba.

Lewiatan był już prawie nad nimi. Aaron zamknął oczy i wyobraził sobie to, co sam stworzył, by powstrzymać swoją wyrrywającą się moc. Zobaczył siebie stojącego przed wielką bramą, którą zaprojektował na potrzeby własnego umysłu - wyciosaną z kłoców potężnego drzewa. Widział wcześniej coś takiego w filmach; podobne wrota miały zatrzymać na przykład King Konga na Wyspie Czaszek. Brama była zamknięta na zamek, a w samym jego

środku znajdował się otwór na klucz. Wtedy Aaron wyobraził sobie starodawny klucz i z wahaniem włożył go do zamka. Wrota szczęknęły i zatrzesły się, jak gdyby po drugiej stronie jakaś olbrzymia istota czekała, aż ktoś ją wypuści. Aaron słyszał, jak oddycha: powoli i miarowo, niczym rozpędzająca się lokomotywa parowa.

Ociągając się trochę, przekręcił klucz w zamku. Wiedział, że musi to zrobić - nie mógł się już dłużej obawiać drzemiącej w nim mocy; miał zbyt wiele do stracenia, by dać się pokonać strachowi. Wstrzymał oddech i nasłuchiwał dźwięku odblokowanego mechanizmu. Klik.

Dobiegające zza wrót miarowe oddychanie nagle ustało. Aaron poczuł rosnące w nim podniecenie, gdyż wiedział doskonale, co powinien teraz uczynić. Bez dalszego ociągania się otworzył drewnianą bramę i wypuścił swoją moc na wolność.

Aaron stłumił w sobie krzyk, obserwując, jak na jego ciele uwidaczniają się starożytne znaki. Pojawiały się na skórze, a ta sprawiała wrażenie, jakby się tliła. Nie miał pojęcia, co oznaczają owe symbole, ale wiedział, że zwiastują wyzwolenie drzemiącej w nim mocy.

Tym razem przemiana nastąpiła dużo mniej boleśnie i nie całkiem nieprzyjemnie - tak jak to miało miejsce przed walką z Werchielem. Tak musi chyba wyglądać największy kac na świecie - pomyślał Aaron, czując, jak jego ciało ulega transformacji. Mięśnie, z których istnienia dopiero niedawno zdał sobie sprawę, napinały się gwałtownie, wypychając ukryte pod skórą skrzydła. Skrzywił się, kiedy skóra na plecach pękła i rozdarła się, ustępując miejsca potężnym skrzydłom, gotowym unieść go w górę. Aaron rozpostarł je i poczuł, jak zaczynają łopotać, przecinając powietrze z ogromną łatwością.

Zakręciło mu się w głowie od nadmiaru mocy. Oszołomiła go. Wiedział, że chce tylko eksplodować i zmiażdżyć pierwszego napotkanego wroga - a potem następnego. Ta moc, zawarta w nim, nie tylko karmiła się walką w najczystszej postaci - ona się nią upajała.

Gdy przemiana już się niemal dokonała, Aaron spojrział nowymi oczami na broń, którą wciąż trzymał w ręce.

- To nie jest mój miecz - powiedział głosem dzikiego drapieżnika i odrzucił świetliste ostrze jego właścicielowi, Archaniołowi Gabrielowi, który złapał je z łatwością, nabierając natychmiast sił za sprawą promieniującego oręża.

W dłoni Aarona wyrósł natomiast inny miecz, któremu przyglądał się on z rosnącym podekscytowaniem.

- Ten należy do mnie - stwierdził, podziwiając ostrze, które rozrzucało wokół snopy iskier.

- Tak - przytaknął Gabriel. - Nie da się ukryć. Moc rozśpiewała się w nim pełnym głosem, tak że Aaron nie pamiętał już, czego właściwie się obawiał.

Trwało to jednak tylko krótką chwilę, gdyż zaraz potem Lewiatan zaatakował z furją.

- Znalazłem cię, Nefilimie - ryknął, łypiąc na niego jednym wytrzeszczonym okiem, podczas gdy z drugiego wciąż spływał gęsty, żółty śluz. - A to, co znajduję, staje się moje.

Zanim Aaron zdążył zareagować, poczuł, jak jego umysł zostaje brutalnie zaatakowany i zmienia się całkowicie jego percepcja rzeczywistości. Nie stał już w podwodnej jaskini, z ognistym mieczem w dłoni, szykując się na odparcie ataku unoszącego się nad nim potwora. Znajdował się teraz w salonie w swoim ukochanym domu w Lynn (w stanie Massachusetts), razem z rodzicami, którzy siedzieli, rozparci wygodnie w ulubionych fotelach. Był piątkowy wieczór - a to oznaczało w domu Stanleyów cotygodniowy seans filmowy.

- Zostaniesz z nami, żeby obejrzeć film, czy wychodzisz? - spytał Tom Stanley, pokazując mu pudełko z filmem DVD z wypożyczalni.

Aaron uśmiechnął się do ojca smutno, czując, jak radość miesza się w nim z rozpaczą - ale nie potrafił sobie przypomnieć, co spowodowało taki stan.

W głębi duszy poczuł coś zupełnie innego. Jakieś nowe uczucie próbowało skutecznie zagłuszyć emocje płynące z jego serca. Aaron skrzywił się i zamrugał gwałtownie oczami - nie wiedział, jak poradzić sobie z tak nagłą huśtawką nastrojów. Co się ze mną dzieje? - zadał sobie pytanie. Wiedział przecież, że jest już za stary, żeby zrzucić wszystko na burzliwy okres dojrzewania.

- To nowy Schwarzenegger - wyjaśnił mu ojciec. - Ten, w którym terroryści mordują mu całą rodzinę, a Arnold się mści. - Na jego twarzy zagościł uśmiech podniecenia.

- On zawsze lubił takie filmy... - Aaron usłyszał głos, dochodzący z jego głowy, który brzmiał bardziej jak pomruk jakiegoś zwierzęcia niż jak jego własne myśli. I zadrzał znowu.

- Wszystko w porządku, kochanie? - spytała z wysokości kanapy jedyna matka, jaką w życiu znał, odkładając na bok ostatni romans, który czytała. - Wyglądasz, jakbyś był trochę nieobecny - dodała z autentyczną troską w głosie. - Może usiądź z nami i obejrzyj film, a ja naleję ci zupę.

Głos w głowie Aarona powrócił.

- To jej pierwsza linia obrony przeciwko wszystkim chorobom... - powiedział, dając Aaronowi chwilę, by zrozumiał znaczenie tych słów. - Ale zupa nie pomogła jej ani trochę w uniknięciu śmierci z rąk Werchiela.

W sercu Aarona zapłonął gniew napędzany rozpaczą, a jego prawa dłoń nagle zaczęła go szczytać i łaskotać, jakby zdrętwiała. Aaron poczuł, że ta dłoń staje się coraz cieplejsza.

Lori Stanley wstała.

- No dalej - powiedziała, kładąc mu rękę na ramieniu. - Usiądź razem ze Steviem i Gabrielem, a ja zrobię ci coś do jedzenia. - To mówiąc, wyszła do kuchni.

Dopiero teraz Aaron zauważył swojego młodszego brata, który siedział na dywanie, otoczony klockami w różnorodnych kształtach i najróżniejszej wielkości. Obok niego smacznie chrapał pies, oddychając miarowo i rytmicznie. Aaron podrapał się w swędzącą dłoń i zastanowił się, gdzie mógł wcześniej słyszeć to imię - Werchiel.

- Mam przecucie, że to będzie naprawdę dobry film - odezwał się jego ojciec, oglądając zdjęcie na przedniej okładce pudełka z filmem. Nieobecny duchem Aaron spojrział w dół i zobaczył, że chłopiec układa z kolorowych klocków z literkami jakiś napis. Ale to przecież niemożliwe - Stevie ledwo potrafił mówić, a co dopiero pisać.

Aaron ukląkł obok brata, targany emocjami, które starały się przejąć nad nim kontrolę. Nie miał pojęcia, co się z nim dzieje, dopóki nie przeczytał napisu z klocków.

TWOI RODZICE NIE ŻYJĄ - głosiły kolorowe literki, które - Aaron przypomniał sobie nagle - miały z tyłu magnesy, tak żeby można je było przymocować do drzwi lodówki.

Zerwał się na równe nogi, a w jego dłoni rozgorzał niewielki płomień. Kiedy do pokoju weszła Lori, niosąc dymiący talerz z zupą, Aaron trzymał w ręce ognisty miecz i przyglądał mu się z niekłamanym podziwem, jakby widział go pierwszy raz w życiu.

- Siadaj, Aaronie. - Ojciec machnął ręką, pokazując mu, żeby nie zasłaniał ekranu. - To będzie najlepszy seans filmowy w historii. - Wskazał mu miejsce na kanapie. Już nie musiał się przejmować tymi wszystkimi sprzecznymi emocjami, które nim miotaly - i mógł zapomnieć, że trzyma w ręce ognisty miecz.

- Oto twoja zupa - powiedziała Lori, podając mu talerz. - Krupnik, taki jak lubisz.

Aaron miał ogromną ochotę zjeść porcję gorącego, pożywnego krupniku, ale coś w środku - coś potężnego i bardzo rozzłoszczonego - przekonywało go, że to nie tak powinno być. Że to wszystko jest kłamstwem.

Aaron spojrział jeszcze raz na napis ułożony z klocków.

TWOI RODZICE NIE ŻYJĄ. Te słowa były jak potężne uderzenia dwuręcznego młota, który skuwał fasadę nieistniejącego świata. Aaron zaczął krzyczeć, a potem zaatakował ognistym mieczem, poddając się furii, która za wszelką cenę chciała mu pokazać, że otaczająca go rzeczywistość jest kłamstwem i nie powinien dawać jej wiary. Dlatego nie poczuł absolutnie nic, kiedy wbił gorejące ostrze w ciało postaci, która udawała jego matkę.

Lori wydała z siebie żalony krzyk, przypominający pisk hamulców na mokrej nawierzchni. Chwilę później dołączył do niej ojciec Aarona, który także zajął się ogniem, a jego zwęglone ciało osunęło się na bok, wciąż ściskając w ręce pudełko z filmem DVD.

- To wszystko kłamstwo - wycedził Aaron, pozwalając, by płomienie przeskoczyły na meble w salonie i wypaliły iluzję, która istniała tylko w jego umyśle. Krzyki fałszywych rodziców brzmiały coraz głośniej.

Aaronowi wróciła świadomość i zdołał jakoś otrząsnąć się z mentalnego uścisku Lewiatana, wzdygając się na wspomnienie brutalności i przemocy obecnej w jego własnych myślach. Morska bestia roztoczyła przed nim fałszywą wizję prywatnego Raju. Ale Aaron przejrzał ów pseudo Raj i wypalił go żywym ogniem, zadając cios śmiertelnemu wrogowi. W zamian podsunął Lewiatanowi inną wersję Raju. Nie miał wątpliwości, że bestia nie byłaby w stanie stworzyć jej w umysłach swoich ofiar. - Raj Aarona zakładał bowiem ostateczny upadek potwora.

Lewiatan nie mógł znieść tej wizji. Potwór zaryczał wściekle, chwycił Aarona i cisnął nim, zanim ten zdążył zareagować. Nie mogąc rozwinąć skrzydeł, spętanych przez setki macek, Aaron przeleciał jak z procy przez całą jaskinię, odbił się od ściany i upadł na ziemię.

- Co się stało? - Aaron, ślizgając się na rozsypanych kamieniach, spróbował podnieść się na nogi. Gdy mu się już udało, rozłożył wspaniałe, czarne jak heban skrzydła, wachlując się nimi w zatęchłym powietrzu podwodnej jaskini. - Zobaczyłeś coś, co ci się nie podobało?

Wyczuł, że drzemiąca w nim moc potrafi być okrutna - karmi się słabością nieprzyjaciela, podważa pancerne płyty jego zbroi i wiedział, że nie cofnie się przed niczym, by zniszczyć poczwagę. Zastanawiał się, do czego jest jeszcze w stanie się posunąć i - jeśli zajdzie taka konieczność - czy jest wystarczająco silny, żeby zapanować nad mocą. Pozostała tylko nadzieja, że nie będzie musiał się o tym przekonać w praktyce.

Aaron rozwinął skrzydła i wzbił się w powietrze, szykując miecz do walki. Z jego ust wydobył się przeraźliwy okrzyk wojenny, który jednocześnie zachwycił go i przeraził swoją dzikością. Runął na kołyszącego się potwora, gotów zatopić płonące ostrze w jego ciele i zakończyć raz na zawsze ten koszmar, który zagrażał miasteczku Blithe - i całemu światu.

Ciał kilkakrotnie na wpół oślepioną bestię. W zetknięciu z pancerną skórą Lewiatana, ostrze rozbłysło tysiącem iskieł, ale nie wyrządziło mu większej szkody. Pokrywające bestię łuski były niczym płytowa zbroja, chroniąca pradawne monstrum przed każdym atakiem. Moc kierująca Aaronem zawyła z gniewu, a on sam próbował zagłuszyć tętniącą żądę krwi, by móc spokojnie przemyśleć dalsze działania. Prymitywna siła była jednak tak mocna i upajająca, że Aaron mógł jedynie w bitewnym szale po raz kolejny rzucić się na potwora.

- Możesz sobie walić do woli, nędzny robaku - zarechotał Lewiatan, kiedy ostrze miecza skrzeszło w powietrzu snopy iskier, uderzając w - zdawałoby się niezniszczalny - pancerz. - Nie robi to na mnie żadnego wrażenia.

To mówiąc, owinął jedną ze swoich długich macek wokół kostki Aarona. Zanim ten podniósł miecz, żeby odciąć wijące się odnóże, potwór zareagował, rzucając nim brutalnie o ścianę. Aaron z całym impetem uderzył głową i tułowiem o twardą skałę, czując, jak całe jego ciało sztywnieje z bólu.

- Każdy z tamtych uważał się za kogoś wyższego, lepszego od innych - ciągnął dalej potwór, waląc bezwładnym Aaronem raz za razem o ścianę. - Sprawiedliwi sładzy dobra przeciwko nikczemnemu złu - czy można mieć jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości, jak takie starcie musiało się zakończyć?

Lewiatan cisnął wreszcie Aaronem o ziemię; Nefilimowi z trudem udało się nie stracić przytomności. Rozbudzona w nim moc nie składała jeszcze broni, ale i ona wydawała się bezradna w obliczu brutalności ataków bestii ze starożytnej otchłani.

Aaron usłyszał, jak potwór przesuwając całe kolosalne cielsko w jego stronę, a potem rozległ się dźwięk przypominający spadający z nieba deszcz. Zanim zdążył go rozpoznać, poczuł na ręce chitynowe odnóże jednego z pajęczych dzieci Lewiatana. Pozostałe również wyszły spod pancerza bestii. Aaron poczuł, jak wspinają mu się na nogi i plecy. Zadrzał z obrzydzenia.

- Ale żaden z nich nie zdawał sobie sprawy, z jak wielką mocą przyjdzie mu się zmierzyć - przechwalał się dalej potwór. - Zbytnią pewnością siebie zawsze prowadziła ich do zguby.

Aaron poczuł, że Lewiatan próbuje znów przeniknąć do jego umysłu i zablokował go na jakiś czas, wznosząc przed nim wzmocniony mur, za którym zamknął także swoją anielską naturę w obawie, że kolejny wybuch jej furii może wyrządzić komuś krzywdę. Musiał znaleźć jakiś sposób, żeby zniszczyć potwora, zanim on zniszczy jego, a czas był tu na wagę złota.

Podniósł się z ziemi, uniemożliwiając pająkom wspinającym się po ubraniu przedostanie się do jego ust. Gdyby wpełzły do wnętrza, mogłyby uczynić go na tyle uległym, że potwór poradziłby sobie z nim bez najmniejszego trudu. Aaron nie zamierzał na to pozwolić; strącił z siebie sługi Lewiatana, a potem rozwinął potężne skrzydła i załopotał nimi z furją, siejąc spustoszenie wśród pajęczej hordy.

Lewiatan podpełzł bliżej i otworzył zranione oko, by lepiej przyjrzeć się przeciwnikowi. Rozcięty oczodół zaczął się już goić, chociaż wciąż było widać ranę, zadaną świetlistym mieczem Aarona.

- Nie masz dokąd uciec, nie jesteś w stanie się przede mną ukryć - ryknął triumfalnie.  
- Inni, dużo silniejsi od ciebie, próbowali mnie zniszczyć - i zobacz, jaki spotkał ich los.

Aaron odwrócił głowę w stronę leżących na ziemi porozcinanych worków. Widział, że część aniołów wciąż leży, spowita kokonami; niektórzy z pewnością już nie żyli - potwór wysłał z nich życiową energię na długo przed tym, zanim zjawił się tu Aaron.

Anielska natura chłopaka wyrwała się zza postawionych osłon, by kontynuować przerwana walkę. Aaron zacisnął zęby z wysiłku, spętał moc mentalną kolczatką i przyciągnął do siebie jak nieposłusznego psa. Moc wiła się w uścisku i walczyła, by móc zmaterializować znów ognisty miecz i rzucić się w wir walki - nakłaniając przy tym Aarona, by stawiał czoło pradawnemu złu, przybyłemu z otchłani czasu.

Ale Aaron miał inny plan. Mimo iż powstrzymanie się od walki było bez wątpienia jedną z najtrudniejszych rzeczy, z jakimi przyszło mu się kiedykolwiek zmierzyć, stłumił w sobie okrzyki bólu, jaki wywoływała stawiająca mu opór anielska moc.

- Jeszcze nie teraz - wycedził przez zęby, śledząc zbliżającego się wroga. W dłoni poczuł znów świetliste ostrze, ale odrzucił je, skupiając teraz całą uwagę na sunącym w jego stronę potworze.

- Jaką zabawę szykujesz dla mnie tym razem, Nefilimie? - Lewiatan spodziewał się, że w każdej chwili walka rozgorzeje na nowo.

Aaron pokręcił głową, patrząc prosto w oczy monstrum.

- Żadnych zabaw - powiedział i wyciągnął puste dłonie, żeby pokazać potworowi, iż nie ma w nich broni. - Nie mogę już dłużej z tobą walczyć.

Lewiatan wybuchnął potwornym, bulgoczącym śmiechem.

- Ależ ty jesteś wrażliwy, Nefilimie - powiedział, unosząc w górę wijące się macki.

Aaron stanął przed nim i podniósł ręce w geście kapitulacji. Wciąż czuł ból, który przeszywał go, ilekroć próbował okiełznać walczącą w nim moc. Powstrzymywał ją, gdyż uznał, że nie nadszedł jeszcze właściwy czas.

- Weź mnie - powiedział do przypominającej gigantycznego robaka istoty, żyjącej od zarania dziejów.

Lewiatan pochwycił go i podniósł w kierunku wygłodniałej paszczy.

- Chętnie skorzystam z twojej mocy - oznajmił, z lodowatym spojrzeniem nieruchomych oczu; z rozwartej gęby ciekła w dół gęsta ślina.

- Możesz mnie zeżreć! - krzyknął Aaron. - I mam nadzieję, że się udławisz! - dodał, gdy paszcza potwora zamknęła się za nim.

Nozdrza Aarona zaatakował niewyobrażalny smród. Potwór cuchnął w środku jeszcze gorzej niż na zewnątrz. Aaron przypomniał sobie zapach myszy, która zdechła za ścianą w kuchni w domu Stanleyów - wtedy zdawało mu się, że nic nie może śmierdzieć bardziej niż ona.

Ale mylił się, i to bardzo.

Pomyślał, że wolałby chyba nosić do końca życia tego zdechłego gryzonia w charakterze ozdoby na szyi niż znosić potworny smród, dobiegający z wnętrza Lewiatana.

Gdyby nie gęsta, nawilżająca ciecz, po której Aaron ześlizgnął się w dół gardła bestii i wpadł do przelyku, fetor wydzielany przez układ trawienny Lewiatana doprowadziłby go do utraty przytomności.

Soki trawienne potwora zaczęły natychmiast działać. Aaron czuł, jak piecze go skóra; ogarnęła go też fala ogromnego zmęczenia po walce. Za to anielska moc stawała się coraz bardziej potulna i Aaron wiedział, że już niebawem będzie mógł zrealizować swój plan.

Wnętrze potwora bulgotało i kurczyło się w gwałtownych spazmach, kiedy Aaron przeciskał się przez, jak sądził, przelyk, kierując się w dół, do jednego z pozostałych worków trawiennych Lewiatana. Coraz trudniej było oddychać, powieki stawały się coraz cięższe. Aaron zwalczył jednak pokusę drzemki, mając świeżo w pamięci los, jaki przypadł w udziale innym strawionym przez potwora aniołom.

W jakiś niesłychanie perwersyjny sposób, ta podróż w dół układu trawiennego bestii przypominała Aaronowi wycieczkę do parku wodnego, gdzie też zjeżdżał w dół podobnymi tunelami. Próbował obrócić się w taki sposób, żeby widzieć, dokąd zmierza. Ale w brzuchu Lewiatana panowała kompletna ciemność i Aaron musiał przywołać w wyobraźni ognistą kulę, która od tej pory służyła mu za pochodnię w drodze na dno żołądka potwora. Mimo iż nie do końca chciał wiedzieć, co znajdowało się we wnętrzu Lewiatana, gdyż z całą pewnością nie było to najciekawsze miejsce do zwiedzania.

Przewód pokarmowy skręcał gwałtownie i niewiele brakowało, by Aaron wpadł od razu do jednego z worków trawiennych. Tymczasem wcale nie miał takiego zamiaru. Dobył więc ognisty sztylet i wbił go w mięsień ścianę, zatrzymując się. Poczuł, jak jego otoczenie obraca się i wiedział już, że sprawił tym Lewiatanowi i przykrą niespodziankę. Sukinsyn nie ma nawet pojęcia, co to znaczy prawdziwa niestrawność - pomyślał, uwalniając i drzemiącą w sobie moc.

Paradoksalnie, dzięki temu, że został połknięty, zyskał większą szansę odzyskania wolności. Jeśli jego plan się powiedzie, Lewiatan będzie miał dużo więcej powodów do zmartwień, niż mu się zdaje.



W pokrytym śluzem ciele krążyła potworna energia i Aaron czuł, jak z każdą minutą nużąca go senność mija i bezpowrotnie. Usadził się tuż nad żołądkiem i rozłożył skrzydła tak szeroko, jak tylko potrafił, wciąż trzymając się wbitego w ścianę noża, niczym kotwicy, która chroniła go przed zsunieniem się do żołądka wygłodniałej bestii. Teraz, gdy Aaron odzyskał już pełną moc, wymyślił sobie wspaniałą ognistą miecz, rozświetlający przyprawiające go o mdłości otoczenie, w którym znalazł się na własne życzenie.

Zamierzał pokazać Lewiatanowi opłakane skutki jedzenia rzeczy, które nie miały na to ochoty.

Gdyby Lewiatan potrafił się uśmiechać, z pewnością zrobiłby to w tej chwili.

Po przełknięciu ostatniej ofiary, ciało potwora ogarnęła fala zadowolenia, jakiej nie zaznał nigdy wcześniej. Lewiatan czuł pulsującą moc Aarona i wiedział, że właśnie ta siła pozwoli mu zerwać wiążące go okowy, wydostać się na wolność i zapanować nad światem.

Popatrzył na innych, którymi nasycił się wcześniej - niegdyś wspaniałych aniołów, a obecnie bezużyteczne truchła, pozbawione mocy i rozrzucone po ziemi w jego podwodnym więzieniu. Zdał sobie sprawę, że żaden z nich nie smakował mu tak jak ten Nefilim. Pająki ukryte pod łuskami pancerza ruszały się, niespokojne, wyczuwając instynktownie, że niebawem opuszczą jaskinię i wyjdą na świat, na którym zapanują rządy ich pana, Lewiatana.

Lewiatan wiedział, że Stwórca w swojej nieskończonej mądrości wysłał innych, by się z nim rozprawili - żołnierzy niebiańskiej armii. Ale spotka ich dokładnie taki sam los, jak tych, którzy przybyli wcześniej. Moc Nefilima sprawi, że żadna siła nie powstrzyma go przed podporządkowaniem sobie całego świata.

Upojony tą wizją, Lewiatan przygotował się na czekający go przyływ życiodajnej, anielskiej mocy. Oparł kolosalne, napuchnięte cielsko o ścianę jaskini i wyobraził sobie, co czeka go w niedalekiej przyszłości. Po niezliczonych tysiącletniach spędzonych w zamknięciu, miał wreszcie wyjątkową okazję, by odzyskać wolność. Mieszkaniec otchłani wypuści najpierw z jaskini swoich sługusów i pośle ich do najbliższych osad ludzkich, żeby sprowadzili mu do Blithe więcej niewolników. A wtedy będzie miał wystarczającą ilość narzędzi i zasobów ludzkich, by samemu uwolnić się ze skalnej pułapki.

Wtedy rozpocznie się jego dzieło.

Potwór niemalże rozmarzył się, widząc oczami wyobraźni świat, będący odbiciem jego własnej, okrutnej i chaotycznej natury. Wyobrażał sobie ziemię zatopioną w morzu ognia, lądy pochłonięte przez erupcje wulkanów oraz niebo poczerńiałe od pyłu i popiołu, który przesłoni zniechędzone słońce. A wszyscy ci, którzy pozostaną przy życiu i dostąpią

zaszczytu narodzin nowego porządku, zostaną wtrąceni do jaskiń pod dnem oceanów, takich jak ta - tam będą wielbić jego imię w żarliwej modlitwie.

Lewiatanie - wyobrażał sobie ich pełne pokory słowa - czym zasłużyliśmy sobie na ten zaszczyt, by dostąpić twojej olśniewającej chwały? Niech będzie błogosławiony Lewiatan - Pan otchłani, otoczony czcią przez tych...

Nagle Lewiatan poczuł potworny, przeszywający ból, dochodzący gdzieś z wnętrza jego kolosalnej masy. Co gorsze, to palące uczucie wzmagało się. Potwór oderwał się od ściany, o którą się opierał, i w nagłym paroksyzmie bólu uderzył głową o sklepienie jaskini.

- Co to jest? - wyszczał w szoku.

Nigdy wcześniej nie doświadczył równie bolesnego uczucia - jak gdyby w jego ciele rozszalał się wielki pożar. Ale jak to możliwe? - nie dawało mu to spokoju. Ból przybierał na sile, stawał się coraz gorętszy i rozlewał się już z tułowia na całe jego ciało.

- To nie może dziać się naprawdę! - ryknął, kiedy pierwszy z jego ocalałych żołądków eksplodował pod wpływem buzujących w nim soków trawiennych. Lewiatan zawył w agonii, zupełnie bezradny. Kolejny z worków wybuchł z głośnym chlupnięciem, opryskując ściany jaskini gorącym, spienionym śluzem - a potem następny, i jeszcze jeden.

Potwór niemal stracił przytomność z bólu. Zatokował się do tyłu, uderzając z całym impetem w otaczające go skały. Istoty przypominające pająki skrzyżowane z krabami, które do tej pory znajdowały schronienie pod jego pancerzem, teraz rozbiegły się w panice po całej jaskini - doprowadzone do szału przez ból ich żywiciela.

Lewiatan najbardziej na świecie pragnął teraz wydostać się z pułapki i udowodnić Stwórcy, że on także ma powód, aby żyć. Wymarzony obraz jego własnego Raju rozpękł się na kawałki, niczym rozbite lustro. Zobaczył ciemne, wzburzone oceany, które stworzył na nowo - świat pełen chaosu, którego miał być Panem i Władcą.

- To byłoby coś wspaniałego - jęknął Lewiatan, kiedy ognisty miecz eksplodował w samym środku jego wynaturzonego ciała. I zobaczył jeszcze, jak w dymiącej ranie pojawia się coś na kształt promiennej gwiazdy.

## ROZDZIAŁ 12

Kamael powoli wydostał się z rozprutego żołądka i z zaciekawieniem rozejrzał się po nowym otoczeniu. Kiedy wisiał uwięziony w błoniastym worku, coś chciało, by uwierzył, że znalazł się w upragnionym Raju - Aerie, a tysiące lat odosobnienia i cierpienia, których

doświadczyl, zbliżaly się nareszcie do końca. Oto miała się spełnić starożytna przepowiednia: upadły anioły, wygnane na Ziemię, odzyskują przebaczenie w oczach Boga. Cóż za rozkosz!

Lecz gdy Kamael rozejrzył się po podwodnej jaskini, natychmiast wrócił na ziemię. Nie odnalazł Aerie, a miejsce, w którym się znajdował, nie miało nic wspólnego z Rajem. Był od niego równie daleko, jak na samym początku. Wrócił do punktu wyjścia.

Ogarnęła go niewysłowiona rozpacz i Kamael wydał z siebie głośny jęk, który odbił się echem w całej jaskini. To go trochę otrzeźwiło. Anioł odwrócił się i zobaczył potwora Lewiatana, który najwyraźniej związał się w agonii. Morski potwór rzucał się, objając boleśnie o ściany jaskini i wył z bólu.

W dłoni Kamaela zapłonął ognisty miecz, na wypadek gdyby musiał się bronić.

- Udało mu się to, czego my nie zdołaliśmy dokonać - usłyszał obok czyjś głos. Kamael odwrócił się i ujrzał bladego i mizernego Archanioła Gabriela, który z trudem opierał się o kamienną ścianę.

Kiedy Kamael zorientował się, z kim ma do czynienia, skłonił się z szacunkiem.

- O kim mówisz, Wielki Bracie? - spytał, obracając się z powrotem w stronę konającej bestii. %

- O Nefilimie - wyszeptał pokonany emisariusz Nieba. - Ostatnim posłańcu Boga.

- Aaron... - Kamael aż westchnął, obserwując taniec śmierci Lewiatana. Widział tłącą się skórę potwora i zwisające z niej bezwładnie resztki worków trawiennych - takich jak ten, w którym sam był więziony. Żołądki wybuchały jeden po drugim, rozbryzgując wokół fontanny parujących toksyn.

- To byłoby coś wspaniałego - zaryczał oszalały z bólu potwór i wtedy Kamael ujrzał, jak jego brzuch rozpruwa świetlisty miecz, a z ziejącej rany wydostaje się - niczym dziecko przychodzące na świat - anielski wojownik.

Kamael chciał zawołać Nefilima, ale coś kazało mu zamilknąć. Obserwował więc półanioła, półczłowieka z zaskoczeniem i odrobiną strachu.

Nefilim wyskoczył z rany w brzuchu morskiej bestii, łopocząc z furią czarnymi skrzydłami i otrzepując je z resztek śluzu. W dłoni ścisnął ognisty miecz - wspaniałe ostrze, mogące konkurować tylko z tymi, którymi walczyli żołnierze najbardziej elitarnych oddziałów Nieba. Bez wątplenia nie była to ta sama moc, która nieśmiało obudziła się do życia kilka tygodni temu, po tym jak Werchiel zabił rodziców Aarona. Tym razem narodziło się coś zupełnie innego.

Kamael obserwował, jak młody Nefilim unosi się nad konającą bestią, młócąc powietrze potężnymi skrzydłami na wysokości monstrualnego oblicza Lewiatana.

Lewiatan wierzgnął i wypuścił przed siebie długie macki, chcąc pochwycić Nefilima, ale te złapały tylko powietrze. Anioł był dla nich za szybki.

- Bądź przeklęty! - ryknął potwór. Z wielkiej dziury w jego brzuchu wylewały się potoki gęstej, zielonej krwi, która utworzyła już na dnie jaskini małą sadzawkę. - Przeklinam ciebie - i pana, któremu służysz!

Aaron unosił się nad Lewiatanem niewzruszenie, celując w niego ostrzem swojego miecza i szykując się do zadania ostatecznego ciosu. Będący świadkiem tej sceny Kamael aż zadrżał z zachwytu, pomieszanego z podziwem.

- Mam dla ciebie wiadomość od tego, który zasiada na samym szczycie - wrzasnął Nefilim, zamachując się potężnie mieczem i opuszczając go na głowę Lewiatana.

- Jesteś już martwy!

Ostrze miecza z głośnym trzaskiem zetknęło się z twardą czaszką morskiej bestii, zatapiając się w nią niemal po rękojeść.

Potwór rzucił się po raz ostatni, chcąc uniknąć ciosu, ale było już za późno. Chwilę później znieruchomiał.

Aaron wyciągnął miecz z czaszki Lewiatana i wznosił go z dumą nad jego głową, utrzymując się w powietrzu potężnymi uderzeniami połyskujących, czarnych skrzydeł. W jaskini rozległ się przerażający okrzyk zwycięstwa. Kamael patrzył z podziwem, jak gigantyczne ciało starożytnej bestii morskiej zaczyna płonąć. Pierwsze płomienie wystrzeliły pomarańczowym gejzerem z rany w czaszce Lewiatana, rozlewając się w dół i ogarniając po kolei pokrytą łuskami skórę, ciało, mięśnie i kości.

Aaron wylądował na dnie jaskini tuż przed tym, jak kolosalne cielsko potwora osunęło się w wielkim obłoku dymiącego popiołu, a potem z obłąkanym wyrazem twarzy ruszył w kierunku Kamaela. Pająki Lewiatana rozbiegły się po całej jaskini, również ogarnięte ogniem - ostatni dowód na istnienie morskiej bestii wkrótce przestał istnieć.

Kamael zacisnął kurczowo dłonie na rękojeści miecza, nie wiedząc, czego się może spodziewać po Nefilimie. Nie po raz pierwszy był świadkiem szaleństwa, w które popadali ci, którzy odkrywali w sobie anielską naturę.

Aaron stanął przed nim z niebiańskim orężem w dłoni, prezentując się Kamaelowi w całej swojej okazałości. Anioł nie był przekonany, czy w obecnym stanie poradziłby sobie w walce z Nefilimem, ale gotów był podjąć wyzwanie, gdyby zaszła taka konieczność. Żaden z nich nie wypowiedział nawet słowa, lecz anielski wojownik wypatrywał najmniejszych choćby oznak szykującego się natarcia. Gdyby Nefilim zamierzał go zaatakować, musiałby go uprzedzić i uderzyć jako pierwszy, zadając śmiertelny cios.

- Ten drań wyprowadził mnie trochę z równowagi - odezwał się wreszcie Aaron, a na jego poważnej do tej pory twarzy zagościł niepewny uśmiech. - Cieszę się, że nic ci nie jest.

Kamael opuścił swój miecz, przekonany, że psychika Nefilima mimo wszystko wyszła ze starcia bez szwanku i pozostała nietknięta - przynajmniej na jakiś czas.

Aaron położył dłoń na grzbiecie Gabriela, obserwując, jak pies oddycha. Biskoptowe futro labradora było mokre od śluzu.

- Hej - powiedział, lekko potrząsając przyjacielem. - Czas wstawać.

Z początku zwierzę nie odpowiedziało; jego umysł widocznie wciąż błąkał się po psim Raju. Aaron potrząsnął więc trochę mocniej.

- Gabriel, pobudka!

- Ależ ja nie śpię - odpowiedział słabym głosem Archanioł, opierający wycieńczone ciało o ścianę jaskini.

Aaron spojrzał na niego.

- Mówiłem do psa... On też ma na imię Gabriel. - Uśmiechnął się przelotnie i zwrócił się z powrotem do swojego czworonożnego kumpla, który w końcu zaczął się ruszać. - Hej, kolego, jeszcze się nie ocknąłeś?

Labrador wyprężył grzbiet jak struna, a potem rozprostował wszystkie cztery łapy, wydając przy tym niski, gardłowy pomruk, dobiegający gdzieś z wnętrza szerokiej klatki piersiowej. A potem westchnął głęboko i otworzył czekoladowe oczy.

- Miałem piękny sen, Aaronie - powiedział zaspanym głosem. - Goniłem króliki i jadłem mnóstwo pysznych rzeczy.

Aaron z czułością pogłaskał labradora po łbie.

- Możesz to wszystko robić na jawie - nie ryzykując przy tym, że zostaniesz zjedzony przez morskiego potwora.

Pies podniósł głowę i rozejrzał się wokół.

- Gdzie my jesteśmy? - spytał, siadając na tylnych łapach. - Ostatnią rzeczą, jaką pamiętam... była ta stara kobieta. - To wspomnienie wywołało na jego psiej twarzy grymas przerażenia. - Ona czymś we mnie splunęła i potem cały zeszywniałem.

- Tak, wiem. - Aaron skinął głową. - Ale myślę, że już się tym zajęliśmy. - Zerknął w stronę dogasających resztek mitologicznej bestii z dna oceanu.

- Te istoty, które wskakiwały ludziom do ust i zniewalały ich od środka, nie potrafią żyć bez swojego pana i jego rozkazów - wtrącił się Kamael, stojący nad rozprutymi workami, które Aaron odciął od cielska potwora. Sprawdzał, którzy z więźniów Lewiatana jeszcze żyją.

- Każdy z nich tworzył jakąś część tej wielkiej bestii - a części nie mogą funkcjonować bez całości.

Gabriel stanął na zeszywniałych łapach i otrząsnął się z soków trawiennych, które wciąż oblepiały jego futro.

- Uważaj - upomniał go Aaron, instynktownie zasłaniając twarz i machając gniewnie skrzydłami. - Mam już powyżej uszu tego gówna!

- Więc trochę więcej ci nie zaszkodzi - powiedział pies i uśmiechnął się zagadkowym uśmiechem, charakterystycznym dla wszystkich labradorów.

- Może jest jeszcze szansa, że wsadzę cię z powrotem do jednego z tych żołądków - mruknął poważnie Aaron i popatrzył na niego spode łba, mrużąc oczy. W odpowiedzi Gabriel zaszczeakał i pomachał ogonem - nie mogło być nic gorszego niż siedzenie w brzuchu tego okropnego potwora.

- A kto to jest? - spytał nagle pies, podchodząc bliżej i marszcząc nos.

Aaron zauważył, że Archanioł Gabriel przygląda się uważnie swojemu zwierzęcemu imiennikowi.

- Gabrielu - Aaron zwrócił się do psa - przedstawiam ci Gabriela. - To mówiąc, wskazał na anioła.

Gabriel podszedł jeszcze bliżej i obwąchał ostrożnie Archanioła, cały czas machając niepewnie ogonem.

Archanioł Gabriel spojrzał najpierw na psa, a potem na Aarona. Na jego twarzy widać było zdumienie.

- Chcesz powiedzieć, że nazwałeś psa moim imieniem?

Aaron wzruszył ramionami.

- Niezupełnie. Uznałem, że to takie królewskie imię. Kiedy Gabriel był szczeniakiem, taki mi się właśnie wydawał. To wszystko.

- Jako szczeniak bytem naprawdę słodki - dodał labrador, kiwając masywnym łbem.

Wciąż osłabiony anioł ostrożnie podszedł do psa i wyciągnął drżącą dłoń, żeby go pogłaskać. Labrador nie miał najwyraźniej nic przeciwko, bo zaczął ochoczo lizać go po ręce.

- To zwierzę uległo przemianie - powiedział Archanioł, głaszcząc psa po pysku. - Nie jest takie, jakie być powinno. - Anioł obejrzał się za siebie, jakby szukając odpowiedzi gdzieś w mroku za plecami.

- Gabriel jest dla mnie bardzo ważny - odparł Aaron. - Był ciężko ranny, na skraju śmierci. A ja go ocaliłem.

- Ocaliłeś go. - Archanioł Gabriel w zamyśleniu powtórzył jak echo, trzymając psa pod brodą i patrząc mu prosto w jego ciemne, czekoladowe oczy. - I nie tylko. Zrobiłeś dużo więcej.

- To prawda - przytaknął pies.

- Jakich jeszcze cudów potrafisz dokonać, Aaronie Corbet, zwany Nefilimem? - spytał anioł z fascynacją w głosie.

Aaron nie wiedział, co odpowiedzieć. Czuł się skrępowany świdrującym spojrzeniem Bożego posłańca.

- Nie mam pojęcia, ale...

- Aaron został wybrany - odezwał się Kamael. Dawny przywódca Straży Anielskiej klęczał przy rozprutych żołądkach Lewiatana i badał trupy znajdujących się w nich aniołów. Przyglądał się bezwładnym anielskim ciałom - część z nich jeszcze żyła, choć była to raczej agonia, gdyż znajdowali się na granicy życia i śmierci. - Do czego jeszcze jest zdolny? Chociażby do tego, by wysłać wszystkich naszych upadłych braci z powrotem do domu Ojca.

Aaron przypomniał sobie, co zrobił dla umierającego Ezekiela - o tym, jak moc, którą dopiero niedawno w sobie odkrył, przebaczyła upadłemu aniołowi jego grzechy i pozwoliła mu wrócić do Nieba. Owa zdolność odkupienia była esencją starożytniej przepowiedni, która całkowicie odmieniła życie Aarona. I czy mu się to podobało, czy nie, jego zadaniem było doprowadzić do zjednoczenia upadłych aniołów na Ziemi z ich Stwórcą w Niebie.

Aaron czuł, że coś go przyciąga do umierających aniołów. Poczul silne mrowienie, jakby w jego ciele gromadziły się potężne ładunki elektryczne. Aaron zdążył już poznać to uczucie i oswoić się z nim. Przechodząc wśród rozrzuconych po dnie jaskini ciał, z których cała energia życiowa została wyssana przez żarłoczną bestię zrodzoną z chaosu, czuł, jak ogarnia go przejmujący smutek. Od jak dawna - przez ile stuleci - ten potwór ściągał ich tutaj? - zastanawiał się, patrząc na tych, którzy kiedyś odznaczali się wyjątkową pięknnością, a teraz stanowili jedynie puste skorupy, będące marną imitacją swojej dawnej chwały. Znajdowali się tu ci, którzy stracili zaufanie swojego Pana, niegdyś walczący w jego służbie żołnierze, a teraz bezbronni, poskręcane niczym konary umarłego drzewa anielskie istoty. Wszyscy leżeli tu, jeden obok drugiego, i wszyscy desperacko pragnęli tylko jednej rzeczy. Wolności.

Aaron czuł wyraźnie ich smutek i wstyd. Wiedział dokładnie, jak ma postąpić; z tą świadomością czuł się zupełnie naturalnie, jakby to od zawsze była jego druga natura.

Aaron po kolei kładł na każdym ręce, czując, jak wir mocy spływa w dół jego ramion, aż po same koniuszki palców. Bez względu na to, czy byli to Orisha, upadli aniołowie czy

żołnierze elitarnych niebiańskich jednostek, wysłani po to, by ich zniszczyć, Aaron dotykał ich kolejno, napelniając konające dusze nową energią i siłą odkupienia.

- To już koniec - powiedział, a ciała poległych aniołów rozjarzyły się niezwykłym blaskiem, niczym gwiazdy, które spadły z nieba, lecz nie straciły nic ze swojej wyjątkowej urody.

Kamael cofnął się, skąpany w świetle dokonującej się na jego oczach transformacji i Aaronowi przeszło przez myśl, czy wyraz twarzy potężnego anielskiego wojowni - i ka nie świadczy czasem o jego zazdrości.

To, jak nisko upadli ci aniołowie, stając się pokarmem w żołądku bestii, teraz nie miało już żadnego znaczenia - za sprawą Aarona odzyskiwali właśnie dawny blask utraconej chwały.

- Jesteście wolni - powiedział Aaron do unoszących się | nisko nad ziemią świetlistych postaci, upajając się widokiem ich ponownych narodzin. Rozłożył połyskliwe czarne skrzydła i otworzył szeroko ramiona. - Czas wracać do domu - oświadczył. Gdy tylko wypowiedział te słowa, nieprzenikniony mrok panujący w kryjówce Lewiatana, rozjaśniło Boskie światło, a ostatnie ślady czającego się tu zła i chowające się po kątach potomstwo potwora zniknęły w oślepiającym blasku niebiańskich promieni.

Ożywieni aniołowie otoczyli Archaniola Gabriela, unosząc się wokół Boskiego posłańca, który skąpany w ich iluminacji - Aaron widział to wyraźnie, mimo oślepiającego światła - nabierał stopniowo sił, czerpiąc energię wprost od swoich braci.

Aaron odczuł ogromną ulgę, widząc, jak niebiańskie istoty, które cierpiały tak długo, wreszcie odnalazły spokój i ukojenie. Uznał, że może już pozwolić swojemu anielskiemu współlokatorowi powrócić do swego ciała - anielska moc też się uspokoiła, przynajmniej na jakiś czas. Tajemne znaki na skórze Aarona zaczęły zanikać, podobnie jak skrzydła, które zwinięte schowały się pod skórą na jego plecach. Kamael i Gabriel dołączyli do niego, nie chcąc w żaden sposób przeszkadzać wypuszczonym na wolność po długiej rozłące aniołom.

- Są chyba bardzo szczęśliwi, że mogą znów się zobaczyć - uznał Gabriel, machając radośnie ogonem.

- Bardzo im brakowało wzajemnego towarzystwa - odparł Kamael, odwracając na chwilę wzrok. Aaron zastanowił się, czy wojownik nie mówi tego do pewnego stopnia także we własnym imieniu.

Archaniół Gabriel odzyskał pierwotną moc i chwałę. Jego zbroja błyszczała, jakby została przed chwilą wykuta i wypolerowana. Za plecami rozpościerały się wspaniałe



skrzydła w kolorze świeżo spadłego śniegu. Ich rozpiętość robiła wrażenie, zwłaszcza kiedy Gabriel otoczył nimi swoich braci, przyciągając ich bliżej.

- Chcemy ci podziękować, drogi posłańcze - rozległ się potężny, wibrujący w powietrzu głos, który przypominał najniższe tony kościelnych organów. - Pokonałeś potwora - a my dzięki tobie odzyskaliśmy upragnioną wolność.

Aaron zaniemówił. Nawet po wszystkim, co już widział w ciągu kilku ostatnich, obfitujących w przygody miesięcy, scena, której teraz był świadkiem, napawała go wielkim podziwem. Wszyscy aniołowie unosili się w powietrzu, a w centrum ich wszechświata znajdował się Archanioł Gabriel, obejmujący w braterskim uścisku wszystkich, którzy uniknęli dalszej męczarni. Zabierał ich z powrotem - Archanioł Gabriel eskortował swoje anioły w drodze do domu.

- Wiedz, że moje błogosławieństwo będzie ci towarzyszyć w dalszej drodze, dzielny Nefilimie - anioł mówił dalej. - A o twoich heroicznych czynach usłyszą w królestwie Boga.

Pies Gabriel trącił pyskiem dłoń swojego pana.

- Słyszałeś, Aaronie! - ucieszył się. - Będą o tobie mówić w Niebie!

Aaron machinalnie pogłaskał przyjaciela, nadal zafascynowany rozgrywającą się przed jego oczami sceną.

- Dzięki tym odważnym czynom udało ci się zmazać grzechy swojego ojca i wypełnić słowa zawarte w przepowiedni...

Oczarowany melodyjnym głosem, Aaron zdał sobie w pewnym momencie sprawę, że nie pojmuje do końca anielskich słów. Z czasem jednak prawda zaczęła wsączać się wprost do jego mózgu, zapalając czerwoną, ostrzegawczą lampkę.

Nie usłyszał już ostatnich słów podziękowań. Archanioł Gabriel zadarł wysoko głowę w stronę sklepienia jaskini i niemal natychmiast mrok rozproszyła jasna poświata. Archanioł dobył swojego miecza - Posłańca Światła - i wskazał czubkiem ostrza sklepienie, jak gdyby wyznaczając kierunek, wysoko ponad jaskinią i światem ludzi.

Aaron rzucił się do przodu, chroniąc oczy przed intensywnym blaskiem.

- Zaczekaj! - krzyknął, próbując odnaleźć wzrokiem Archanioła. - Czy powiedziałaś: mojego ojca?

Widział jedynie zarysy anielskiej postaci, otoczonej olbrzymią kulą światła. Przez zmrużone oczy zobaczył jednak, że Archanioł Gabriel patrzy na niego.

- Grzechy mojego ojca? - zapytał Aaron w akcie desperacji, mając nadzieję, że Boży posłaniec wyjaśni mu znaczenie tych słów. - Wiesz, kim był mój ojciec? Proszę...

Światło rozblysło z taką siłą, że Aaron musiał się odwrócić, żeby nie oslepnąć.

- Jesteś synem swojego ojca - dobiegł go głos anioła z wnętrza świetlistej sfery. - Z początku nie dostrzegłem w tobie podobieństwa, ale potem stało się ono dla mnie oczywiste.

Widząc, że Archanioł odwraca się plecami i zamierza dołączyć do reszty swojej świty, Aaron wykrzyczał błagalnym tonem: - Jeżeli znasz mojego ojca, powiedz mi coś na jego temat... cokolwiek! Błagam cię!

Czuł potężną, Boską moc, przyciągającą aniołów z powrotem do Nieba. Chciał rzucić się w stronę tego światła i zatrzymać Archanioła Gabriela siłą - dopóki nie wyjawি mu tożsamości jego ojca.

Wtedy rozbrzmiały dźwięki, jakby członkowie największej orkiestry świata zagraли razem w tym samym momencie - i Aaron wiedział, że to tylko kwestia kilku sekund, zanim aniołowie znikną bezpowrotnie, a wraz z nimi cała bezcenna wiedza, którą posiadali.

Upadł na kolana na dnie jaskini, wyczerpany psychicznie i fizycznie.

- Jesteś posłańcem, przynosisz nowinę... - Spróbował po raz ostatni, mając nadzieję, że zostanie usłyszany. - Daj mi jakiś znak... daj mi cokolwiek.

Światło rozbłysło na moment jeszcze jaśniej, po czym zapadła głucha cisza. Aniołowie powrócili do domu. Ale zanim to się stało, Aaron usłyszał gdzieś wewnątrz swojej głowy szept Archanioła Gabriela: - Masz jego oczy. Masz oczy swojego ojca.

## ROZDZIAŁ 13

Mieszkańcy Blithe wymiotowali jak na komendę - jakby ulegli zbiorowemu zatruciu. Aaron wiedział dokładnie, co teraz czują, choć nie miał w brzuchu kraba ani żadnego innego pająka. Dowiedział się za to czegoś o swoim prawdziwym ojcu, i o tym, że przepowiednia łączy się w jakiś sposób z popełnionymi przez niego grzechami. Wiedział też, że odziedziczył po ojcu oczy. Zdawało mu się, że zaraz też zwymiotuje.

Aaron, Kamael i Gabriel podążali w górę kopalnianym szybem, który ciągnął się od kryjówki Lewiatana do jednej z sal, w których mieszkańcy miasteczka wydobywali ziemię i gruz z rozkazu morskiej bestii.

- To obrzydliwe - skrzywił się Gabriel i Aaron nie mógł się z nim nie zgodzić. Ludzie, którzy w pocie czoła usuwali z szybu tysiące ton ziemi, kamieni skał, żeby tylko uwolnić potwora, nagle przerwali pracę. Wypuszczali! z rąk narzędzia i zwijali się w okropnych boleściachich ciałami wstrząsały silne torsje, wraz z którymi z ust i wypadały im różne szkarady, które wcześniej wpełzły tam, by mieć nad nimi władzę.

- Nic im nie będzie? - Aaron zmarszczył nos ze wstrętem.

- Organizmy tych ludzi pozbywają się sługusów Lewiatana - odparł Kamael, bardziej zblazowany niż zde gustowany. - Sądzę, że szybko wrócą do zdrowia - jak tylko uda im się oczyścić ciała z martwych potworów oraz z ich gniazd.

Ziemia wokół była dosłownie usiana pozostałościami naj obrzydł i wszy ch stworzeń, jakie kiedykolwiek stąpały po tej ziemi; część znajdowała się już w stanie zaawansowanego rozkładu.

Aaron nie do końca wiedział, co ma uczynić z wiedzą, którą przed chwilą posiadał. Nie dostał przecież adresu ani numeru telefonu swojego prawdziwego ojca. Tożsamość człowieka - anioła - który go spłodził, pozostawała dla niego całkowitą zagadką, do której rozwikłania nie miał teraz głowy. Zdecydował więc, że zajmie się tym później, kiedy wszystko jakoś się wyjaśni - i wróci do normy. Na samą myśl o tym, że jego życie może być kiedykolwiek takie jak dawniej, Aaron roześmiał się pod nosem.

- Zastanawia mnie, jak długo te istoty w nich siedziały - powiedział na głos, żeby zapomnieć o nekających go czarnych myślach, kiedy wyszli z mniejszej jaskini. Z każdą chwilą narastało w nim coraz większe obrzydzenie.

- Przypuszczam, że od chwili, w której Werchiel porzucił swoją świętą misję i oddał się kolejnej, jeszcze bardziej obsesyjnej - zrobić wszystko, byle nie doprowadzić do wypełnienia przepowiedni - odpowiedział Kamael, gdy już zagłębili się w tunel, który - mieli taką nadzieję - wyprowadzi ich na powierzchnię.

- Czy powinienem czuć się za to w jakimś stopniu odpowiedzialny? - spytał Aaron. Ścieżka wijąca się pod ich stopami zaczęła piąć się w górę. Po drodze mijali kolejnych mieszkańców Blithe, z których wielu na skutek gwałtownych wymiotów straciło przytomność, a nawet zmarło.

- W pewnym sensie, tak. - Anioł pokiwał głową. - Rezygnując ze swoich, pierwotnie wyznaczonych im zadań, Straż Anielska dopuściła do tego, aby siły chaosu zamieszkały na Ziemi i spokojnie, przez nikogo nie niepokojone, rosły w siłę. Drzę na samą myśl o tym, jakie j jeszcze obłąkane żądzą nienawiści potwory czają się w głębi ziemi i pod dnem oceanów.

- Super. - Aaron westchnął ciężko. - Nie żeby m chciał iść na łatwiznę, czy coś w tym rodzaju. Ale niedługo zacznę się zastanawiać, czy aby na pewno nie mam nic wspólnego z globalnym ociepleniem - rzucił z sarkazmem. - Będziemy musieli się temu lepiej przyjrzeć.

Gabriel, który biegł kilka metrów przed nimi, nagle zatrzymał się i zaczął szcze kać.

- Jesteśmy już prawie na powierzchni! - wołał, uradowany. Zaczekał, aż Kamael i Aaron go dogonią, po czym popędził znów naprzód. Aaron domyślał się, że pies ma już

serdecznie dość podziemi i marzy tylko o tym, żeby odetchnąć wreszcie świeżym powietrzem.

W końcu wyłonili się z tunelu w miejscu, w którym znajdował się główny wykop, w samym sercu dawnej fabryki łodzi. Aaron zauważył, że ciężki sprzęt górniczy stoi porzucony, a jedynym dźwiękiem, jaki dało się słyszeć, były odgłosy wymiotujących ludzi. Gdziekolwiek spojrzął, wszędzie widział ich zgiętych w pół lub leżących nieruchomo na ziemi.

- Tego już za wiele - jęknął. - Te stwory musiały zasiedlić chyba każdego człowieka w tym mieście.

Z dna wykopu na powierzchnię prowadziła szeroka, utwardzona ścieżka, po której na sam dół mogły zjeżdżać ciężarówki wywożące później ziemię i gruz. Aaron i jego towarzysze wspięli się po tej pochylni i w ten sposób dotarli na powierzchnię.

Idąc w stronę drzwi prowadzących na zewnątrz fabryki, mijali chorych mieszkańców Blithe, uważając przy tym, żeby nie wdepnąć w kałuże wymiocin i truchła martwych sług Lewiatana. W pewnym momencie Aaron zauważył siedzącą na ziemi Katie McGovern i podszedł do niej.

- Katie, nic ci nie jest? - spytał. Jego wcześniejsze przypuszczenia, że mężczyzną na dole kopalni, który dokonywał eksperymentów na zwierzętach, był jej eksnarzeczony, Kevin, potwierdziły się. Teraz oboje wpatrywali się w niego z kurczowo zaciśniętymi szczękami, a ich ciałami wstrząsały gwałtowne dreszcze. Aaron zobaczył w oczach Katie kompletną pustkę i zmartwił się.

- Co im się stało? - spytał Kamaela, który stał obok i również obserwował parę weterynarzy.

- Moim zdaniem są w szoku - odparł anioł. - Ich umysły próbują jakoś uporać się ze straszhwymi wydarzeniami, których doświadczyli. Ludzki mózg to w istocie niezwykle wynalazek - dodał, podchodząc bliżej do eksnarzeczonego Katie. Kamael złapał mężczyznę za podbródek i spojrzął mu głęboko w oczy.

- Do jutra zapomną już, co im się przydarzyło - powiedział, jakby szukając w ciele mężczyzny obecności nadprzyrodzonej mocy, której nie powinno już tam być. - Dla większości skończy się to tylko odległym wspomnieniem jakiegoś koszmaru. - To mówiąc, puścił Kevina i poszedł w stronę drzwi. - Takie są właśnie mechanizmy obronne ludzkiego mózgu.

Aaron i Gabriel podążyli za nim. Na zewnątrz był wczesny ranek. Przed bramą zobaczyli szeryfa Dextera, który oparty o maskę swojego radiowozu, przed chwilą

zwymiotował na przednią szybą; wyglądało jednak na to, że jeszcze nie skończył. Aaron szybko odwrócił wzrok.

- Więc nie będą niczego pamiętać? - spytał.

Gabriel obwąchiwał koła zaparkowanych przed fabryką samochodów, zupełnie nie zwracając uwagi na ich rozmowę. Nareszcie czuł jakieś zapachy - mnóstwo zapachów - i to pochłaniało go bez reszty.

- Będą pamiętać, ale ich umysł przekształci wspomnienie w coś, co będą w stanie zaakceptować - wyjaśnił cierpliwie Kamael. - Tak działa wasz umysł, w taki sposób został zaprojektowany. A ci, którzy będą pamiętać więcej i odważą się o tym mówić, zostaną skazani na ostracyzm i uznani za niepoczytalnych.

- Nieźle - stwierdził Aaron, trochę zaskoczony beznamiętną opinią Kamaela na temat ludzkiej psychiki.

Na chwilę zamilkł, rozważając w myślach słowa anielskiego wojownika, aż wreszcie zdecydował, że nie może zgodzić się z jego interpretacją.

- Skoro nasz mózg jest tak prymitywnie skonstruowany, to dlaczego nie zareagowałem w podobny sposób na te wszystkie nieprawdopodobne historie z aniołami, zrzucając winę na przykład na niestrawność po zjedzeniu przeterminowanego tuńczyka albo na jakiś afrykański wirus?

Anioł odwrócił się i spojrzał na niego.

- Dlatego, że jesteś Nefilimem - powiedział, jakby to miało wystarczyć za odpowiedź.

- Tak, ale wciąż pozostaję w połowie człowiekiem, zgadza się? - Aaron wbił w rozmówcę spojrzenie swoich stalowych oczu.

Czekał cierpliwie, stojąc na skraju parkingu, aż anioł odpowie. Ale Kamael zachował milczenie - chociaż brak odpowiedzi w jego ustach brzmiał zawsze wymownie.

- Co chcesz mi powiedzieć? - spytał Aaron, tracąc powoli cierpliwość.

Dopiero wtedy anioł odpowiedział:

- Zostałeś splodzony przez anioła. Jesteś w równym stopniu człowiekiem, co i ja.

Aaron poczuł się, jakby ktoś uderzył go pięścią w twarz. W głębi duszy wiedział wcześniej, co Kamael mu odpowie, ale wciąż nie mógł się z tym pogodzić.

Nie jestem człowiekiem - pomyślał, pozwalając, by ta świadomość dotarła w końcu w najdalsze zakamarki jego umysłu. Czy moje życie może być jeszcze dziwniejsze?

Po raz kolejny zadzwoniły mu w uszach ostatnie słowa Archanioła Gabriela - zanim on i jego towarzysze poszybowali do nieba. Słowa o jego ojcu.

- Archanioł Gabriel powiedział, że to, co zrobiłem - i ta przepowiednia - ma jakiś związek z grzechami popełnionymi przez mojego ojca - Aaron zagadnął swojego towarzysza, gdy dotarli do zamkniętej na kłódkę bramy.

- Zgadza się. - W dłoni Kamaela pojawił się ognisty miecz, którym anioł bez trudu przeciął łańcuch. - Powiedział też, że masz jego oczy. - To mówiąc, pchnął bramę i wyszedł na drogę.

Aaron zatrzymał się na moment i zaczekał, aż jego pies skończy obwąchiwać kępę chwastów.

- Wiesz, kim on był, Kamaelu? Mój ojciec - znałeś go? Anioł, który zaczął już iść w górę drogi, stanął w miejscu i powoli obrócił się.

- Nie, nie znałem go - potrząsnął głową. - Ale jestem przekonany, że musiał to być anioł o niezwykłej mocy, by móc spłodzić kogoś takiego jak ty. - Po tych słowach, Kamael odwrócił się i ruszył przed siebie.

- Myślę, że możesz to uznać za komplement, Aaronie - odezwał się Gabriel idący przy jego nodze. Aaron uśmiechnął się przelotnie. - Myślę, że możesz mieć rację, Gabe.

Berkely Street o poranku była pogrążona w kompletnej ciszy, podobnie jak reszta Blithe. Aaron sięgnął na tylne siedzenie i wyjął stamtąd spodnie od dresu i czystą koszulkę, w które zamierzał się przebrać, zrzucając z siebie nienadające się już do niczego ubranie.

- Chyba mam tu gdzieś jeszcze jeden Tshirt - powiedział, przyglądając się z odrazą pokrytemu brudem i wydzielinami Lewiatana garniturowi Kamaela.

- To nie będzie konieczne - powiedział anioł.

Aaron patrzył z niedowierzaniem, jak cały brud i resztki soków trawiennych znikają na jego oczach z ubrania Kamaela, które po chwili wyglądało tak, jakby właśnie wróciło z pralni. Anioł, jak gdyby nigdy nic, poprawił krawat, zerkając w jego stronę.

- Niech zgadnę. - Aaron włożył bluzę przez głowę. - Ja też mógłbym to zrobić, gdybym tylko zechciał.

Kamael miał właśnie odpowiedzieć, kiedy Aaron przyłożył palec do ust, uciszając go. Nie miał teraz czasu ani energii na dyskusje. Skończył się przebierać, a potem przejrzał się w bocznym lusterku samochodu. To na razie musi wystarczyć. Jeszcze tego mu brakowało, żeby pani Provost zobaczyła go w takim stanie, jakby wracał z frontu III wojny światowej. Tak czy inaczej, wiedział, że ciężko będzie mu się wytłumaczyć, co właściwie się stało i w jaki sposób pani Provost trafiła do piwnicy.

Kamael przyglądał się podejrzliwie domowi, który sprawiał wrażenie opustoszałego.

- A więc twierdzisz, że ta kobieta cię zaatakowała? - spytał.

- Zgadza się. - Aaron przeczesał palcami potargane włosy. - Powaliłem ją na ziemię, a potem zamknąłem w piwnicy. Nie chciałem ryzykować, że naśle na mnie innych w mieście.

- Po tylu godzinach spędzonych w brzuchu potwora sam jestem potwornie głodny - oświadczył Gabriel, a potem w podskokach pobiegł do drzwi wejściowych. - Ciekaw jestem, czy tej miłej starszej pani zostały jeszcze jakieś klopsy.

- Raczej nie, kolego, biorąc pod uwagę, że całą noc spędziła w piwnicy. - Aaron podszedł do drzwi i nacisnął klamkę. Były otwarte, więc Aaron pchnął je na oścież i od razu uderzył go w nozdrza zapach gotowanych potraw. Wtedy zdał sobie sprawę, że nie tylko Gabrielowi doskwiera ogromny głód.

- Pani Provost? - zawołał, rozglądając się po przedpokoju i sąsiednich pokojach. Co dziwne, nigdzie nie było widać śladów stoczony tu niedawno walki. Aaron i Gabriel poszli więc do kuchni - tam, skąd dochodził ten wspaniały zapach. Kamael podążył za nimi.

- Pani Provost? - Aaron zawołał znowu i wtedy zobaczył starszą panią stojącą przy kuchence. Miała na sobie fartuch i smażyła właśnie bekon na śniadanie. Pani Provost obróciła się i uśmiechnęła do niego.

- Dzień dobry. - Sięgnęła obandażowaną dłonią, by odgarnąć kosmyk siwych włosów z czoła. - Wiedziałam, że ten zapach cię przyciągnie. - To mówiąc, wróciła do smażenia, ostrożnie pomagając sobie zranioną dłonią.

- Co stało się z pani ręką? - Aaron spytał ją, pamiętając, że w czasie walki oparzyło ją ostrze jego miecza. Pani Provost wykladała kawałki usmażonego bekonu na papierowy ręcznik, leżący na blacie obok. Gabriel podbiegł do niej, machając przyjaźnie ogonem. Pani Provost skończyła wykladać bekon, a dopiero potem pogłaskała psa zdrową ręką.

Nie jestem pewna - odparła, tarmosząc zwierzę za uszami. - Musiałam przewrócić się wczoraj na schodach do piwnicy - powiedziała zamyślona, jakby próbując sobie przypomnieć zdarzenia ubiegłego wieczoru. - Pewnie straciłam na chwilę przytomność i położyłam rękę na rozgrzanym palenisku. Pani Provost odwróciła się, wyjęła z opakowania jeszcze kilka plastrów boczku i rzuciła je na skwierzącą patelnię.

- Udało mi się nawet jakoś zatrzasnąć od wewnątrz - roześmiała się. - Na szczęście miałam na dole parę zapasowych kluczy, inaczej nadal bym tam siedziała. - Starsza pani upewniła się, że bekon leży równomiernie na rozgrzanym tłuszczu. - Powinam chyba pójść do lekarza, żeby sprawdził, czy nie doznałam wstrząśnienia mózgu - dodała. Gabriel położył się u jej stóp, nie spuszczać wzroku z usmażonego boczku.

Aaron odwrócił się i spojrzał wymownie na Kamaela. Anioł miał rację. Mózg pani Provost zareagował dokładnie tak, jak przepowiedział. Spróbował zrationalizować dziwną sytuację, wypierając się wszystkiego, co było zbyt niezwykle, by to wyjaśnić lub zrozumieć.

Pani Provost odłożyła widelec i podeszła do lodówki, cały czas pozostając pod baczna obserwacją Gabriela.

- Miałam właśnie zrobić sobie jajka na bekonie - powiedziała, otwierając lodówkę. - Mój ojciec zwykł mawiać, że syte śniadanie uleczy wszystkie twoje choroby i troski. - To mówiąc, wyjęła z lodówki karton świeżych, białych jajek. - Pomyślałam, że może akurat dzisiaj skorzystam z jego rady.

Tym razem Kamael nie zniknął i Aaron zorientował się, że pani Provost przygląda się z uwagą starszemu, potężnie zbudowanemu mężczyźnie. Wiedział, że jest zbyt uparta, żeby zapytać go o imię i nazwisko - poczeka raczej na wyjaśnienia Aarona.

- To mój przyjaciel - przedstawił anioła. - Ten, który miał coś do załatwienia w Portland.

Pani Provost skinęła głową, przypominając sobie rozmowę, którą odbyli pierwszego wieczoru przy kolacji. - Właśnie wrócił dziś rano - dokończył Aaron. Kamael nie odezwał się słowem, tylko obserwował kobietę z równą uwagą, jak ona jego.

- Czy twój przyjaciel zostanie na śniadanie? Aaron już miał usprawiedliwić swojego towarzysza, kiedy Kamael nagle przemówił sam: - Trochę frytek.

Pani Provost nie dała się zbić z tropu niecodziennym życzeniem anioła. Sięgnęła do piekarnika i otworzyła go na oścież. Ze środka natychmiast buchnął nowy, wspaniały zapach, a wraz z nim - fala gorącego powietrza. Coś piekło się na metalowej blasze.

- Nie mam wprawdzie frytek, ale mam nadzieję, że skusi się pan na zapiekane ziemniaki. - Może być? - spytała pani Provost. - Mój nieboszczyk mąż zawsze powtarzał, że robię najlepsze zapiekane ziemniaki w całej Nowej Anglii. - Sięgnęła do środka rękawicą z wyhaftowanymi bananami i wyjęła z piekarnika blachę pełną przyrumienionych ziemniaków.

- Jeżeli lubisz frytki, coś takiego z pewnością też przy - H padnie ci do gustu - powiedział Aaron, któremu też już m leciała ślinka.

- W takim razie zgoda, spróbuję tych domowych frytek. - Kamael przyjrzał się ziemniakom leżącym na talerzu na kuchence.

To wszystko jest jakieś dziwne i dość zaskakujące - pomy - m ślał Aaron, kiedy skończył karmić Gabriela i obserwował, jak uprzejma starsza pani z wprawą rozbija ostatnie jajko na patelni i podaje im śniadanie, jakby nic się nie stało. Trudno mu było oswoić się z tą myślą. Jeszcze niecałe I dwie godziny temu walczył o życie z morską bestią, która ł zagrażała



całemu światu - a teraz siedział przy stole i wcinał jajka na bekonie oraz pieczone ziemniaki. Myśl o tym, jak i dramatyczne zmiany miały ostatnio miejsce w jego życiu, I uderzyła go znów z siłą bomby atomowej. Co więcej, z każdym kolejnym dniem jego życie zmieniało się coraz bardziej i gwałtowniej. Aaron nie potrafił odpowiedzieć sobie na pytanie, czy kiedykolwiek przywyknie do tego i będzie to dla niego tak naturalne, jak jajka z bekonem na śniadanie.

Soląc jajka, Aaron patrzył, jak anioł Kamael ostrożnie nadgryza kawałek pierwszego ziemniaka i zaczyna przeżuwać. Na jego pokrytej szpakowatym zarostem twarzy odmalowało się coś na kształt zadowolenia i anioł ochoczo zabrał się do jedzenia.

Czy moje życie jeszcze kiedykolwiek będzie prozaiczne? - pomyślał Aaron, obserwując jak anioł pałaszuje przy nim talerz pieczonych ziemniaków.

Miał co do tego poważne wątpliwości.

Tęsknię za tobą. Twój Aaron.

Aaron oparł się na krzesło przy biurku, analizując w myślach ostatnie słowa maila, którego napisał do Vilmy. Czy to nie jest zbyt śmiało? - zastanawiał się, przebierając palcami nad klawiaturą i nie potrafiąc się zdecydować. Jego uczucia w stosunku do tej dziewczyny nie zmieniły się ani trochę, wręcz przeciwnie - im więcej o niej myślał i im dłużej trwała ich rozłąka, tym bardziej to uczucie zdawało się przybierać na sile.

Gdy pomyślał, czy jeszcze kiedykolwiek będzie mu dane zobaczyć śliczną Brazylijkę, ogarnął go smutek. Wiedział, że dla jej dobra powinien się od niej trzymać jak najdalej - Werchiel nie zawahałby się przed użyciem Vilmy jako przynęty, byle go dopaść. Ale egoistyczna część natury Aarona chciała z nią być, bez względu na konsekwencje.

Przeczytał jeszcze raz cały mail, zżymając się na nudną, jego zdaniem, treść - gdyby tylko mógł opisać jej choćby ułamek tego, co przeżył.

Tęsknię za tobą. Twój Aaron. W

Zastanawiał się, co właśnie robi Vilma. Był wczesny 1 rano w niedzielę, więc pewnie jeszcze nawet nie wstała. On też najchętniej zostałby jeszcze w łóżku, ale musieli ruszać dalej w drogę, żeby znaleźć Steviego. W niedzielę Aaron zawsze wylegiwał się do późna, czytając w łóżku Globe, popijając mleko i zagryzając pączki z Dunkin Donuts, które kupował Tom. Ale to było kiedyś.

Aaron przeczytał mail po raz ostatni i tym razem uznał, że jest on idealny. Co mam do stracenia? Wcisnął? przycisk „Wyślij” i patrzył, jak list znika w wirtualnej otchłani. Teraz nie ma już odwrotu - pomyślał. Odnosiło się to zresztą do wielu rzeczy, nie tylko do jego relacji z Vilmą. Przed nim była tylko jedna droga, na końcu której miał nadzieję znaleźć brata, a może

i szansę na powrót do normalności - jeśli spełnienie przepowiedni nie będzie go kosztować życia.

Gabriel i Kamael zaczęli się pakować do samochodu. Aaron miał właśnie zamknąć komputer, kiedy w drzwiach malutkiego gabinetu stanęła pani Provost.

- Nie wyłączaj go, proszę - powiedziała. - Pomyślałam, że może napiszę do syna.

Aaron wstał i wskazał jej krzesło.

- To bardzo miło z pani strony. Na pewno sprawi mu pani tym listem przyjemność.

Nagle pomyślał, czy to przypadkiem nie Lewiatan powstrzymywał tę kobietę przez tyle lat przed wyjazdem z Blithe.

- To cholerstwo pewnie zaraz eksploduje mi w twarz.

- Pani Provost zmarszczyła brwi, siadając przed ekranem.

- Na pewno da pani sobie radę - uspokoił ją Aaron. Wtedy przypomniał sobie, że nie zapłacił jej jeszcze za pobyt, i sięgnął do kieszeni po pieniądze. - Proszę bardzo, zanim zapomnę. - Podał jej zwitek banknotów. Pani Provost wzięła pieniądze i zaczęła je przeliczać.

- Dałeś mi za dużo - powiedziała, zwracając mu ponad połowę gotówki.

- Ale mówiła pani, że...

- Zarzucasz mi kłamstwo, Aaronie Corbet? - kobieta przerwała mu z twarzą jeszcze bardziej zachmurzoną niż wtedy, gdy usiadła do komputera.

Aaron czuł, że lada moment wpakuje się w niezłe tarapaty.

- Nie, skądże znowu - zarzekł się. - Ale o ile pamiętam, to wtedy powiedziała pani...

- Nieważne, co powiedziałam. To i tak mnóstwo forsy.

- To mówiąc, kobieta zwinęła pieniądze i włożyła je sobie do przedniej kieszeni przedpotopowych niebieskich dżinsów. - Dziękuję ci za twoje towarzystwo - i twojego psa również, chociaż tak między nami, to jeśli chodzi o jedzenie, nienasycona z niego bestia.

Aaron roześmiał się na głos.

- Coś o tym wiem. Mam go w domu od szczeniaka. Jego żołądek to studnia bez dna. Teraz oboje wybuchnęli śmiechem.

- No cóż, na mnie pora - powiedział Aaron. - Proszę na siebie uważać, pani Provost. - Pomachał jej jeszcze na do widzenia, po czym wyszedł z pokoju.

- Wzajemnie, synu. Wpadnijcie do mnie kiedyś -

1 przyprowadźcie też ze sobą tego przystojnego miłośnika frytek.

Aaron szedł w stronę drzwi, nasłuchując, jak starsza pani przesuwając palcami po klawiaturze komputera. Wyglądało na to, że idzie jej bardzo dobrze, chociaż wystarczyło, że otworzył drzwi, a od razu usłyszał litanię grózb i przekleństw pod adresem komputera,

któremu pani Provost groziła wyrzuceniem na śmietnik. Śmiejąc się pod nosem, Aaron wyszedł z domu, gdzie czekali już na niego Kamael i Gabriel.

Przechodząc przez obrośniętą kwiatami furtkę, zobaczył Katie McGovern, ubraną w rozciągnięty biały podkoszulek i spodnie do biegania. Lekarka głaskała psa, oglądając jego ranę. Aaron zauważył, że i ona ma zabandażowaną rękę.

- Cześć - przywitał się, podchodząc bliżej.

- Witaj. - Katie uśmiechnęła się na jego widok. - Właśnie przebiegałam w pobliżu i zobaczyłam na podwórku Gabriela. Błagał mnie, żebym się nim zajęła. Widzę, że rana szybko się zagoiła. - To mówiąc, dotknęła opatrzoną dłonią boku labradora.

- Nic jej nie powiedziałem - mruknął Gabriel, patrząc na Aarona z miną winowajcy, z wywieszonym z pyska ozorem. Aaron zignorował go.

- Chyba rana nie była tak poważna, na jaką wyglądała - a poza tym, zajmował się nim najlepszy lekarz weterynarii w mieście. Było mu pisane cudowne ozdrowienie - zachichotał pod nosem. Teraz oboje pieścili i poklepywali psa, który był w siódmym niebie.

- A więc wyjeżdżasz, co? - Katie popatrzyła w stronę jego samochodu. Aaron podążył wzrokiem za jej spojrzeniem i zobaczył, że Kamael zajął już miejsce na przednim siedzeniu i czekał cierpliwie.

- Tak, mam kilka spraw do załatwienia - powiedział, głaszcząc psa. - Uznałem, że dobrze będzie wyruszyć z samego rana.

- Czy to ten przyjaciel, na którego wtedy czekałeś?

- Katie wskazała ruchem głowy na siedzącego w aucie Kamaela.

- Tak, to on. Wczoraj wrócił z Portland - skłamał Aaron.

- Chyba nie jestem w stanie cię przekonać, żebyś został i pomógł nam z Kevinem w lecznicy, prawda? - Katie spytała bez przekonania, spodziewając się, jaką usłyszy odpowiedź.

- Z Kevinem? - Aaron uśmiechnął się tajemniczo.

- Zgadza się. - Katie drapała teraz Gabriela za uchem. - Od kiedy wrócił, spędzamy ze sobą dużo czasu i postanowiliśmy dać sobie jeszcze jedną szansę. - Wzruszyła ramionami. - Przynajmniej na jakiś czas - zobaczymy, co z tego wyjdzie. Czyli twoja odpowiedź brzmi: „Nie”.

Kamael odwrócił się na siedzeniu i spojrzał wymownie w ich stronę. Nawet anielska cierpliwość ma swoje granice - pomyślał Aaron i ruszył w kierunku auta.

- Przepraszam - powiedział, otwierając Gabrielowi bagażnik toyoty. - Mam coś do załatwienia, ale dziękuję za propozycję. - Pomyślał o swoim młodszym bracie uwięzionym w

szponach mściwych aniołów i poczuł, jak przyspiesza mu tętno. Pies wskoczył i Aaron zatrzasnął klapę.

- Jesteś naprawdę niezły w tym, co robisz. - Katie oparła ręce na biodrach. - Gdybyś potrzebował kiedyś referencji - do szkoły czy gdziekolwiek - zajrzyj do mnie, dobrze?

- Dzięki. - Aaron otworzył drzwi od strony kierowcy. - Trzymaj się. Mam nadzieję, że ułoży wam się z Kevinem.

Wgramolił się za kierownicę i sięgnął do klamki, ale Katie zatrzymała go niespodziewanie.

- Tamtej nocy - powiedziała z dziwnie rozszerzonymi oczami - wiesz, co się stało, prawda? - Katie oblizła nerwowo wargi, bawiąc się bandażem na ręce.

Aaron spojrzał jej w oczy i zapewnił, że nie wie, o co jej chodzi. Ale chyba mu nie uwierzyła.

- Jakiś głos z tyłu głowy podpowiada mi, że powinnam ci za coś podziękować - ale za cholerę nie wiem, dlaczego.

Aaron przekręcił kluczyk w stacyjce i uruchomił silnik.

- Nie musisz mi dziękować. - Poczul lekki smutek, że musi wyjechać. Blithe zaczęło mu się nawet podobać. Po raz kolejny egoistyczna część jego natury podpowiadała mu, że powinien natychmiast wyłączyć samochód, przyjąć propozycję Katie i zamieszkać na stałe w tym spokojnym, cichym miasteczku - odwracając się plecami do przepowiedni.

- Nigdy nie ignoruj głosu z tyłu głowy, Aaronie. - Katie nachyliła się przez szybę i pocałowała go w policzek. Ale on wiedział, że nie może tak postąpić. Gdyby bowiem to zrobił, odzyskany spokój byłby równie fał - I szywy jak ten w brzuchu Lewiatana.

- Dziękuję - powiedziała Katie i wyjęła głowę z samochodu.

- Proszę - odpowiedział Aaron, patrząc, jak Katie odwraca się i kontynuuje przerwany poranny jogging.

Obserwując, jak zbiega w dół Berkely Street, Aaron pomyślał, że ma teraz inne obowiązki, wykraczające daleko poza sferę osobistej satysfakcji czy szczęścia. Było z tego sporo, ale tak naprawdę - jaki miał wybór? Próbował się wykręcić, wyprzeć się, ale w efekcie mało nie przyplącił takiej postawy życiem. Powoli, bardzo niechętnie, zaczął akceptować to, co miał zrobić - zadanie, do którego został wybrany.

- Lubię ją - przyznał Gabriel, kiedy Aaron ruszył, dojechał do końca ślepej uliczki i zaczął zawracać. - Pomimo tego, że jest weterynarzem.

- Ja też ją polubiłem - mruknął Aaron, kończąc manewr zawracania na trzy. Ale tak naprawdę jego myśli krążyły zupełnie gdzie indziej - wokół brata i niebezpieczeństw, z którymi przyjdzie mu się zmierzyć; myślał także o swoim ojcu, którego nie znał.

Ruszył w górę Berkely Street i odruchowo włączył radio. Paul McCartney i reszta Beatlesów śpiewali Yesterday. To zawsze był jeden z jego ulubionych starych kawałków, a gdy słuchał go teraz, słowa piosenki nabierały nowego znaczenia. Pogłodził trochę i poczuł na sobie palące spojrzenie Kamaela.

- Posłuchaj tego uważnie - powiedział, skręcając z Berkely i kierując się w stronę centrum Blithe. - I nie myśl

O tym jak o muzyce, tylko raczej jak o poezji. - Gardzę poezją - warknął anioł, odwracając wzrok

I gapiąc się przez szybę na Blithe, które mieli zaraz opuścić. - Założę się, że frytkami też gardziłeś. - Aaron zachichotał.

Czy kiedykolwiek doczeka jeszcze takiej leniwej niedzieli, kiedy będzie mógł czytać gazetę, pić mleko i zjadać pączki? Aaron nie miał pojęcia, jaka czeka go przyszłość, ale nie miał wątpliwości, że będzie intrygująca. Zawarli to w opisie zlecenia, którego się podjął.

Czego innego mógł się spodziewać posłaniec Boga?

## Epilog

- To był sen - choć tak realny, jakby miał się naprawdę. Noc była chłodna, a mimo to czuła pod bosymi stopami ciepło bijące od piasku, rozgrzanego przez niemiłosiernie palące w dzień słońce.

Sen był tak realny, jakby stanowił odległe wspomnienie czegoś, co wydarzyło się dawno temu. Bardzo dawno temu.

Serce waliło jej w piersi jak oszalałe. Odwróciła się, żeby zobaczyć po raz ostatni płonące miasto - wiedziała tylko, że nazywa się Urkish. Niebo nad prymitywnym, pustynnym miastem było czarne; dym z płonących domów, wzniesionych z błota i słomy, wzbijał się aż do gwiazd.

Słyszała wyraźnie pewien dźwięk: wysoki, ostry, świdrujący. Mimo że od miasta dzielił ją już spory dystans, musiała zatkać uszy. Dźwięk przypominał jej krzyk ptaków - setek głodnych, drapieźnych ptaków.

Z każdą kolejną nocą sny stawały się coraz bardziej rzeczywiste - do tego stopnia, że w końcu zaczęła bać się zasypiać. Oddałaby wszystko za spokojną, bezseną noc. Ale nie było jej to pisane.

Ktoś zawołał ją i wtedy przypomniała sobie, że nie jest sama. Razem z nią z Urkish uciekło ośmioro innych. Uciekli... no właśnie, przed czym uciekali? Dziewczyna niewiele starsza od niej, okryta podartym płaszczem z kapturem, wskazała jej, aby szła za nią i nie oglądała się za siebie. W jej oczach - w oczach ich wszystkich - był strach. Czego się bali? Dlaczego musieli opuścić miasto? Chciała poznać odpowiedź - musiała to wiedzieć!

- Szybko - powiedziała dziewczyna w języku, którego nigdy nie słyszała, a mimo to bez problemu rozumiała. - Musimy zniknąć na pustyni. - Dziewczyna odwróciła się plecami do innych; płaszcz, który miała na sobie, załopotał na pustynnym wietrze. - To nasza jedyna szansa.

Zaczęli znów biec, klucząc wśród wydm. Ale przed czym uciekali?

Odwróciła się z powrotem w stronę miasta. Czy tam kryła się odpowiedź? Ogień buchnął jeszcze wyżej, pochłaniając pozostałości jakiejś prymitywnej cywilizacji, która na zawsze miała zniknąć z powierzchni świata.

Pozostali zawołali ją - ich głosy, dobiegające z oddali, załamywały się na wietrze. Błagali, by się nie zatrzymywała i biegła wraz z nimi, ale nie potrafiła się ruszyć. Jak zahipnotyzowana patrzyła na miasto tonące w płomieniach.

Ogarnął ją smutek - jakby Urkish z jakiegoś powodu było dla niej ważne. Czy to coś więcej niż tylko miejsce ze snu? Czy miasto miało dla niej jakieś istotne znaczenie?

Tupnęła nogą w piasku, czując, jak frustracja eksploduje w niej ze zdwojoną siłą.

- Chcę się obudzić! - krzyknęła w stronę pustyni. - Chcę się teraz obudzić! - Zamknęła oczy, mając nadzieję, że wyrwie się z objęć koszmaru, ten jednak trzymał ją mocno w swoich szponach.

W uszach zadzwoniły jej znów potworne krzyki i otworzyła oczy. Widziała, jak nadlatują od strony miasta, wzniecając potężnymi skrzydłami obłoki gęstego, czarnego dymu. Były ich setki i nawet z tej odległości widziała, że są zakuci w złote zbroje.

Wiedziała, kim są. Odkąd była małym dzieckiem, fascynowały ją i napawały radością. Uważała ich za swoich stróżów i wierzyła, że nigdy nie pozwolą jej skrzywdzić.

Bez tchu obserwowała ich teraz, unoszących się w powietrzu nad płonącymi ruinami miasta. Wiedziała, że już wcześniej była w tym śnie, ale za żadne skarby nie potrafiła sobie przypomnieć, po co te skrzydlate istoty zjawiły się w Urkish.

- Przybyli tu, żeby cię zabić - usłyszała szept płynący z pustyni i wiedziała, że głos ma rację.

Skrzydlate istoty wylatywały właśnie z miasta, kierując się w stronę pustyni - jakby kogoś szukały. Szukały jej.

Zaczęła biec, ale piasek skutecznie spowalniał jej ucieczkę. Serce biło jej z wysiłku, kiedy próbowała dogonić pozostałych. Teraz sobie przypominała. Pamiętała, jak skrzydlate stworzenia spadły z nieba z ognistymi mieczami w dłoniach - i rozpoczęła się rzeź. Pamiętała, że zginęło wielu ludzi. Gdy wspinała się na wydmy, przed oczami przesuwaly jej się obrazy pełne przemocy.

Byli teraz bliżej - tak blisko. W powietrzu rozległ się odgłos łopoczących potężnych skrzydeł i przeraźliwe krzyki wściekłych ptaków.

Ale to nie były ptaki.

Udało jej się już wdrapać niemal na sam szczyt wielkiej wydmy. Reszta uciekinierów była tuż przed nią. Zawołała do nich, ale jej głos utonął w szumie wielkich skrzydeł. Obróciła się, żeby zobaczyć, jak blisko są.

Wtedy rzucili się na nią z nieba - żądni jej krwi.

Anioły.

Jak kiedykolwiek mogła kochać istoty tak bezłitosne i okrutne?

Vilma obudziła się z krzykiem. Wciąż czuła na twarzy podmuchy pustynnego wiatru, kiedy unosili ją w górę, prosto w kierunku rozgwieżdżonego nieba, a ostrza ich ognistych mieczy wbijały się w jej ciało.

Załkała, wtulając twarz w poduszkę, żeby nie usłyszeli j ją śpiący w drugim pokoju wujek i ciocia. W tym tygodniu dwa razy przyłapali ją na płaczu i zaczęli już się martwić.

Kiedy udało jej się w końcu zapanować nad emocjami, podniosła głowę i wtedy zauważyła coś kątem oka. Za oknem jej sypialni rosło drzewo. Przez krótką chwilę zdawało jej się, że widzi coś wśród gałęzi. Coś dziwnie znajomego, przyglądającego jej się z ukrycia.

Wtedy Vilma doszła do wniosku, że wujek i ciocia mieli jednak rację. Zaczynała mieć jakieś problemy psychiczne i potrzebowała pomocy. Jakie inne wytłumaczenie mogły mieć te straszne sny...

I to, że widziała za oknem anioły.

Zakuty w krwistoczerwoną zbroję łowca Malak przeciskał się przez legowisko starożytnego potwora, szukając zapachu swojej ofiary. Zdjął z dłoni czerwoną rękawicę i ukląkł przy szczątkach morskiej bestii. Wsadził rękę w kupkę popiołu i natychmiast ją cofnął. Powąchał maź, która przykleiła mu się do palców, wężąc w poszukiwaniu śladu tego,

którego szukał jego pan. Tropił wyjątkową ofiarę, która wiele dla niego znaczyła w poprzednim życiu, zanim jeszcze stał się Malakiem.

Dłoń pachniała jakby znajomo, ale zapach był zbyt mało wyraźny.

Malak wyczuł także w powietrzu magię - czary, które miały za zadanie zmylić go i ukryć przed nim jego ofiarę. Ale Malak był zbyt dobry na takie sztuczki. Jego pan Werchiel obdarzył go tak silnym węchem i wyostrzonymi zmysłami, że umiał odnaleźć, a potem zniszczyć każdą ofiarę. Nic nie mogło powstrzymać wielkiego łowcy przed dopadnięciem zdobyczy.

Malak wstał i obszedł jaskinię dookoła. Odchylił głowę, pozwalając, by zatęchłe powietrze przeniknęło w głąb jego nozdrzy. Rozróżniał mnóstwo zapachów, aż wreszcie znalazł ten, którego szukał.

Przeszedł na drugą stronę jaskini, kierując się w miejsce, z którego docierał zapach. Na ścianie znalazł jego źródło - zaschniętą strużkę krwi. Powąchał ją ostrożnie. Krew już dawno zdążyła wyschnąć, przez co zapach stracił na intensywności. Malak nachylił się jeszcze bardziej i wysunął język zza szkarłatnej maski, żeby polizać krew. Natychmiast poczuł charakterystyczny, metaliczny, ostry smak.

Zapach ogarnął jego nienaturalnie wyostrzone zmysły i łowca uśmiechnął się. Miał już trop.

Reszta była tylko kwestią czasu.